ROZMOWA TYGODNIA

Kukiz: Panu ministrowi Ziobrze przydałby się kubeł zimnej wody na głowę

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 32/234 7–13 SIERPNIA 2017

„Partia Dudy" nie ma sensu – dowodzi Gociek

DODATEK SPECJALNY
(ANTY)POLSKA OPERACJA NKWD
SOWIECKIE LUDOBÓJSTWO

Siła woli Roberta Kubicy

SZUKAJ WYDANIA

Z FILMAMI DVD

DONOS NA POLSKĘ

Walcząc z rządem, opozycja totalna nie waha się działać na szkodę naszego państwa

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
9 772299 850000 32 >
Nakład: 110 tys. egzemplarzy

Każdego dnia towarzyszymy ludziom w drodze do różnych celów.
Angażujemy się w działania na rzecz poprawy bezpieczeństwa i komfortu podróżowania. Wspieramy ratowników GOPR, dostarczając wysokiej jakości paliwo - niezawodne w ekstremalnych warunkach.

ORLEN Najbliżej

orlen.pl

eprasa.pl d508e00ca9

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mój senny koszmar

Kiedy marszałek Józef Piłsudski żegnał się z życiem i przekazywał swoim następcom rady, podkreślił, że Polska nie może sobie pozwolić na jednoczesny konflikt ze Związkiem Sowieckim i z hitlerowską III Rzeszą.

„My na dwa fronty wojny prowadzić nie możemy – mówił Piłsudski dowódcom. – Więc ja was wojny na dwa fronty uczyć nie będę. Wojna na dwa fronty to znaczy ginąć tu, na placu Saskim, z szablami w dłoni w obronie honoru narodowego". Czasy się zmieniają, ustroje przemijają, ale czy ta podstawowa mądrość – nie wolno dopuścić do jednoczesnego starcia z Moskwą i Berlinem – już nie obowiązuje? Gdy patrzymy na obecną polską politykę zagraniczną, wydaje się, że nie.

Kilka dni temu prof. Andrzej Nowak zwrócił uwagę, tłumacząc weta prezydenta Andrzeja Dudy, jak niebezpieczna jest sytuacja, w której jednocześnie wprowadzenie przeciw Polsce sankcji rozważają rosyjska Duma i unijna Bruksela.

Ta oczywistość do rządzących chyba nie dociera. Jeśli prawdą jest, jak twierdzi minister obrony narodowej Antoni Macierewicz, że obecnie największym zagrożeniem dla polskiej niepodległości jest Rosja, to należałoby dbać co najmniej o poprawne stosunki z Niemcami. Jednak Warszawa, dokładnie w tym samym czasie, kiedy w Rosji coraz głośniejsze są wezwania do zemsty i do rozprawy z Polską, znajduje się w sporze z Berlinem. Nie bardzo rozumiem, czemu ma służyć projekt występowania, akurat teraz, z powojennymi roszczeniami wobec Berlina. Minister Macierewicz uważa je za „bezdyskusyjne". Być może. Podobnie bezdyskusyjne byłyby zapewne roszczenia wobec Moskwy za straty i łupienie Polski w okresie PRL. Tylko moralna słuszność nie musi jeszcze oznaczać politycznej korzyści. Nie każda prawnie możliwa operacja jest roztropna. I nie każda chwila jest dla niej odpowiednia. Po prostu wojna na zbyt wielu frontach nie popłaca.

Czasy się zmieniły, ustroje przemijają – to prawda. Warto jednak pamiętać, że również w latach 30. ubiegłego wieku nikt niemal nie wierzył, iż ponad głowami Polski nastąpi porozumienie dwóch, jak mogło się wydawać, śmiertelnych wrogów. A jednak się pogodzili, i to kosztem Polski. Tak, wiem, brzmi to całkiem surrealistycznie, ale niech będzie, zaryzykuję i powiem, jaki sen mnie dręczy: Czy nie można sobie wyobrazić, że pewnego dnia Berlin uzna w Moskwie gwaranta zagrożonej „demokracji" w Polsce? Oby to był tylko groteskowy koszmar.

Czy nie można sobie wyobrazić, że pewnego dnia Berlin uzna w Moskwie gwaranta zagrożonej „demokracji" w Polsce?

W głośnym wywiadzie dla tygodnika „Sieci Prawdy" minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, obok licznych mniej i bardziej kąśliwych uwag pod adresem prezydenta, podzielił się z czytelnikami i taką myślą: „W polityce warto mieć charakter. Pokazał to choćby Viktor Orbán, który nie przejmował się demonstracjami, krytyką czy próbami ośmieszania, ale zmieniał kraj wbrew europejskiemu establishmentowi i jego liderom. Większość rodaków jest mu wdzięczna za odwagę". Tyle że to przeciwstawienie rzekomo twardego Orbána miękkiemu Dudzie kupy się nie trzyma. Orbán, o czym minister Ziobro chyba musi wiedzieć, widząc negatywne zagraniczne skutki reformy swojego Sądu Najwyższego, potrafił się cofnąć. Naprawdę warto to przypomnieć ministrowi i innym politykom PiS – w polityce charakter nie polega na umiejętności bicia głową w ścianę.

A skoro już o Orbánie mowa, to kto tu jest od kogo bardziej uzależniony? – pytam. Polska od Węgier czy Węgry od Polski? Kto na kogo bardziej zdany i kto może pozwolić sobie na więcej? Owszem, Polska bardzo się cieszy, że dzięki deklaracji Viktora Orbána unijne sankcje nam nie grożą. Ciekawe tylko, że Węgry, wielki przyjaciel Polski, nie miały żadnych skrupułów, żeby w przededniu spotkania państw Trójmorza w Warszawie podpisać wielką umowę gazową z Rosją. Równie ciekawe, że żaden głos krytyki z Warszawy się nie pojawił, mimo to owa węgiersko-rosyjska umowa ideę Międzymorza wywraca. Tak zatem w kwestii zarówno reformy sądownictwa, jak i polityki zagranicznej Orbán pokazał zręczność, elastyczność i – nie waham się tego powiedzieć – egoizm. Popiera Warszawę, ale interesy robi z Moskwą, idzie na wojnę z Brukselą, ale kiedy dostrzega ryzyko, umie ustąpić. Dokładnie odwrotnie, niż robi to Warszawa, która czy to w sprawach wielkich, czy małych zawsze postępuje pryncypialnie i zawsze gotowa jest iść, mniemam, na całość. Nie wyobrażam sobie, żeby Budapeszt dopuścił do sytuacji, w której jednocześnie na Węgry nałożyłyby sankcje i Rosja, i Unia Europejska. W przypadku Polski to jak najbardziej możliwe. ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

TEMAT TYGODNIA

16 MARCIN MAKOWSKI
ATAK POŚREDNI
Jaki jest cel mechanizmu używania zagranicznych mediów przez polskich dziennikarzy i polityków

20 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
POLSKA PROWADZI WŁASNĄ GRĘ I TO NIEKTÓRYCH BOLI

KRAJ

22 ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM
DUDA LEKIEM NA WIRUS PARTIOKRACJI
Potrzebne jest ugrupowanie republikańskie

26 PIOTR GOCIEK
KLUCZ DO PRAWICY

28 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOŚCIÓŁ PONAD PLEMIONAMI

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SZERYF MIERZY W PREZYDENTA

34 KAMILA BARANOWSKA
POSMOLEŃSKA RZECZYWISTOŚĆ

38 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BOJOWY ZAWRÓT GŁOWY

40 ŁUKASZ WARZECHA
DZIENNIKARZ W KAGAŃCU

43 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KOT – ZWIERZĘ POLITYCZNE

KULTURA

46 PIOTR GOCIEK
ZIMA NADESZŁA
Siódmy sezon serialu „Gra o tron"

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

(ANTY)POLSKA OPERACJA NKWD
- Mechanizm terroru
- Szokujące dokumenty
- Bestialskie metody przesłuchań

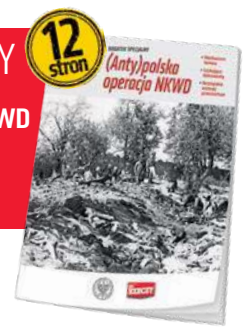

OPINIE

68 ANDRZEJ MIKOSZ
POTRZEBNA PRAWDZIWA REFORMA
Stracono szansę na udoskonalenie trzeciej władzy?

72 ROBERT BOGDAŃSKI
OBRONA DEMOKRACJI. W IMIĘ CZEGO?

HISTORIA

74 KRZYSZTOF M. ZAŁUSKI
NIEMIECKA NAUCZKA
Geneza lewackiego terroryzmu

ŚWIAT

78 JACEK PRZYBYLSKI
CHAOS W BIAŁYM DOMU
Gorące wakacje w polityce w USA

80 PIOTR SEMKA
STANY RYGLUJĄ GRANICE

EKONOMIA

84 JACEK PRZYBYLSKI
ZAKAZ WJAZDU
Kres ery diesla

88 TOMASZ WRÓBLEWSKI
EUROPEJSKA PUŁAPKA TUKIDYDESA

SPORT

96 ŁUKASZ MAJCHRZYK
NA WŁAŚCIWYM TORZE
Powrót Roberta Kubicy do Formuły 1

WAKACJE Z „DO RZECZY"

98 PIOTR SEMKA
KIJÓW. ŚLADAMI WŁADYSŁAWA HORODECKIEGO
Nad Wisłą jest mało znany, ale w Kijowie polski architekt ma nawet ulicę swojego imienia

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, KOWALCZUK (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), POSPIESZALSKI (52), ZALEWSKI, WOLSKI (54), ZYCHOWICZ, KOPER (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (92), KOMUDA (100), TYRMAND (104), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl d508e00ca9

Smart gets real

Zasilany światłem CITIZEN Eco-Drive Bluetooth łącząc się z telefonem przenosi elegancję klasycznego zegarka na wyższy poziom funkcjonalności.

citizen.pl

Eco-Drive

Bluetooth®

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

eprasa.pl d508e00ca9

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu listy poświęcone naszemu ostatniemu numerowi. Dziękujemy za wszystkie e-maile i tradycyjnie zapraszamy na naszą stronę internetową www.dorzeczy.pl.

Szaleństwo owszem, ale czyje?

W komentarzu „Szaleństwo komisarzy z Brukseli" w ostatnim numerze „Do Rzeczy" redaktor Paweł Lisicki zauważa, że komisarze owi uparcie dążą do konfliktu z Polską, śląc ultymatywne żądania, demonstrując złą wolę i uprzedzenia. Mnożą konflikty, nie przejmując się wątpliwymi podstawami prawnymi swoich działań czy spadającym poparciem dla Unii Europejskiej w Polsce. Jednak pytanie o powód takich zachowań komisarzy nie pada w komentarzu, a jest ono ważne. Powodem tym jest stawianie ponad interesy Unii interesów Republiki Federalnej Niemiec, państwa, które zdominowało Unię, a któremu z powodów historycznych nie jest poręcznie atakować Polski. To z tego powodu mnożone są ataki komisarzy na Polskę, tak jak w sprawach Trybunału Konstytucyjnego, sądownictwa, Puszczy Białowieskiej, a za chwilę może wieku emerytalnego itd. Zarazem to w niemieckim interesie łamane są przez tych samych komisarzy zasady traktatowe, tak jak w sprawie gazociągów Nord Stream, OPAL czy w sprawie imigrantów.

Polskie fatum polega na tym, że Niemcy nie są zdolne do zmiany swojego widzenia Europy, ukształtowanego w momencie słabnięcia I Rzeczypospolitej i jej podziału w XVIII w. W tym podejściu jest miejsce dla silnych Niemiec i Rosji. Nie ma miejsca dla silniejszego państwa polskiego. To podejście Niemiec nie zmieniło się w momencie odzyskania niepodległości w 1918 r., kiedy ledwo dyszącemu państwu polskiemu wydały one wojnę celną. To podejście widoczne było w pakcie Ribbentrop-Mołotow i ludobójstwie w okresie II wojny. Po wojnie problem zniknął w wyniku poddania Polski dominacji Rosji. Teraz problem powrócił, gdy Polska odzyskała

suwerenność i chce wyrwać się ze statusu państwa postkolonialnego.

Cokolwiek byśmy myśleli o idiotyzmie takiego postrzegania otoczenia w całkowicie odmiennych realiach geopolitycznych, nie widać w Niemczech polityka, który byłby zdolny do wyjścia poza stare koleiny. Dlatego trzeba się liczyć z tym, że Niemcy nadal będą wykorzystywać instytucje unijne do ataków na Polskę. Z tego powodu tak ważne jest uświadomienie innym państwom członkowskim niebezpieczeństw, jakie dla nich rodzą obecna dominacja Niemiec w Unii oraz wspólne dążenie do jej reformy, przywracającej wpływ państw członkowskich. Trzeba także jednak brać pod uwagę wariant najgorszy – wypchnięcie Polski z Unii, np. poprzez narzucenie relokacji, co pozbawiłoby nas środków niezbędnych do przebudowy gospodarki. W tym kontekście postrzegam konieczność intensyfikacji prac nad określeniem strat poniesionych w wyniku II wojny światowej i kwestią odszkodowań.

Lech Bieguński

Nie ta bohaterka

„Będziesz wisieć! – grożą mi" – dramatycznie woła z okładki ostatniego „Do Rzeczy" Krystyna Pawłowicz. Z niechęcią brałam do rąk Wasz tygodnik. Na szczęście wywiad, który przeprowadziła redaktor Agnieszka Niewińska, nie jest laurką dla tej irytującej posłanki, popełniającej mnóstwo kiksów i gaf. Pytania, jakie stawia dziennikarka, i odpowiedzi, jakie uzyskuje, pozwalają wyrobić sobie zdanie o pani profesor, której maniery odbiegają od standardów akademickich.

Postacią z zupełnie innej galaktyki jest pani Zofia Romaszewska zaprezentowana przez redaktora Pieczyńskiego. To prawdziwy autorytet, wzór do naśladowania, osoba, której warto słuchać. Szkoda, że to nie pani Zofia znalazła się na okładce Waszego pisma.

Katarzyna Nowak

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Brukselo)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Jarosław Kałucki, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Leszek Szymański/PAP, EC; oprac. graf.: JAN/MIDAS**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — FIRMA RODZINNA — POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży) reklama@dorzeczy.pl; tel. + 48 692 46 40 80
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmami 296430
Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. ANDRZEJ BOGACZ/FORUM

Poselskie loty

Ponad 11 mln zł kosztowały już w tej kadencji poselskie samolotowe podróże po Polsce – ustalił tygodnik „Do Rzeczy". Rekordzistą jest poseł Jacek Protasiewicz

Koło Poselskie Unii Europejskich Demokratów liczy zaledwie czterech członków, ale za ich przeloty po Polsce podatnicy zapłacili łącznie ok. 243 tys. zł, czyli prawie dwukrotnie więcej niż za przeloty wszystkich 15 posłów klubu PSL (140 tys. zł). Szef koła UED Jacek Protasiewicz jest absolutnym rekordzistą wśród wszystkich posłów – zarówno pod względem częstotliwości korzystania z powietrznej taksówki (260 razy w ciągu 1,5 roku), jak i kosztów (prawie 149 tys. zł). Poseł Protasiewicz odmówił rozmowy z „Do Rzeczy" na ten temat.

Tuż za nim plasuje się znany lekkoatleta z Poznania – poseł Szymon Ziółkowski (PO), który od wyborów do czerwca tego roku z przelotów po Polsce samolotem skorzystał 255 razy. Kosztowało to ok. 146 tys. zł. – Latam tylko w obowiązkach parlamentarnych i praktycznie wyłącznie na trasie Poznań–Warszawa. Niestety, przejazd pociągiem z Poznania do stolicy tak się wydłużył, że samolot to najrozsądniejsze rozwiązanie – mówi Ziółkowski.

Rok temu poseł Borys Budka (PO) był czwarty, teraz w tym rankingu awansował na trzecią pozycję. Odbył 236 przelotów samolotem, które kosztowały 135 tys. zł. Budka to jeden z najaktywniejszych polityków opozycji. Gdy pytaliśmy go o podróże, był właśnie w Kostrzynie na Przystanku Woodstock.
– Ale przyjechałem samochodem – śmieje się były minister sprawiedliwości. I dodaje, że autem, które kupił w ubiegłym roku, przejechał już 70 tys. km. – Tam, gdzie trzeba dotrzeć szybko, na spotkania z wyborcami, na konferencje, latam samolotem. Jestem aktywnym posłem, odwiedziłem praktycznie każde województwo w Polsce – mówi „Do Rzeczy" poseł Budka.

Jacek Protasiewicz – 260 lotów
FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

Szymon Ziółkowski – 255 lotów
FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Borys Budka – 236 lotów
FOT. PIOTR HUKAŁO/EAST NEWS

Tuż za nim w liczbie „przelotów" lokuje się wiceminister MON Michał Dworczyk (PiS) uchodzący za jednego z polityków Prawa i Sprawiedliwości, który najczęściej pracuje w terenie z wyborcami.

Z samolotu korzystał 231 razy, za przeloty zapłaciliśmy 132 tys. zł. – Mieszkam w Warszawie, a mój okręg wyborczy to Wałbrzych. Lecę do Wrocławia, stamtąd samochodem czy pociągiem w teren. Staram się regularnie i często spotykać z wyborcami, choć teraz jest to z racji obowiązków ministerialnych trudniejsze – mówi Dworczyk.

Kto jeszcze dużo lata? Poseł Ireneusz Raś z PO (203 przeloty, 116 tys. zł) i jego klubowy kolega Grzegorz Furgo (210 przelotów, 120 tys. zł), a także posłowie PiS: Wiesław Jańczyk (201 przelotów, 115 tys. zł) i – z podobną liczbą przelotów i kosztów – poseł Mariusz Orion Jędrysek.

Bartosz Arłukowicz z Platformy Obywatelskiej z lotów po Polsce korzystał 199 razy (114 tys. zł), a poseł Krzysztof Mieszkowski z Nowoczesnej 193 razy (110 tys. zł). ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl d508e00ca9

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Wileński spleen

Przy okazji wakacji na Litwie chętnie zajrzałem do księgarni w Wilnie i Kownie. Nie sposób lepiej poznać sposobu myślenia narodów o swej historii.

Litwini bardzo dbają o politykę historyczną. Na półkach znaleźć można sporo dwujęzycznych albumów o historii kraju. Wiele publikacji – także po angielsku – opowiada o niepodległej Litwie z lat 1918–1920 oraz o represjach sowieckich w czasie II wojny i po jej zakończeniu.

Jedno rzuca się w oczy – czytelnik tych publikacji nie dowie się, że na Wileńszczyźnie czy – szerzej – na Litwie mieszkali kiedykolwiek Polacy. Sprawa miasta nad Wilią w okresie międzywojennym zbywana jest prostym stwierdzeniem: miasto było okupowane przez Polskę. Ani słowa o tym, że według spisu z 1931 r. w tym okupowanym przez Polaków litewskim mieście osoby deklarujące się jako Litwini stanowili jedynie 0,8 proc. ludności miasta (dokładnie 1579 osób).

Jeśli już trzeba coś pisać o wileńskich latach 20. i 30., to ogólnikowo wspomina się o dynamicznym rozwoju miasta oraz rozkwicie Uniwersytetu Wileńskiego. Biorę do ręki wydaną po angielsku książkę Laimonasa Briedisa „Vilnius. City of Strangers" o dziejach Wilna. Problem z okresem międzywojennym Briedis rozwiązał sprytnie – skupił się jedynie na ożywionym życiu społeczno-kulturalnym Żydów.

Co rusz pojawia się problem, kim byli bohaterowie wcześniejszych epok. Ktoś, kto nie zna bohaterów historii naszego kraju, nie odróżni Polaków, którym nazwiska zlitwinizowano, takich jak Petras Skargas (Piotr Skarga) od rodów rdzennej szlachty litewskiej – Tiškevičius (Tyszkiewicze) czy Radvila (Radziwiłłowie).

Oto zaglądam do pięknie wydanego albumu „Lithuania Millenium". Na portretach litewskich wielmożów – wojewodów, hetmanów i biskupów – z boku polskie napisy z XVII czy XVIII w. O tym jednak, jak przebiegała polonizacja – choćby krytycznie – ani słowa. W jeszcze większą zadumę wprowadziła mnie trzytomowa edycja albumów „Laisvės paženklinti" („Znaki wolności") o inspiracjach z dziedziny historii we współczesnej sztuce litewskiej. Bitwa pod Grunwaldem pojawia się tam na współczesnych płótnach przynajmniej ośmiu malarzy. Z obrazów można jednak odnieść wrażenie, że walczyli tam wyłącznie Krzyżacy z Litwinami. Tylko na jednym z nich zauważyłem w tle polski proporzec, ale tego akurat używała polska husaria w XVII w.

W tej sytuacji z zainteresowaniem wypatrzyłem w wileńskim saloniku prasowym okładkę popularnego magazynu historycznego z Józefem Piłsudskim na okładce. Wystarczyło jednak tylko parę chwil, by zrozumieć, że jest to przegląd postaci o litewskich korzeniach, które zmieniały historię świata. Tyle że obok naszego marszałka był Lew Trocki, którego ród także wywodzi się z Litwy, a wszystko w sosie taniej sensacji.

Pamiętam, jak w latach 90. w Gdańsku rozpoczęła się dyskusja o odkrywaniu niemieckiej przeszłości tych miast. Tych, którzy mieli wątpliwości, uspokajano: „To normalny proces, za jakiś czas także młodzi Litwini zaczną interesować się polską przeszłością Wilna!".

Pojechałem, zobaczyłem i informuję – na razie się nie interesują. ©℗

FOT. EAST NEWS

HISTORYCZNY AKCENT NA LEGII

Podczas ubiegłotygodniowego meczu Legii Warszawa z FK Astana kibice mistrza Polski przygotowali oprawę z okazji 73. rocznicy powstania warszawskiego. Pokazali poruszający obraz żołnierza przykładającego broń do skroni dziecka i opis w języku angielskim tłumaczący, że podczas powstania Niemcy zabili 160 tys. osób, w tym wiele dzieci. Ten sposób uczczenia rocznicy powstania odbił się szerokim echem na świecie, o akcji polskich kibiców pisało wiele międzynarodowych mediów. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

Grzywnę za Gronkiewicz-Waltz zapłacą warszawianie?

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Hanna Gronkiewicz-Waltz konsekwentnie unika składania zeznań przed komisją weryfikacyjną ds. warszawskiej reprywatyzacji. Prezydent Warszawy była wzywana wiele razy, ale nigdy nie pojawiła się przed komisją. Za kilkakrotne niestawiennictwo przed komisją na prezydent stolicy nałożono łącznie 12 tys. zł kary, ale wiceprzewodnicząca Platformy Obywatelskiej nie chce płacić z własnej kieszeni.

Jak doniósł „Fakt", reprezentująca prezydent Warszawy Kancelaria Adwokacko-Radcowska Pociej, Dubois, Kosińska-Kozak wysłała do przewodniczącego komisji Patryka Jakiego kilkanaście pism. Dziennik zacytował fragment jednego z nich: „Zauważyć należy, że postanowienia w przedmiocie grzywny zostały skierowane do Prezydenta m.st. Warszawy, jako organu wykonawczego […], a nie do Hanny Gronkiewicz-Waltz [jako osoby fizycznej – przyp. red.]". To oznacza, że prawnicy dążą do tego, by kary finansowe zostały zapłacone z budżetu miasta, a więc z pieniędzy podatników – mieszkańców stolicy.

– Jest to skandaliczne stanowisko pani prezydent. Tym bardziej bulwersujące jest to, że w celu przekazania tego stanowiska pani prezydent wynajęła prywatną kancelarię, za zapewne niemałe pieniądze – komentował Sebastian Kaleta, członek komisji weryfikacyjnej. W jednoznaczny sposób sprawę oceniał Paweł Rabiej z Nowoczesnej, również zasiadający w komisji. – Pani prezydent podjęła osobiście polityczną decyzję, że nie będzie się przed komisją weryfikacyjną stawiała. Przerzucanie w tej chwili odpowiedzialności na mieszkańców Warszawy, żeby to oni płacili kary za jej niestawiennictwo, jest nieetyczne i oburzające – mówił.

Hanna Gronkiewicz-Waltz napisała na Twitterze, że to wina samej komisji: „Nałożyła karę na organ – osoba prywatna, choćby chciała, nie może jej uregulować. Niech komisja ma pretensje do siebie".

Tymczasem komisja wykazuje wiele nieprawidłowości w procesie warszawskiej reprywatyzacji. W ubiegłym tygodniu uchyliła w całości decyzję władz Warszawy w sprawie działki pod dawnym adresem Sienna 29. Miasto przyznało prawo do użytkowania wieczystego działki Maciejowi M., który chciał tam wybudować wieżowiec. Wcześniej komisja weryfikacyjna cofnęła decyzję władz miasta w sprawie zwrotu działki przy ul. Chmielnej 70. ***(raw)*** ©℗

NIE ŻYJE PISARKA WANDA CHOTOMSKA

W wieku 87 lat zmarła Wanda Chotomska, pisarka i autorka wierszy. Napisała ponad 200 książek dla dzieci i młodzieży.

Urodziła się w 1929 r. w Warszawie. Brała udział w powstaniu warszawskim jako sanitariuszka. Po upadku powstania przebywała w obozie w Pruszkowie.

Literacko zadebiutowała na łamach czasopisma „Świat Młodych" w 1949 r. Pierwszy tomik poezji – „Tere fere" – wydała dziewięć lat później. Wspólnie z Mironem Białoszewskim publikowała wiersze w dwutygodniku „Świerszczyk", podpisywane pseudonimem Wanda Miron.

Wanda Chotomska była autorką pierwszej dobranocki emitowanej przez Telewizję Polską, czyli odcinkowej serii „Jacek i Agatka". Dwie pacynki zabawiały dzieci przed ekranami do 1973 r. To właśnie bohater dobranocki Jacek był inspiracją dla pomysłu nagradzania

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/EAST NEWS

dorosłych – dzięki konkursowi w „Kurierze Polskim" powstał Order Uśmiechu. Pisarka sama otrzymała go w 1969 r. ***(luz)*** ©℗

PIOTR GURSZTYN ODZNACZONY

W przededniu 73. rocznicy powstania warszawskiego prezydent Andrzej Duda odznaczył jego uczestników oraz osoby zasłużone w utrwalaniu pamięci o tym zrywie. Srebrnym Krzyżem Zasługi za upamiętnianie prawdy o najnowszej historii Polski odznaczony został publicysta „Do Rzeczy" Piotr Gursztyn, autor książki „Rzeź Woli" opublikowanej w 2014 r. ***(luz)*** ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szczegóły proszę

Nie umiem osądzić, czy jest jeszcze realna szansa wymuszenia na Niemcach zapłaty odszkodowań za dokonane przez nich zbrodnie i zniszczenia II wojny światowej, nie wiem nawet, jak podniesienie tego tematu wpłynie na naszą politykę zagraniczną i czy przeważą w tym zyski, czy straty, ale w kraju niewątpliwie jest to sprawa bardzo nośna.

Jak stwierdziła zastępca rzecznika niemieckiego rządu, nie tylko Bierut zrzekł się odszkodowań

Fakt, że podstawą pominięcia nas w wypłacanych przez Niemcy od lat odszkodowaniach jest zarówno dokument z roku 1953, wydany przez marionetkowy komunistyczny rząd na polecenie Kremla, jak i to, że po roku 1989 nikt nigdy nawet uprzejmie nie zapytał, czy aby jednak za ten ogrom szkód coś nam się ze strony tak mądrzącego się i ustawiającego nas do pionu ościennego mocarstwa nie należy – to dla przeciętnego Polaka po prostu krzycząca niesprawiedliwość, skandal i hańba. Może sobie do woli opozycja labiedzić, jakie to złe i niemądre czegokolwiek się od bratnich Niemiec domagać (poza oczywiście tym, żeby obaliły ten straszny PiS, który sobie głupi naród wybrał, i raczyli narzucić jakiś inny, europejski), ale znowu idzie w ten sposób pod prąd przekonaniom większości Polaków.

Niemcy chyba potraktowali zagrożenie poważnie, skoro samo to, że w Polsce zaczęło się o reparacjach mówić, od razu skłonił ich do wydania oświadczenia, iż nie mają wobec nas „żadnych prawnych ani moralnych zobowiązań". Pomijając kolejny pokaz niemieckiej arogancji (prawnych może, ale argument „moralny" to wyjątkowa bezczelność), która zawsze dobrze wpływa na popularność prawicy, a źle na notowania uwieszonych u obcych klamek PO, Nowoczesnej i lewicy, oświadczenie to zawiera ciekawy passus. Otóż jak stwierdziła zastępca rzecznika niemieckiego rządu, nie tylko Bierut zrzekł się odszkodowań, lecz także „wielokrotnie później" polskie władze – z kontekstu wynikało jasno, że chodzi o władzę III RP – to podtrzymywały.

Na piśmie śladów nie ma, trudno jednak nie zapytać, kto konkretnie, kiedy i przede wszystkim z czyjego upoważnienia składał Niemcom zapewnienia, że „brzydka panna bez posagu" żadnych pieniędzy od nich nie śmie zażądać? Oczywiście, „pan wiesz, a ja się domyślam", ale co innego się domyślać, a co innego poznać konkretne nazwiska, daty i słowa, w jakich obóz Okrągłego Stołu zapewnienia te w imię pozorowanego „pojednania" składał. ©℗

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zdradzie po włosku

Polityka ze sprzedajnością, z cynizmem i hipokryzją związana była zawsze. Jednak to, co się dzieje w Italii, zdumiewa nawet tych, którzy w polityce widzieli już wszystko. W związku ze zbliżającymi się wyborami parlamentarzyści, którzy cztery lata temu wyszli z partii Berlusconiego i wsparli lewicowy rząd, teraz znów zmieniają barwy partyjne i lojalności. Z sondaży wynika bowiem, że centroprawica powinna wybory wygrać.

Spośród wszystkich 945 parlamentarzystów wybranych w 2013 r. aż 35 proc. zdążyło zmienić piórka. Rekordzista świata, senator Luigi Compagna, aż dziewięć razy. Innymi słowy, w ciągu 4,5 roku wybrańcy narodu bez cienia żenady aż 502 razy zmieniali partie i poglądy, pokazując swemu elektoratowi wyprężony środkowy palec.

Trudno nie mówić o totalnej degeneracji włoskiej klasy politycznej. Zdrada w parlamencie nabrała rozmiarów pandemii. Może dlatego, że jest świetnie płatna. Renegat Angelino Alfano, jeszcze w 2013 r. adiutant Berlusconiego, jest dziś szefem MSZ (choć nie zna ani jednego języka obcego), a jego prawicowe, kanapowe ugrupowanie otrzymało aż 14 stanowisk w lewicowym rządzie. Teraz Alfano znów uśmiecha się do Berlusconiego. Komentatorzy, ale też mój fryzjer, skarżą się, że trzeba zatykać nos.

Norman Lewis był oficerem brytyjskiego wywiadu w Neapolu po wyzwoleniu w 1944 r. Jak wspominał, wielu dystyngowanych neapolitańczyków proponowało mu wówczas pomoc w tropieniu faszystów. Naturalnie za pieniądze. Z dokumentów w archiwach niemieckiego konsulatu w Neapolu wynikało, że ci sami osobnicy nieco wcześniej listy podobnej treści pisali do władz niemieckich, tyle że oferowali pomoc w ściganiu antyfaszystów i ruchu oporu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d508e00ca9

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Uciekający horyzont, wersja 2.0

W czasie pierwszych rządów PiS pisałem o zjawisku uciekającego horyzontu. To zjawisko typowe dla partii, które dochodzą do władzy ze względnie przemyślanym i spójnym programem. Zjawisko to polega na tym, że rządzący mają jakiś dalekosiężny, strategiczny cel, na ogół zdefiniowany dość ogólnie. Uważają, że aby go zrealizować, muszą wykonać wiele drobnych posunięć, małych kroków, a potem kolejnych, wynikających z tych poprzednich. W miarę upływu czasu okazuje się, że horyzont nie przybliżył się ani trochę – jak to horyzont jest w istocie nieosiągalny – za to decyzje, które podjęto, aby się do niego zbliżyć, powodują coraz większe trudności i nierzadko stoją w sprzeczności z tym, co rządzący pierwotnie deklarowali.

Dlaczego całkowicie zarzucono plan jakiejkolwiek reformy systemu legislacji?

Wygląda na to, że i tym razem zjawisko uciekającego horyzontu daje o sobie znać. Jeśli przyjąć, że celem dalekosiężnym było – ogólnie mówiąc – lepiej działające, sprawniejsze państwo (niestety, nie bardziej ograniczone w swoich kompetencjach, ale tego akurat etatystyczny PiS nigdy nie obiecywał), to jak się to ma choćby do rezygnacji z likwidacji gabinetów politycznych, którą PiS, będąc w opozycji, uważał za oczywistość? Dlaczego całkowicie zarzucono plan jakiejkolwiek reformy systemu legislacji? Dlaczego wciąż rządowe w istocie projekty, takie jak Ustawa o Sądzie Najwyższym czy Ustawa o Funduszu Dróg Samorządowych, są forsowane jako poselskie, co pozwala ominąć tworzenie oceny skutków regulacji i konsultacje? Jak obietnice mają się do nominacji w spółkach Skarbu Państwa, nieopartych na kompetencji i doświadczeniu, ale jakichś niejasnych partyjnych układach? Odpowiedź jest we wszystkich przypadkach prosta: nijak się nie mają.

Kwestia rządowych projektów ustaw, forsowanych jako poselskie, jest szczególnie dobrym przykładem. Usprawiedliwienie byłoby zapewne takie samo we wszystkich podobnych przypadkach: nie czas na jakieś tam konsultacje i inne bzdury, państwo prawie się wali, trzeba je szybko naprawiać. Tyle że to naprawianie przez psucie – w tym przypadku psucie, a właściwie doszczętną destrukcję zasad dobrej legislacji.

PiS działa niestety nie jak partia państwowców, lecz jak ugrupowanie rewolucyjne. Tylko rewolucjoniści mogą wierzyć, że da się cokolwiek naprawić poprzez niszczenie. ©℗

REKLAMA

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 27 sierpnia 2017 r.

1.

~~39,90 zł~~ 27,50 zł

2.

~~39,90 zł~~ 28,50 zł

3.

~~39,90 zł~~ 27,90 zł

4.

~~59,90 zł~~ 39,50 zł

5.

~~49,90 zł~~ 34,90 zł

ZAMÓW:
www.ksiegarniadorzeczy.pl
12 431 25 78

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. PAWEŁ GRONIADA

NIE CHCĘ BYĆ MACHO

Celebryta Leszek Stanek, gwiazda pierwszej edycji programu „Azja Express", wyznał w niedawnym wywiadzie, że nie zamierza udawać kogoś, kim nie jest, tylko na potrzeby show-biznesu. Mianowicie nie zamierza kreować się na macho, bo aż tak bardzo nie zależy mu na popularności. – O to chodzi w Instagramie, aby był naszą wizytówką. Nie chcę się kreować na macho na Instagramie, mam tam foty, gdzie wyglądam na twardziela, czasami pokażę trochę klaty – mówi. – Mój Instagram poniekąd mnie odzwierciedla: dystans do siebie, luz, poczucie humoru, ale też wrażliwość – dodaje. I skromność. To pierwsze, co rzuca się w oczy.

POMYSŁ NA ŻYCIE

Jeśli nie wiecie, kim jest Sylwia Nowak, to nie przejmujcie się – my też nie wiemy. To znaczy teraz już wiemy, bo właśnie doczytaliśmy, że pojawiła się w show-biznesie cztery lata temu za sprawą serialu „Miłość na bogato". Udało jej się wystąpić w „Playboyu" i „CKM", próbowała też coś tam śpiewać, ale bez sukcesów. Udziela za to wywiadów, chodzi na imprezy i jest aktywna w mediach społecznościowych. Mimo że wciąż tylko aspiruje do celebryckiej pierwszej ligi, specjalnie nie narzeka na swoje życie. Wręcz przeciwnie, chwali się, że z relacjonowania swojego życia w mediach społecznościowych żyje jej się całkiem nieźle. – Życie z social mediów to jedyny zarobek, jaki mam. Nigdy nie zarabiałam tyle co teraz, a nie pracuję ośmiu godzin dziennie. Zarabiam więcej niż w korporacji – opowiada. I teraz w sumie nie wiadomo – zazdrościć czy współczuć? Zazdrościć Sylwii sprytu czy współczuć nam wszystkim kierunku, w jakim zmierza ten świat.

KONIEC JEST BLISKI

Trwa ostra wymiana zdań między dwiema gwiazdami dwojga nazwisk, a mianowicie Karoliną Korwin-Piotrowską i Barbarą Kurdej-Szatan. W swojej książce ta pierwsza napisała o tej drugiej, że jest kiepską aktorką. „Jest naprawdę urocza, ale aktorka z niej żadna. Zmanierowana w stopniu katastrofalnym. Umie robić trzy miny na krzyż i odbiera Telekamerę... dla najlepszej aktorki. Takie są gusty Polaków. Memento mori. Koniec jest bliski" – napisała Korwin-Piotrowska. Kurdej-Szatan postanowiła się więc odgryźć, sugerując, że z Korwin-Piotrowskiej żadna tam pisarka. „Rozumiem panią Karolinę. Zarabia na »jechaniu« po ludziach show-biznesu. Życzę jej, żeby książka świetnie się sprzedała. Wypowiedzi niemerytoryczne i hejt sprzedają się przecież najlepiej. Takie są gusty Polaków. Memento mori. Koniec jest bliski" – odpowiedziała w jednej z kolorówek. Czekamy na ciąg dalszy wymiany uprzejmości. I wcale nie chcemy, by koniec był bliski!

EDYTA PISZE

Uwaga! Edyta Górniak po tym, jak zachwyciła się pomysłem filmu fabularnego na swój temat, chce iść za ciosem i myśli nad publikacją autobiografii. Przy czym nie zamierza iść na łatwiznę i skorzystać z usług jakiegoś ghostwritera. Nie, książkę o sobie chce napisać sama. Mówi zresztą, że od dawna już ją pisze i dojrzewa do myśli, by ją wydać. Tygodnik „Rewia" ujawnił, że Edzia właśnie negocjuje warunki finansowe wydania książki. Gra się toczy o duże pieniądze, bo publikacja trafiłaby do sprzedaży przed premierą nowego show „The Voice Kids", w którym Edzia będzie jurorką. – Książka jest pisana jednym umysłem i jednym sercem – wyznaje piosenkarka. A że chodzi o umysł samej Edzi, książka będzie prawdziwą intelektualną ucztą! Wprost nie możemy się doczekać.

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

INSTRUKCJA KASI TUSK

Kasia Tusk po swoim „Elementarzu stylu", w którym radziła, „jak zawsze wyglądać z klasą", wydaje nową książkę. Tym razem poradnik dotyczący tego, jak robić zdjęcia. No bo wiadomo. Skoro już dzięki Tuskównie wiemy, jak się stylowo ubrać, to teraz trzeba wiedzieć, jak pstryknąć dobrą fotę na Facebooka, Instagram czy blog. A w tym Kasia doświadczenie ma niemałe, bo z tego właśnie żyje od sześciu już lat. Kasia mówi, że „dedykuje swoją książkę nie profesjonalnym fotografom, ale wszystkim osobom, które lubią i chcą robić zdjęcia niezależnie, czy korzystają z profesjonalnej lustrzanki, czy zwykłego telefonu z aparatem". W zapowiedzi książki czytamy, że dowiemy się z niej m.in. tego, że aby zrobić dobre zdjęcie, trzeba „wybrać miejsce, pomyśleć nad ujęciem i w odpowiednim momencie nacisnąć spust migawki". Dobrze, że jest Kasia Tusk, która pisze takie książki. Przecież sam człowiek w życiu by na to nie wpadł! ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, Internet obiegło zdjęcie przedstawiające osobę pigmentalnie uposażoną z założoną na rękę biało-czerwoną opaską, która to osoba zdaje się oddawać cześć pamięci Powstania Warszawskiego. Mamy kilka podpowiedzi, jakie narracje o tym prowadzić, iżby nie wyszło, że w tym kraju nie ma rasizmu i fashysmu:

1) Osoba pochodzenia afrykańskiego była tam tylko jedna wśród tłumu osób białonormatywnych. Skąd takie krzywdzące proporcje? Bo w tym kraju kwitnie rasis i fashys!!!!

2) Pewnie była to osoba zastraszana, dla której życie w tym kraju i tak jest niezwykle trudne, dlatego też postanowiła rozpaczliwie zamanifestować swoją przynależność do jego kultury i tradycji.

3) Łeee, to pewnie jakiś prawak pomalowany jak Hugo-Bader na marszu narodowców xDD

Jak pewnie wiecie, Anglia ma królową, a ta królowa ma osobomęża o tytule księcia. Bardzo podoba nam się taka pozytywna dyskryminacja, kiedy mąż ma niższy tytuł od osobożony. Szkoda, że królowa co prawda nie ma osobożony, ale na początek dobre i to.

W każdym razie: ten osoboksiążę Filip idzie właśnie na emeryturę w wieku 96 lat. Sami widzicie, jaka przepaść cywilizacyjna dzieli nas i Anglię? Jakie różnice w kulturze społecznej i politycznej? Jak u nas podniesiono wiek emerytalny do 67 lat, to od razu rozległy się lamenty. A tam książę pracuje prawie do setki i się wcale nie skarży.

Z drugiej strony: osobokrólowa o emeryturze nie myśli, a ma już 91 lat. Sprawiedliwość społeczna i antypatriarchalizm wymagałyby natomiast, iżby poszła na nią w wieku lat 97, później niż Filip. Pamiętajmy bowiem, iż niższy wiek emerytalny dla kobiet to przejaw niezdrowego seksizmu i szowinizmu.

Wielkie halo, ponieważ archeolodzy odkryli na Podkarpaciu jakąś bardzo starą amforę, liczącą jakieś 2,5 tys. lat, czyli mógł z niej nawet pić sam Mieszko. Naszym zdaniem po prostu weszli do pierwszej lepszej chałupy i zobaczyli, w czym gospodarze podają zsiadłe mleko do obiadu.

W każdym razie pokazaliśmy tego newsa Nowemu z Tarnowa, pytając go, czy widział kiedyś podobne naczynie.

Nowy stwierdził, iż jasne, i wyjął z lnianej torby (ale nie eko, nie myślcie sobie) jakieś inne podobne naczynie i powiedział, że codziennie w drodze do korpo popija z niego maślankę, ponieważ taka najlepsza na upały, a u niego w rodzinnym domu takie amfory to ma każdy członek rodziny i nikt z tego sensacji nie robi.

Dodał jeszcze tylko, że w tych warszawkach i krakówkach to z byle czego sensację robią i daliby ludziom spokój z takimi znaleziskami :/

Chodziliśmy po lesie i szukaliśmy posłów Platformy albo chociaż Nowoczesnej, ale zamiast nich były tylko szyszki i zające

Spędziliśmy miniony weekend poza Krakowem, pełni nadziei, iż nagle zza pienińskiej sosny wyskoczy Borys Budka i będzie chciał z nami porozmawiać o konstytucji, a Kinga Gajewska omówi nam stan praworządności w tym kraju.

Chodziliśmy więc po lesie i szukaliśmy posłów Platformy albo chociaż Nowoczesnej, ale zamiast nich były tylko szyszki i zające. Próbowaliśmy więc wziąć na siebie trud dyskursu, ale osobofauna nie była zainteresowana sytuacją sędziów w tym kraju.

Następnym razem musimy staranniej dobierać miejscówki na weekend, iżby Borys Budka nas nie ominął. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl d508e00ca9

dwaj panowie g

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

I doigrała się totalna opozycja. Kaczafi w ostatnim tygodniu przykręcił śrubę. Myślicie, że te 35 st. C wzięło się z powietrza? Słyszeliśmy, że jeśli PeŁo nie przestanie przeszkadzać Polakom na plaży, a Unia nie odczepi się od Puszczy Białowieskiej, to Błaszczak dostał już polecenie, żeby zwiększyć do 45 st. C.

Àpropos Błaszczaka. Nastąpił zapowiedziany przez nas koniec Biura Ochrony Rządu. Powstaje bowiem Służba Ochrony Państwa. Oznacza to, że borowików zastąpią sopiści. Odetchnęliśmy z ulgą. Nie mieliśmy bowiem pojęcia, jak byśmy mówili zdrobniale na funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, a taki był pierwotny pomysł na nazwę. No i powiedzmy szczerze, w Polsce słowo „agencja" nie kojarzy się najlepiej.

Powęszyliśmy trochę wokół plotki o tym, że weta prezydenta Andrzeja Sebastiana to efekt spisku Morawieckiego, Gowina i Bielana. Okazało się, że po wetach nadpremier Morawiecki i spin marszałek Bielan byli wściekli na Andrzeja Sebastiana i równie zaskoczeni jak cała reszta. Tak, wiemy, w jakim świetle stawia to trzeciego podejrzanego. Gowin i tak jednak ma u dobrej zmiany przechlapane, więc pewnie mu obojętne, co o nim mówią.

Dowiedzieliśmy się ostatnio z pewnego tygodnika, że prezydent Andrzej Sebastian nie jest już taki jak Bronisław Maria. Tylko dużo gorszy. Mianowicie albo z niego kłamca, albo agent Berlina. Taki na telefon. Nie rozumiemy tego „albo – albo". Dlaczego Andrzej Sebastian nie może być jednym i drugim naraz? Czyżby partyzantom wolnego słowa brakowało wyobraźni?

Mamy nadzieję, że wszyscy autorzy strefy partyzantów wolnego słowa zwrócą teraz Andrzejowi Sebastianowi odznaczenia, które od niego ostatnio dostali. Przecież przyjąć order od agenta Berlina to coś jeszcze gorszego, niż przyjąć Nagrodę Karola Wielkiego od Angeli Merkel. Chłopaki, nie bądźcie Tuskami!

eprasa.pl d508e00ca9

W tym samym tygodniku Zizou Ziobro przypomniał, że był czas, kiedy to on był szefem Andrzeja Sebastiana i to on mówił Andrzejowi Sebastianowi, co i jak. Chcielibyśmy przypomnieć Wielkiemu Nauczycielowi Prezydentów, że część rodziców zwykła za kłopoty z wychowankami winić kadrę pedagogiczną.

W innym tygodniku, bardziej rybackim, który stracił „w", ale zyskał „prawdy", Zizou Ziobro ogłosił, że w otoczeniu Andrzeja Sebastiana zalęgły się larwy, które marzą o karierze politycznej. Pocieszamy larwy. My na przykład wedle konkurencji założyliśmy tygodnik za pieniądze Putina, żeby chwalić Hitlera. Nie łamcie się, larwy, z tym da się żyć.

Wojna między dużym a małym pałacem? Nawet byśmy uwierzyli, gdyby nie fakt, że odkryliśmy łącznik między pałacami. A właściwie łączniczkę. Otóż pierwsza dama Agata oraz premier Bełata mają podobno wspólną stylistkę o wdzięcznym imieniu Marianna. Ciekawa rzecz: żeńskie przedstawicielki średniego szczebla urzędniczego obydwu pałaców mają wspólne zdanie o Mariannie. To znaczy: pytają, jak kobieta, która sama odziewa się w worki po kartoflach, może dbać o wizerunek dwóch najważniejszych kobiet w Polsce. Nas to nie dziwi. Po pierwsze – znamy przysłowie o szewcu, co bez butów chodzi. Po drugie – po prostu Marianna to, co najlepsze, oddaje Polsce.

Ciekawostek z pałacu ciąg dalszy. Pracownicy kancelarii Andrzeja Sebastiana narzekają na niejaką Grażynę Ignaczak-Bandych, dyrektor generalną. Twierdzą, że za sprawą jej aktywności do rangi Himalajów urasta najdrobniejsza pierdoła, typu zakup potrzebnego sprzętu. Te Himalaje to tony papierów, które trzeba wypełniać. Na szczęście dyrektor stara się stanąć na wysokości zadania. I rozwiązuje problemy, organizując szkolenia z rozwiązywania problemów.

Jedno ze szkoleń wyglądało tak: pierwsze zajęcia „proszę podać, jakie Państwo macie problemy w funkcjonowaniu Biur (sic!) – mapa problemów". Drugie zajęcia „proszę podać, jakie sobie Państwo wymyśliliście sposoby na poradzenie sobie z tymi problemami (sic!) – mapa możliwości intelektualnych". Pracownicy czekają na szkolenie, które rozwiązałoby problem dyrektor generalnej.

Fala populizmu wzbiera w Warszawie. Nieodpowiedzialny PiS, któremu mało „500+", rozrzutnie wydaje pieniądze na prawo i lewo – po darmowych biletach miesięcznych dla uczniów przyszedł czas na darmowe przedszkola. Balcerowicz grzmi. Petru przypomina, że zanim się wyda, trzeba zarobić… A nie, przepraszamy… Przecież w Warszawie nie rządzi PiS, tylko Hanka Gronkiewicz-Waltz z PeŁo. Więc nikt nie grzmi, nie przypomina i nie ma żadnego populizmu. Jest odpowiedzialna polityka prorodzinna.

Apropos dzieci. Okrucieństwo Dobrej Zmiany nie zna granic. Jesienią PiS-owcy chcą torturować dzieci w polskich szkołach programem „Szkoła z witaminą", uczyć je zdrowego żywienia, zmuszać do jedzenia warzyw oraz owoców i picia soku z jarmużu. Domagamy się objęcia tym programem studentów. Oni tego bardziej potrzebują. Na przykład Radek Sknerus Sikorski wozi synowi do Eton tylko kabanosy.

Wakacje, wakacje. Skrupulatnie odnotowujemy kierunki wakacyjnych wyjazdów posłów, bo jak mówili starożytni Rzymianie, pokaż mi, gdzie odpoczywasz, a powiem ci, kim jesteś. Dlatego nie zdziwiła nas informacja, że pewien poseł PiS wybrał opcję transatlantycką (USA), a pewien poseł peezelu pansłowiańską (Moskwa). Spora frakcja ponadpartyjna planuje wakacje w kraju. Wzywamy ich, by odpoczywali w Puszczy Białowieskiej. Kornik sam się nie zwalczy.

Apropos peezelu. Nasi zieloni bracia twierdzą, że posłanka Andżelika Możdżanowska, która porzuciła ich szeregi, nie przyjęła oferty Nowoczesnej Kropki, bo wybiera się całkiem gdzie indziej. Do partii Kaczora-Dyktatora. Na razie jest niezależna, bo przechodzi kwarantannę.

Przy okazji obchodów rocznicy Powstania Warszawskiego zaciekawiła nas zbitka dwóch wystąpień. Zły Donald z Brukseli zrobił się na chwilę prawie tak dobry jak Dobry Donald z USA i powiedział, że niezależnie od podziałów powstanie trzeba czcić. A jego dawny minister, Radek Sknerus Sikorski, powstanie obsobaczył. Dzięki temu wyjaśniło się, dlaczego właściwie PeŁo pozbyła się Radka Sknerusa – on po prostu jest zbyt mało patriotyczny nawet jak na standardy Tuska.

Tymczasem u Tuska. Przyjechał, zeznawał osiem godzin, a potem ogłosił, że martwi się o Polskę i że Kaczor-Dyktator ma na jego punkcie obsesję. Na dowód, w trakcie swojego krótkiego wystąpienia Tusk wspomniał prezesa PiS jakieś dwieście razy.

Coś z mediów. Nauki ścisłe znają rozmaite prawa zachowania – np. masy czy energii. Ale nie znały do tej pory prawa zachowania głosu. Tak jest w Polsce. Głos odzyskał o. Boniecki, ale żeby w przyrodzie pozostała równowaga, głos stracił Kazek Sowa, ksywa „Ksiądz". Jeszcze nie tak dawno pełno go było, a teraz jakoby nikogo nie było. Coraz bardziej podoba nam się nowy krakowski metropolita.

Trwa dyskusja, jak dokładnie ma wyglądać według Dobrej Zmiany dekoncentracja i repolonizacja mediów. Wszyscy mówią o gazetach lokalnych i telewizji, a nikt o Internecie. Śpieszymy więc z pomocą. Proponujemy, żeby na początek portale należące do zagranicznego kapitału musiały posługiwać się osobnymi domenami. Na przykład: zamiast Onet.pl – Onet.anty.pl.

Jeszcze chwilę o mediach. Antypisowskie wzmożenie jest widoczne, ale czasem dobre chęci przeradzają się w groteskę. Podpis w „Fakcie" pod zdjęciem, którego główną atrakcją jest młoda posłanka PeŁo: „Teraz Gajewska broni demokracji nad Bałtykiem, m.in. z Borysem Budką i suczką Lolitą". ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

Marcin Makowski

Atak

Używanie zagranicznych mediów przez polskich dziennikarzy i polityków do własnych celów ideowych przetestowano za pierwszych rządów PiS. Dzisiaj ten mechanizm zwiększa obroty. Jak działa i jaki jest jego cel?

Gdyby spojrzeć na polską politykę jedynie przez pryzmat zagranicznych mediów, zaskakujące okażą się trzy rzeczy: jak wiele uwagi poświęca się polskiej opozycji, jak spójne i negatywne są oceny obecnego rządu oraz – co tłumaczą punkty pierwszy i drugi – jak często teksty wychodzą spod pióra polskich dziennikarzy, a komentarze z ust polityków Platformy czy Nowoczesnej. Nie przeszkadza to jednak rodzimym mediom w cytowaniu opinii lewicowo-liberalnych dziennikarzy znad Wisły jako „głosu »New York Timesa«". Wystarczy podać tytuł zachodniego medium, zapomnieć o nazwisku autora i w taki sposób odbiorca otrzymuje głos prasy niemieckiej, francuskiej albo hiszpańskiej. Jak twierdzi Dominika Ćosić, korespondentka TVP w Brukseli, zjawisko produkcji „echa z zagranicy" przypomina obieg zamknięty. – To prosty i skuteczny mechanizm, w którym tworzy się jakieś zjawisko, opisuje je z konkretnej perspektywy politycznej, a następnie poprzez zakamuflowanie autora stwarza wrażenie, że cały świat żyje np. protestami ulicznymi w Warszawie i uważa Polskę za enfant terrible Europy – mówi dziennikarka.

Według Sławomira Dębskiego, dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, geneza zjawiska ma źródło w polskim kompleksie postkolonialnym oraz mentalności peryferyjnej, uwarunkowanych poprzez traumatyczne doświadczenia historyczne. Chociaż w różnym stopniu myślenie postkolonialne dotyczy całego polskiego społeczeństwa, to reakcja na krytykę przychodzącą z zewnątrz nie jest jednoznaczna. – Dla niektórych wyborców nagana płynąca z Zachodu to sygnał alarmowy i powód do wstydu za sytuację w kraju, dla innych z kolei znak, że Polska idzie w dobrym kierunku. Ci wyborcy sądzą, że jeżeli zmiany w Polsce oceniane są w Berlinie czy Paryżu negatywnie, to znaczy, że działamy we własnym interesie – twierdzi Dębski, dodając, że w tym sensie jest to broń obosieczna. Zdaniem dyrektora PISM uczestnicy debaty publicznej w kraju zdają sobie sprawę z tego kompleksu i jego podwójnej roli, dlatego świadomie za jego pomocą wpływają na kształt opinii publicznej oraz sterują emocjami. – W tym sensie polscy dziennikarze czy politycy wypowiadający się dla mediów zagranicznych robią to de facto nie dla nich, ale na użytek wewnętrzny, ponieważ osiągają w ten sposób wzmocnienie swojego przekazu – podkreśla Dębski.

Zbigniew Kuźmiuk, europoseł PiS, zauważa, że nie da się zrozumieć znaczenia „ech z zagranicy" bez uznania tego procederu za element szerszej gry politycznej. Jego zdaniem ta gra odbywa się jednocześnie na wielu płaszczyznach i ma za zadanie obniżyć wiarygodność polskiego rządu. – Dzieje się to za pomocą zachodnich mediów, produkowania fake newsów oraz uruchamiania starych kontaktów politycznych za granicą, w czym przoduje

LESZEK SZYMAŃSKI/FAP; EC; OPRAC. GRAF.: JAN/MIDAS

eprasa.pl d508e00ca9

pośredni

Radek Sikorski z małżonką. Swój klocek do tej układanki dorzucają również byli ambasadorowie oraz dyplomaci, którzy często zupełnie oficjalnie oczerniają rządy PiS za granicą – twierdzi Kuźmiuk. A Adam Bielan, wicemarszałek Senatu z Polski Razem, dodaje, że strategia wynoszenia wewnętrznego konfliktu na arenę międzynarodową jest tak często stosowana, ponieważ już raz się sprawdziła. – Nawet dzisiaj opinia publiczna często nie zna wagi poszczególnych tytułów i zdarza się, że w debacie publicznej na pierwszy plan wysuwa się felieton z regionalnego niemieckiego dziennika. W latach 2005–2007 powoływanie się na takie marginalne głosy jako stanowiska całych Niemiec czy Francji było bardzo skuteczne – mówi Bielan. – Polakom utrwaliło się wtedy przekonanie, że PiS zniszczył wizerunek Polski i jesteśmy pośmiewiskiem dla Europy. Ta silna emocja pomogła Platformie zdobyć władzę w wyniku przyspieszonych wyborów. Dzisiaj sytuacja się nieco zmieniła. Wielu rodaków wyjechało na Zachód, zobaczyło, że sytuacja tam wcale nie jest różowa, a Unia Europejska to nie jest jedna wielka kochająca się rodzina. Wciąż jednak stosuje się ten mechanizm, robią to zarówno politycy, jak i dziennikarze, co osłabia naszą soft power na świecie – dodaje.

KOMENTARZE, LISTY I APELE

Dużą rolę w kreowaniu polskiego wizerunku za granicą odgrywają europarlamentarzyści oraz niektórzy przedstawiciele krajowej opozycji. – Wiceszef Komisji Europejskiej Frans Timmermans jest odpowiedzialny za przestrzeganie prawa, więc jeśli jakiś kraj łamie traktaty, to on ma obowiązek zwracać na to uwagę – mówiła po ogłoszeniu wobec Polski ultimatum Komisji Europejskiej w sprawie sądownictwa Róża Thun z Platformy Obywatelskiej. W najgorętszym okresie protestów przeciwko reformie sądownictwa wielu z posłów zaczęło pisać tweety po angielsku, licząc na zainteresowanie zachodnich odbiorców. Lider Nowoczesnej – Ryszard Petru – skierował z kolei list otwarty do unijnych przywódców z prośbą o przyjrzenie się sytuacji w Polsce. – Pewną rolę w tym zjawisku odgrywa ideologia unijna. Skoro jesteśmy w Unii, to interes Wspólnoty jest również interesem Polski. Wszystko odbywa się w wielkiej europejskiej rodzinie, dlatego nie ma wstydu w piętnowaniu prawicowego rządu, który wyłamuje się z tej optyki. Dla niektórych to wręcz moralny imperatyw. Zamiast cynizmu, tak jak u Donalda Tuska, kierują nimi po prostu emocje. Nie widzą przy tym, że sami na tym tracą – tłumaczy prof. Ryszard Legutko z PiS.

Zdaniem Zbigniewa Kuźmiuka przynajmniej w przypadku europarlamentarzystów mamy do czynienia z powtarzającą się grupą rozmówców. – Oprócz Róży Thun szczególnie aktywni na tym polu są również komisarz Janusz Lewandowski, Dariusz Rosati czy Jarosław Wałęsa – wylicza. Sławomir Dębski dodaje jednak, że samo zjawisko komentowania sytuacji politycznej w Polsce dla zagranicznych mediów nie jest niczym nagannym. – Jeśli sytuacja dotyczy np. polityka, który w ten sposób otwarcie zabiega o realizowanie programu swojej partii, to ma on prawo do używania obcych mediów w celu mobilizacji elektoratu oraz pozyskania ideowego wsparcia z Zachodu. Nawet jeśli dla części społeczeństwa tego typu praktyki będą naganne – podkreśla. Część polityków wychodzi jednak poza tę rolę.

Jak w rozmowie z „Do Rzeczy" zdradza jeden z polityków związanych z Ministerstwem Spraw Zagranicznych, załatwianie polskich spraw na forum międzynarodowym budzi niesmak wielu brytyjskich i amerykańskich dyplomatów. – Duża grupa moich kolegów z oburzeniem zareagowała na list byłego ambasadora Ryszarda Schnepfa, który publicznie zaczął oczerniać rząd, dla którego jeszcze do niedawna pracował – mówi informator „Do Rzeczy". – Dla wielu osób, które wypadły z obiegu, uderzenie w prawicę poprzez Zachód to droga powrotna do polityki, w przypadku ewentualnej zmiany władzy. Bywa też, że działają zawiedzione nadzieje – dodaje. Nasz rozmówca podkreśla też, że dla wielu polskich polityków zagranica to po prostu kolejny front wojny polsko-polskiej, który wykorzystują w celu budowania kapitału politycznego w kraju. Nie bez sympatii środowisk medialnych.

– Nagminną praktyką jest to, że gdy zagraniczni dziennikarze przyjeżdżają do Polski albo chcą porozmawiać o naszym kraju w europarlamencie, w zasadzie ograniczają się do dyskusji z przedstawicielami opozycji. To im wystarczy. Później trudno się dziwić, że czytelnicy sądzą, iż w Warszawie jest o włos od puczu – mówi wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego Ryszard Czarnecki.

DZIENNIKARSKIE MODUS OPERANDI

Poza politykami aktywni w komentowaniu sytuacji w Polsce są polscy dziennikarze oraz publicyści. Niemal w ciemno można założyć, że gdy największe media w kraju zaczynają cytować krytyczną opinię „wpływowego dziennika", nie podając przy tym jej autora, w większości przypadków chodzi o naszego rodaka. Jerzy Kuczkiewicz, Tomasz Bielecki, Joanna Berendt, Sławomir Sierakowski, Jarosław Kurski, Aleksandra Cichowlas, Bartosz T. Wieliński, Michał Broniatowski, Maya Rostowska, Maciej Stasiński, Piotr Moszyński, Agata Pyzik, Paweł Sobczak, Adam Leszczyński, Julia Szyndzielorz – wystarczy wymienić tylko kilka z tych nazwisk, aby zidentyfikować gros artykułów napisanych od „New York Timesa" przez „Guardiana" do „Die Welt", cytowanych następnie jako głos zaniepokojonego sytuacją w Polsce Zachodu.

– Gdyby się przyjrzeć personaliom dziennikarzy piszących za granicą o Polsce, okaże się, że to bardzo hermetyczna grupa – mówi Ryszard Legutko. – Zazwyczaj związana w przeszłości

eprasa.pl d508e00ca9

albo obecnie z „Gazetą Wyborczą", koncernem RASP czy „Polityką", ale aktywnie współpracująca z największymi europejskimi mediami. Oni uważają, że tak trzeba pisać. Sprawa łamania demokracji w Polsce jest tak ewidentna, że nie wystarczy analizować rzeczywistości, ale trzeba aktywnie w niej uczestniczyć na froncie medialnym. Nie chcę wymieniać nazwisk, bo to by był pocałunek śmierci, ale nawet część środowiska widzi, że sprawy zaszły za daleko. Wielu polskich korespondentów było zdziwionych zachowaniem dziennikarki Polsatu, która stanowczo domagała się podczas konferencji w Komisji Europejskiej zajęcia się sprawą Polski, w której za chwilę skończy się demokracja.

Jak przekonuje polityk niegdyś blisko związany z kreowaniem wizerunku medialnego Nowogrodzkiej, negatywne recenzje obecnego rządu za granicą to nie tylko domena Anne Applebaum oraz kręgu jej znajomych w USA z „The Washington Post" i CNN. Chodzi również o niektórych korespondentów zagranicznych polskiego pochodzenia. – Dlaczego w tym procederze dominują ludzie z „Wyborczej"? To wynika po części z wykorzystania samej rozbudowanej sieci kontaktów Adama Michnika na Zachodzie i później kooperacji koncernu Agory w ramach rozmaitych sieci medialnych z innymi podobnie zapatrującymi się ideowo tytułami – przekonuje polityk. – O ile „Gazeta Wyborcza" utraciła pozycję najbardziej wpływowego medium w naszym kraju po stronie liberalnej na rzecz TVN, o tyle niewątpliwie jeśli chodzi o kontakty z zagranicą, to ona wciąż może się pochwalić największym zasięgiem oddziaływania – zauważa.

W Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii krytykowanie własnego rządu w prasie zagranicznej jest zjawiskiem marginalnym

– Media głównego nurtu mają wszędzie na świecie bardzo liberalne i lewicowe skrzywienie. Ponieważ nie lubią prawicowych rządów niezależnie od okoliczności, swoją pracę traktują niekiedy w kategoriach walki ideowej. W Polsce z Jarosławem Kaczyńskim, w USA z Donaldem Trumpem, w Wielkiej Brytanii z rządem Theresy May, we Francji z partią Marine Le Pen – mówi „Do Rzeczy" jeden z polskich dyplomatów.

Polskie środowiska prawicowe często zbyt szybko przypinają łatkę donosiciela tym dziennikarzom, którzy piszą do zagranicznych pism. Granice zawodowe przekraczane są bowiem dopiero wówczas, gdy dziennikarz świadomie przyjmuje rolę polityka. – W takiej sytuacji zagraniczny czytelnik, który nie zna uwarunkowań społeczno-politycznych w naszym kraju, otrzymuje przekaz uwiarygodniany rolą społeczną dziennikarza – zauważa szef PISM. – Czytelnik domniemywa, że ma do czynienia z obrazem zuniwersalizowanym, zobiektywizowanym i opartym na faktach. Tymczasem polski odbiorca będzie miał świadomość, że ma do czynienia z akcją o charakterze politycznym, a nie dziennikarskim – tłumaczy Sławomir Dębski.

– Mam nadzieję, że jesienią pojawi się projekt ustawy o dekoncentracji mediów i wtedy nacisk koncernów zachodnich na Polskę nieco zelżeje – prognozuje Zbigniew Kuźmiuk. Zdaniem Ryszarda Legutki zdominowanie pola mediów zagranicznych nie zawsze wynika ze słabości prawicy. – Jakiś czas temu zwróciliśmy się do „Wall Street Journal" z pytaniem, czy opublikują rzetelny tekst znanej i szanowanej w Polsce osoby na temat sytuacji politycznej w kraju. Po długich przekonywaniach zgodzili się, a gdy tekst dotarł, nagle przyszła odpowiedź, że jednak temat ich nie interesuje – opowiada. – Po tygodniu na łamach tej samej gazety ukazał się artykuł mocno krytyczny wobec polskiego rządu. I tak w kółko. Napotykaliśmy również opór, gdy chcieliśmy opublikować w zagranicznej prasie płatne ogłoszenie wyjaśniające kwestię sporu o Trybunał Konstytucyjny. Nawet w takim przypadku wiele redakcji, np. „Le Monde" czy „Frankfurter Allgemeine Zeitung", odmówiło kategorycznie. Wielokrotnie przerabiałem również sytuacje, w których wypowiadałem się obszernie o Polsce, a na koniec wyciągane są z kontekstu dwa, trzy zdania, które dopasowuje się do tezy.

Le Monde

La Commission menace la Pologne de la mettre au ban de l'Union européenne

Le Monde des livres

APRÈS LA CRISE, MACRON VEUT AMADOUER L'ARMÉE

Disparition

Max Gallo, une «histoire française»

L'été

Tête brûlée Rachida Dati La reine du bluff

APB «La méritocratie, elle est où ?»

Etats-Unis Trump désavoue son ministre de la justice

Biodiversité Rudes débats sur l'abattage des loups

Economie GM&S : la Creuse retient son souffle

LE REGARD DE PLANTU

WITH CEFAM

CZY TO POLSKA SPECYFIKA?

To, co może zaskakiwać przy analizowaniu mechanizmu powstawania środowiska ideowego, z którego wywodzą się krytycy polskiego rządu, nie polega na bezprecedensowości zjawiska. W przypadku Polski chodzi o podkreślaną już skalę i rozbudowaną sieć kontaktów pomiędzy redakcjami, która dosłownie na zamówienie może dostarczyć opinię każdego medium na świecie, napisaną i skrojoną dokładnie pod potrzeby polityczne opozycji. – Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku Węgier Orbána oraz Austrii, gdy o prezydenturę starał się Norbert Hofer. Wtedy również tłumaczono Austriakom z zewnątrz, że to fatalny kandydat – mówi Ryszard Czarnecki. – Niewątpliwie istnieje coś w rodzaju dyżurnej armii, która w przypadku przechyłu jakiegoś kraju na prawo szykuje pióra, aby we wszystkich mediach, w których ma kontakty, podnieść larum i rozpętać nagonkę – dodaje.

Dominika Ćosić zauważa, że ten mechanizm jest charakterystyczny dla państw naszej części Europy, w których

eprasa.pl d508e00ca9

nadal pokutuje myślenie postkolonialne, a zdanie silniejszego sąsiada traktowane jest jak wyrocznia. – Dla odmiany popatrzmy na Niemcy. Przecież na temat polityki „Willkommen" Angeli Merkel napisano za granicą masę ostrych i krytycznych tekstów – mówi dziennikarka. – Tymczasem tamtejsza prasa nie cytuje później z lubością, że brytyjska bulwarówka nie zostawiła suchej nitki na otwieraniu drzwi dla imigrantów. Takie rzeczy po prostu są przemilczane – twierdzi.

Zbigniew Kuźmiuk przypomina unijną krytykę Budapesztu, jeszcze przed przejęciem władzy w Polsce przez prawicę. – Wtedy główni przeciwnicy Orbána również rekrutowali się z jego lewicowej opozycji i również występowali masowo w zagranicznych mediach, gdzie prym wiodła była szefowa komunistycznego urzędu cenzury. Swoje wsparcie zaoferowała również „Gazeta Wyborcza" – wspomina. – Sytuację ataku na Orbána łagodził jednak fakt przynależenia do największej frakcji europarlamentu, Węgry nie są również tak dużym krajem jak Polska. Choćby z tego względu, choć mechanizm jest podobny, jego skala w przypadku naszego kraju jest znacznie większa – dodaje.

Ryszard Legutko uważa, że otwarte krytykowanie swojego rządu w zagranicznych mediach na dużą skalę to jednak specyfika wybitnie polska. – Niemiecka czy francuska scena polityczna, pomimo różnych ocen poszczególnych polityków, jest bardzo zmajoryzowana i skonsolidowana wokół interesu narodowego. Nie ma tak szerokiego konfliktu i pęknięcia w społeczeństwie, jak obserwujemy to w Polsce. U nas dużą rolę odgrywa „syndrom targowicy" – przekonanie, że w kraju będzie lepiej, jeśli tylko jakiś silniejszy podmiot zewnętrzny się nami zajmie – zauważa.

Tego typu zabiegi – zdaniem szefa PISM – często wzmacniają peryferyjność, czyli uzależnienie polityczne od silniejszych sąsiadów. – W Niemczech, we Francji czy w Wielkiej Brytanii zjawisko medialnej uległości i krytyki własnego rządu w prasie zagranicznej występuje marginalnie. Tam tego typu dialog prowadzi się wewnętrznie, a nie z pomocą pośredników. Nikogo we Francji nie interesuje, co o polityce wewnętrznej kraju myślą Ameryka czy Niemcy – wskazuje Sławomir Dębski.

POLE ODDANE BEZ WALKI?

Skąd tak wyraźne natężenie tekstów, wypowiedzi i artykułów na temat sytuacji w Polsce akurat w tym czasie? Wielu polityków przekonuje, że poza napiętą sytuacją polityczną może również chodzić o konflikt o podłożu ekonomicznym. Polska uszczelnia system podatkowy, dywersyfikuje dostawy gazu, nadeptując na odcisk zachodnim sąsiadom, zmienia strategię dostaw zbrojeniowych. O ile te kwestie niewątpliwie odgrywają rolę szczególnie w przypadku lobbingu za pomocą mediów, o tyle faktem jest, że oddanie pola zagranicy przez prawicę nie może być traktowane jako sytuacja bez wyjścia. – Mam nadzieję, że kancelaria premiera dostrzega naszą słabość, tj. obozu konserwatywnego, w prezentowaniu naszego stanowiska za granicą. Musimy zabrać się za ten odcinek systematycznie i podjąć aktywną polemikę – radzi Kuźmiuk. – Wypowiedzi premier Beaty Szydło oraz ministrów powinny być od razu tłumaczone na język angielski i umieszczane na portalach społecznościowych oraz przesyłane do zagranicznych mediów. Być może wtedy opinia publiczna na Zachodzie nie byłaby karmiona papką z jednej strony sporu politycznego.

Podobnego zdania jest Adam Bielan, który twierdzi, że na polu medialnym polska prawica nie robi wystarczająco wiele, aby kontrować szkodliwe i często kłamliwe przekazy. – Powinniśmy działać profesjonalnie i metodycznie, rozwijać kontakty z zagranicznymi dziennikarzami, nie obrażać się na nich, ale rozmawiać i tłumaczyć. To jest niestety syndrom prawicy, która była tyle lat kopana, że dzisiaj odreagowuje często odcinaniem kontaktów. Nie jest to skuteczne, ale psychologicznie do zrozumienia – diagnozuje.

– Warto zastanowić się, dlaczego obraz Polski za granicą jest tak jednostronny? Oczywiście to wynik pewnej wspólnoty ideowej liberalno-lewicowych mediów, ale również bierności obozu konserwatywnego, który negatywną prasę potrafi traktować jako czynnik mobilizujący własny elektorat – argumentuje Dębski. – Nie ma nakładów i chęci na to, aby ten przekaz kontrować czy równoważyć. Nie prowadzi się skutecznych akcji PR-owych, nie wchodzi do tej debaty – wylicza.

Być może właśnie na tym obszarze obóz konserwatywny ma w Polsce najwięcej do zrobienia. „Echa z zagranicy" będą dochodzić, ale pokazywanie ich mechanizmów oraz kontrowanie jednostronnej narracji to pole, na którym nie można po prostu skapitulować bez walki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Z Ryszardem Czarneckim (PiS), wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego
rozmawia Łukasz Zboralski

Polska prowadzi własną grę i to niektórych boli

ŁUKASZ ZBORALSKI: Politycy i postacie z polskiego życia publicznego krytykują posunięcia polskich władz na arenie europejskiej. Czy to jest wyjątkowe, czy może znani politycy innych krajów też próbują rozwiązać wewnętrzne spory w taki sposób?

RYSZARD CZARNECKI: Jako historyk przypomnę, że w polskich dziejach istnieje niestety tradycja odwoływania się do pomocy sąsiadów, sąsiednich monarchii, przy czym – wbrew myśleniu części osób – to uciekanie się do pomocy zewnętrznej bynajmniej nie ograniczało się do okresu PRL, gdy sowiecka władza przywieziona została na czołgach i zainstalowana z pomocą KGB. Te złe tradycje sięgają I RP i średniowiecza. Takich przykładów było wiele. Wszyscy pamiętamy targowicę, ale w XVIII w. wiele polskich środowisk politycznych uciekało się po pomoc głównie Rosji, a także Prus. Czyli nihil novi sub sole.

A jak to wygląda u innych? Jako wiceszef Parlamentu Europejskiego, prowadząc obrady, nieraz oglądałem polemiki włosko-włoskie i francusko-francuskie, podczas których opozycja atakowała rząd i odwrotnie. Nie ma jednak takiego kolędowania, jakie obserwujemy w UE z udziałem polskich polityków. Sytuacja, w której Unię Europejską traktuje się jako arbitra, jako sąd najwyższej instancji czy prokuratora – a tak jest w polskim kontekście – nie występuje w przypadku polityków z innych krajów.

Dlaczego?

Ponieważ ci politycy, którzy atakują władzę lub nie mogą pogodzić się z jej utratą, mają poczucie, że za chowanie się pod parasol UE czy kreowanie swoistego meczu: „rząd narodowy kontra Unia" zapłaciliby w swoim kraju wysoką cenę wyborczą.

Polska jest pewnym wyjątkiem pod tym względem. W wielu krajach Europy Zachodniej opozycja stara się punktować u opinii publicznej, pokazując, że owszem, krytykuje rząd za sprawy wewnętrzne, politykę gospodarczą, społeczną, ale w sprawach polityki zagranicznej stoi ramię w ramię z rządem. Unia nie jest piłką w politycznej rozgrywce dla opozycji w krajach Europy Zachodniej.

A może to wyraz bezsilności – skoro wykorzystuje się wszystkie narzędzia np. w sporze o to, czy puszczę można wycinać, a minister i tak decyduje o wycince, to chyba tłumaczy w pewnym stopniu, że zainteresowani sprawą odwołują się np. do europejskich instancji?

Zacznę więc od ciekawostki, abstrahując od relacji władzy z opozycją w Polsce. Pod względem skarg składanych do Trybunału w Strasburgu Polska jest obok Rumunii krajem o największej liczbie skarg i interwencji. To oznacza brak wiary w sądownictwo w naszym kraju, co z kolei akurat uzasadnia potrzeby reformy sądownictwa w Polsce, ale też widać w świadomości społecznej takie poczucie, że jeśli się tu czegoś nie załatwi, to może Europa nam to załatwi.

Zgadzam się, że jest to wyraz pewnej bezsilności opozycji. Jeśli nie potrafi się pozyskać poparcia wyborczego, ale też – jak widać przez dwa lata – nawet sondażowego, to pozostają „ulica" i „zagranica". I kiedy ulica zawodzi – bo te protesty nie przekładają się w ogóle na jakąś polityczną dekompozycję – to tym bardziej pozostaje hasło „zagranica" i wycieranie sobie gęby – tu już dowolnie – a to Timmermansem, a to Bono i instytucjami takimi jak Komisja Wenecka czy Rada Europy. Nie przeszkadza wówczas to, że sekretarz generalny Rady Europy Thorbjørn Jagland, który Polskę krytykuje, bardzo mocno był chwalony w Rosji i popierany przez Mokswę na to stanowisko. Nie przeszkadza, że Bono – choć przykro to mówić – był pieszczochem rosyjskich władz i jego zdjęcia z Miedwiediewem czy Putinem o czymś świadczą.

Ryszard Petru po przyjęciu przez Sejm i Senat ustaw o reformie sądów napisał list „do przyjaciół na świecie" i zapraszał ich do Polski. Nie powinien tego robić nawet, gdy wielu ludzi źle oceniło proponowaną reformę?

Partia pana Petru miała długo w sondażach dwadzieścia parę procent i wyprzedzała o parę długości PO. Ba, był jeden sondaż, według którego przez chwilę wyprzedzała PiS. Potem nastąpiła katastrofa sondażowa i Nowoczesna jest regularnie nawet na czwartym lub piątym miejscu, nawet za lewicą. Stare przysłowie mówi: tonący brzytwy się chwyta. A w przypadku Petru trzeba powiedzieć: tonący brzydko się chwyta. Z poczucia imposylibizmu powstaje chęć uciekania się pod obcy płaszcz i wynoszenia sporu wewnętrznego na forum międzynarodowe. Ciekawe jest też to, że Nowoczesna jest partią, która zgłosiła w grudniu 2015 r. na kongresie liberałów i demokratów ALDE akces do liberalnej międzynarodówki i została wiosną do niej przyjęta. A w Polsce w ogóle tego nie nagłaśniają, bo wiedzą, że ludzie tu mają bardzo zły stosunek do formacji liberalnych. To śmieszne.

Najbardziej kłopotliwą sprawą wydaje się zajmowanie stanowiska w sprawach polskiej polityki przez

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. MAKSYMILIAN RICAMONTI/FORUM

Donalda Tuska. On piastuje eksponowane stanowisko w Europie, a jednocześnie to jemu na rzecz PiS wyborcy w kraju odebrali władzę. Czy szef Rady Europy szczególnie powinien uważać na to, co mówi?

Tuskowi należałoby dość często przytaczać powiedzenie: jeśli nie wiesz, jak się zachować, to zachowuj się przyzwoicie. Niestety, wydaje się, że dla Tuska pojęcie „przyzwoitość" jest pojęciem ze słownika wyrazów obcych. Jako wiceszef PE mogę powiedzieć, że on łamie unijne prawo, które jednoznacznie stwierdza, iż szefowie instytucji takich jak Komisja Europejska czy Rada Europejska nie mogą być stroną w sporach politycznych wewnątrzkrajowych, w tym także we własnych krajach. A Donald Tusk ewidentnie to od dłuższego czasu robi, ustawiając się jako nie tylko recenzent, lecz także wręcz uczestnik życia politycznego w Polsce. Uczestniczy zarówno w wymiarze publicznym jako krytyk rządu – do czego nie ma żadnej legitymacji formalnoprawnej – lecz także jako człowiek, który usiłuje rozgrywać politykę wewnątrzkrajową, budować swoją siłę polityczną czy próbuje mieszać w PO czy nowym ugrupowaniu – Europejscy Demokraci. To także wykracza poza jego mandat. A zwrócę uwagę, że jego jedyny poprzednik, bo ta funkcja istnieje od 2010 r., były premier Belgii Herman Van Rompuy, nawet w okresie kilkunastu miesięcy, gdy w Belgii nie było rządu, nigdy się na tematy Belgii nie wypowiadał jako przewodniczący Rady Europejskiej i gracz polityczny we własnym kraju. Tusk robi co innego. Zaprzecza zarówno duchowi, jak i literze prawa europejskiego.

To na tym forum europejskim powinniśmy się jakoś umieć bronić. Umieć niwelować to podkręcanie Timmermansa czy Schulza. Chyba nam to na razie za dobrze nie wychodzi...

Trzeba mocno podkreślać, kto to robi. Głównymi siłami, które atakują Polskę, nie są jakieś bezpartyjne środowiska, jacyś wysocy urzędnicy wyłonieni w konkursach przez headhunterów. To są politycy lewicowi i liberalni. Tacy jak Frans Timmermans – polityk holenderskiej Partii Pracy, jak Martin Schulz – lider SPD w Niemczech, jak Heiko Maas – niemiecki minister sprawiedliwości. To politycy proweniencji lewicowej, którzy nie mogą przeboleć, że Polska jest jedynym z 28 krajów członkowskich UE, gdzie nie ma lewicy w parlamencie narodowym. A w wielu krajach są nawet dwie partie lewicowe w parlamentach. Tak jest choćby w Republice Czeskiej, gdzie są socjaliści i komuniści, w Grecji, Hiszpanii, Portugalii. W Polsce tego nie ma i lewica nie jest w stanie ukryć wściekłości z tego powodu. Podobnie jak liberałowie. Jest bowiem trzecia kadencja PE z udziałem Polski i tylko w jednej kadencji była malutka grupa polskich liberałów. Przewodniczącego liberałów europejskich Guya Verhofstadta bardzo uwiera to, że liberałowie w Polsce są tak przeraźliwie słabi. A więc jest ewidentny ideologiczny background tych ataków na Polskę. W dodatku nasze państwo stało się krajem o wysokim stopniu rozwoju gospodarczego. Jesteśmy w absolutnej czołówce pod względem PKB per capita w I kwartale i pierwszym półroczu tego roku. Rośniemy ekonomicznie, ale też politycznie – jako naturalny lider nowych krajów UE i państw naszego regionu. Staliśmy się swojego rodzaju playmakerem regionalnym i konkurencją. Z tego, który na propozycje Brukseli i Berlina mówił: „Yes, yes, yes", staliśmy się krajem prowadzącym własną grę. Kraje Europy Zachodniej do tego nie były przyzwyczajone. Poprzedni rząd naszych zachodnich partnerów od tego odzwyczaił. Polska była pasem transmisyjnym dla Niemiec, Francji i Brukseli. To się skończyło. I te kraje reagują czasem na zasadzie odruchu Pawłowa dość emocjonalnie. To bowiem bardzo boli. I to jest drugie dno tego ataku na Polskę oprócz politycznej nienawiści liberałów oraz lewicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Z Pawłem Kukizem, przewodniczącym klubu poselskiego Kukiz'15
rozmawia Maciej Pieczyński

Duda lekiem na wirus partiokracji

FOT. ANDRZEJ LANGE/SE/EAST NEWS

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kiedy napisze pan piosenkę o sejmowych awanturach?

PAWEŁ KUKIZ: W zasadzie to już taka powstała, tyle że z niefortunnym tytułem „Virus SLD" – dziś to byłby „Virus partiokracji". To tylko dowodzi, że artysta potrafi przewidywać przyszłość [piosenka pochodzi z płyty z 2004 r. – przyp. red.].

Ostatnio politykom coraz częściej puszczają nerwy. Najpierw Adam Michnik, potem Jarosław Kaczyński... Jakim cudem rockman Kukiz jeszcze z nikim w Sejmie się nie pobił?

Jestem kulturalnym człowiekiem. Próbuję wprowadzić nową jakość w polskiej polityce, czyli nieprzewidziany w obecnym ustroju państwa konsensualizm. Z dnia na dzień coraz bardziej się przekonuję, że nie ma gorszej ordynacji niż ordynacja partyjna. Nie mam cienia wątpliwości, że naród nie ma absolutnie żadnego wpływu na władzę w trakcie trwania jej kadencji. Mamy do czynienia ze zliberalizowaną wersją systemu PRL-owskiego. Chińska Republika Ludowa wciąż pozostaje państwem monopartyjnym, z przewodnią rolą Komunistycznej Partii Chin, podobnie jak u nas było z PZPR, ale tam przynajmniej wprowadzono wolny rynek. Natomiast w Polsce, pomimo rzekomych przemian, np. artykuł dotyczący gospodarki wolnorynkowej jest non stop łamany poprzez podnoszenie podatków. Nasz siermiężny system daje tylko pozory wartości zapisanych w konstytucji. Mamy pozory wolnego rynku i pozory demokracji. Co z tego, że suwerenem według konstytucji jest naród, skoro nie ma zagwarantowanej możliwości bezpośredniego sprawowania władzy?!

Przecież suwerenem jest konstytucja – tak twierdzi pani prezes Sądu Najwyższego.

Tak, a sędziowie są szczególną kastą ludzi, jak powiedziała pani sędzia Kamińska... Dużo ostatnio słychać ciekawych – niekoniecznie zręcznych – wypowiedzi.

Ciekawe jest też to, że Paweł Kukiz przed chwilą pochwalił system Chińskiej Republiki Ludowej.

Nie pochwaliłem, tylko porównałem do naszego. W Chinach państwo narzuca swój światopogląd, ale przynajmniej nie ogranicza możliwości zarabiania pienię-

eprasa.pl d508e00ca9

dzy. Nam natomiast narzucone jest absolutnie wszystko. Wszystko w państwie ma się odbywać zgodnie z wolą rządzącej partii, a raczej – jak widać obecnie – zgodnie z wolą jednego człowieka.

Pochwalił pan częściowo totalitarne Chiny, może więc władza pańskim zdaniem powinna używać siły w takich sytuacjach jak ostatnie awantury w Sejmie czy protesty? Może straż marszałkowska, zgodnie z dawną propozycją wicemarszałka Tyszki, powinna wkroczyć do akcji?

Straż marszałkowska ma nieuregulowany status, nie jest nawet służbą mundurową. A to nie jest tylko wizerunkowy kwiatek do kożucha Sejmu, bo ci ludzie są bardzo sprawni i wysportowani, przechodzą normalne ćwiczenia antyterrorystyczne. W takiej sytuacji jak przy grudniowym głosowaniu nad budżetem i ustawą dezubekizacyjną, gdy posłowie łamali regulamin Sejmu, siłą okupując mównicę, straż marszałkowska mogłaby odblokować mównicę. Zamiast tego PiS wykorzystał straż do torowania swoim posłom drogi ucieczki przed posłem Szczerbą na Salę Kolumnową.

Według „Gazety Wyborczej" policja miała inwigilować Ryszarda Petru i Obywateli RP. Komenda Główna tłumaczyła, że chodziło o bezpieczeństwo rzekomo inwigilowanych...

Śledzenie Petru to musiało być bardzo ciekawe, wesołe zajęcie, przynoszące dużo satysfakcji, a przede wszystkim wyluzowania, którego nam wszystkim brakuje. Zazdroszczę wrażeń tym policjantom. A już poważnie: na całym świecie służby inwigilują polityków czy aktywistów pod kątem ich ewentualnej współpracy z obcym wywiadem czy zagrożenia dla państwa. Trzeba tylko robić to z niezwykłą ostrożnością. Natomiast taka inwigilacja nie powinna absolutnie dotyczyć spraw obyczajowych. Służby nie powinny sprawdzać, czy delikwent odwiedza gejowskie portale, tylko czy jego działalność godzi w porządek publiczny, bezpieczeństwo państwa, nienaruszalność jego granic.

Po tym, jak prezydent zawetował trochę pod waszym wpływem ustawy o sądownictwie, pojawiły się głosy, że może powstać nowy ruch polityczny na prawicy, z udziałem takich nazwisk jak Duda, Kukiz, Gowin, Morawiecki, Rzepecki... Zgadnę: to pańskim zdaniem „partiokratyczne myślenie"?

Wręcz przeciwnie. Gdyby powstały sprzyjające warunki do utworzenia takiej siły politycznej – i chciałbym abstrahować tu od konkretnych nazwisk, a skupić się na pokazaniu samej idei – to można by ją nawet nazwać „partią", lecz nie w jej polskim, tylko amerykańskim rozumieniu. To byłby więc ruch przypominający Partię Republikańską w USA. Czyli nie – tak jak w Polsce – zależny od oligarchii monolit z silnym wodzem, tylko oddolne grupy asocjacji, które wskazują wspólnego kandydata na prezydenta.

Czyli jest szansa na powstanie takiego ruchu?

Nie chcę niczego deklarować, ale potrafię sobie wyobrazić powstanie silnego bloku dla realizacji pewnych konkretnych celów, utworzonego wokół prezydenta wspólnie z grupami obywatelskimi, przy wsparciu Kukiz'15. Podstawowym zadaniem głowy państwa jest konsolidacja narodu, realizacja idei ciągłości i spójności państwa, a tego nie da się osiągnąć bez współpracy ze środowiskami reprezentującymi wszystkich Polaków, od lewa do prawa, o różnych światopoglądach. Urząd prezydenta powinien być konsensualny i apartyjny. Powinien bronić zwykłego obywatela przed partiokracją. Przypomnę, że od dawna postulujemy wprowadzenie systemu prezydenckiego. Ewentualny silny blok skupiony wokół prezydenta mógłby wesprzeć proobywatelskie inicjatywy, takie jak choćby zgłoszenie ustawy o wecie ludowym czy referendum ogólnokrajowym, którego rezultaty byłyby obligatoryjne dla władz. Niech pan sobie wyobrazi, jak bardzo zmieniłaby się jakość naszej polityki, gdybyśmy mogli, podobnie jak we Włoszech, za pomocą głosu obywateli zawetować znaczną część ustaw (poza tymi najbardziej newralgicznymi, jak np. sprawa bezpieczeństwa, za które muszą odpowiadać jednak politycy). W drodze takiego referendum to naród mógłby odrzucić wadliwą ustawę o sądach. Wówczas spór nie rozgrywałby się na ulicy, tylko przy urnach referendalnych. Weta ludowego nie trzeba byłoby nawet zbyt często używać, bo już sam fakt istnienia takiego instrumentu działałby na polityków dyscyplinująco. Ustawodawca, czyli partia sprawująca władzę, 50 razy by się zastanowił, zanim przegłosuje jakąś niedopracowaną ustawę, bo to może skutkować odrzuceniem jej przez naród i, w konsekwencji, spadkiem w sondażach. Jeżeli prezydent będzie dalej szedł w tym co obecnie kierunku odpartyjniania państwa i zwiększania czynnika obywatelskiego w sprawowaniu władzy, to wówczas konieczne będzie stworzenie siły, która go w tym wesprze. A jacy konkretnie politycy znajdą się w tym bloku, to już się okaże. Z całą pewnością nie powinni to być koniunkturaliści, instrumentalnie traktujący tę ideę.

Na całym świecie służby inwigilują polityków czy aktywistów pod kątem ich ewentualnej współpracy z obcym wywiadem czy zagrożenia dla państwa

Mówi pan o szerokim bloku na wzór amerykański, ale w naszym systemie politycznym tak czy siak budowanie środowiska politycznego musi się oprzeć na partyjnym szyldzie. W kolejnych wyborach to szefowie partii będą decydować o listach itd. Nie wiadomo, czy PiS poprze reelekcję Dudy...

A co, wystawią Suskiego w wyborach prezydenckich?

eprasa.pl d508e00ca9

W Internecie miałby szansę… Pytam jednak poważnie.

Rozważania w 2017 r. nad kandydatem PiS na prezydenta w wyborach w 2020 r. są tak samo poważne jak śledzenie Ryszarda Petru…

Kaczyński nazwał prezydenckie weto błędem. Skąd pewność, że ten „błąd" zostanie Dudzie wybaczony?

Na prezydenta Dudę głosował nie tylko PiS-owski elektorat. Mniej więcej za dwa miesiące, kiedy powstanie projekt ustawy o sądownictwie, przekonamy się, w którą stronę pójdzie pan prezydent. Mam nadzieję, że będzie to kierunek obywatelski, ponieważ to w dużej mierze uprawdopodabnia reelekcję. Jeśli tak, to na pewno w zakresie tych propozycji otrzyma wsparcie Kukiz'15, bo tym samym będzie realizował nasze postulaty, blokowane do tej pory wspólnie przez PO i PiS. Na logikę nie dziwię się tym partiom, że nie chcą wejścia w życie rozwiązań, które by ograniczyły ich władzę. Dlatego też jedyna nadzieja albo w rewolucji, albo w prezydencie, albo w tym, że zwycięzca kolejnych wyborów parlamentarnych nie będzie w stanie samodzielnie rządzić. Wtedy Kukiz'15 wymusi gwarancję takich zmian ustrojowych, dzięki którym do rozwiązywania konfliktów politycznych nie będzie dochodziło na ulicach, tylko przy urnach referendalnych.

Jeśli Andrzej Duda będzie szedł w kierunku, który wam odpowiada, a jednocześnie (co w takiej sytuacji nieuniknione) będzie się pogłębiał jego konflikt z PiS, to zostanie kandydatem Kukiz'15 na prezydenta w 2020 r?

Nie wierzę w to, że prezydent Duda pójdzie na totalny konflikt z PiS.

Jednak PiS może pójść na totalny konflikt z prezydentem Dudą.

Nie, mimo wszystko polityczne ambicje obu stron nie są silniejsze niż wspólnota światopoglądowa, duchowa wręcz, która je łączy. Wielu Polaków, w tym częściowo także ja, podziela wiele poglądów prezentowanych przez PiS w ostatniej kampanii wyborczej, którym pozostają dziś wierni urzędnicy Kancelarii Prezydenta. Dlatego myślę, że istnieje w tej chwili wielka szansa rozpoczęcia kampanii wyborczej Andrzeja Dudy jako wspólnego kandydata na prezydenta różnych środowisk republikańskich…

Gdy prezydent Duda zaproponował wprowadzenie wyboru sędziów większością kwalifikowaną trzech piątych do reformy KRS, Kukiz'15 ogłosił to jako swój sukces, stawiając głowę państwa w kłopotliwej sytuacji…

To przerysowana interpretacja. Niestety, media pomijają często nasze działania. Przypomnę, że to my, jako Kukiz'15, zaproponowaliśmy wybór sędziów TK większością dwóch trzecich głosów, co później wsparła też Komisja Wenecka, która właśnie sposób wyboru sędziów uznała za jedną z przyczyn kryzysu. Złożyliśmy też w Sejmie poprawkę o wyborze KRS większością kwalifikowaną.

Zdaję sobie sprawę, że na decyzję prezydenta o wecie wpłynęły manifestacje obywateli i chęć uspokojenia nastrojów społecznych. I bardzo dobrze, bo głos obywateli ma pierwszeństwo. Natomiast należy pamiętać o twardych realiach politycznych. Jestem przekonany, że bez wsparcia choćby z naszej strony trudniej byłoby mu tę decyzję podjąć. Podczas gdy politycy opozycji totalnej tak naprawdę swoją obecnością przeszkadzali obywatelom w skutecznych protestach na ulicy i dawali PiS do ręki gotowy argument za „pójściem w zaparte", my prowadziliśmy poważne rozmowy z prezydentem i efekt jest. W Kukiz'15 od samego początku liczyliśmy na współpracę z obozem prezydenckim. Nasze nadzieje osłabły, gdy postawa prezydenta względem PiS była zbyt pasywna. Weto jednak sprawiło, że wracamy na drogę współpracy.

Na jednym z memów internetowych można wyczytać taką interpretację porozumienia między panem a prezydentem: „Kukiz do Dudy: ja powiem, że pana przekonałem, pan zablokuje i powie, że ma być trzy piąte głosów, ja panu dam te brakujące głosy i obaj wyjdziemy na bohaterów w oczach ludzi, a wszystko zostanie tak, jak chce prezes".

Nie wiem, kto tak policzył głosy, prawdopodobnie Petru… Przecież PiS plus Kukiz'15 nie wystarczą…

Są jeszcze rozłamowcy z pańskiego klubu.

Jak ja mam się na cokolwiek umawiać w imieniu, np. posła Liroya?! Już powiedziałem z mównicy sejmowej, że jeśli PiS zgłosi się do Kukiz'15 z propozycją współpracy przy tworzeniu KRS, to my usiądziemy ze środowiskami obywatelskimi zajmującymi się sądownictwem i przekażemy prezydentowi propozycje kandydatów obywatelskich. To nie układ, tylko walka o obywatela. Ciągle w mediach pojawiają się takie przekłamane głosy na nasz temat, dziennikarze nas atakują, manipulują, a my nie mamy jak się bronić, bo zawsze zasłaniają się „wolnością słowa", a sądy, które chcemy zreformować, z natury rzeczy nie będą nas bronić przed fake newsami…

Borys Budka nazwał posłów Kukiz'15 hipokrytami, bo przypisujecie sobie zasługę w przekonaniu prezydenta do zawetowania ustaw, choć sami „podkuliliście ogon", nie głosując przeciw ustawie i nie walcząc na ulicach…

To ja w takim razie twierdzę, że pan Budka jest wybitnie przystojnym mężczyzną, o ponadprzeciętnym intelekcie, wybitnym prawnikiem i biegaczem (śmiech)… Poprawka: odwołuję to ostatnie, bo on naprawdę lubi biegać. Szczerze to nie obchodzi mnie, co sobie myśli Borys Budka.

Stwierdził pan, że wyjdzie na ulicę dopiero wtedy, gdy ludzie upomną się o rozliczenie rządów PO.

Na ulicy protestować będę z całą pewnością w sytuacji, jeśli będę miał pewność, że prezes Kaczyński chce zlikwidować jednomandatowe okręgi wyborcze w gminach. Obawiam się jednak, że na tej ulicy będę sam… Mógłbym się dołączyć do demonstracji przeciwko partyjnemu zawłaszczaniu państwa przez PiS, ale nie będę bronił fatalnie funkcjonujących sądów. A już na pewno nie będę protestował w tej sprawie ramię w ramię z tymi, którzy przez osiem lat nie byli w stanie nic w sądownictwie naprawić…

To co w sądownictwie naprawi Paweł Kukiz wspólnie z Andrzejem Dudą?

> **Mógłbym się dołączyć do demonstracji przeciwko partyjnemu zawłaszczaniu państwa przez PiS, ale nie będę bronił fatalnie funkcjonujących sądów**

eprasa.pl d508e00ca9

To nie jest tak, że współpracujemy z prezydentem Dudą przy reformie sądownictwa. My tylko zwróciliśmy uwagę, że sposób wyborów sędziów do KRS jest niekonstytucyjny, cokolwiek by o tej konstytucji mówić. Jeżeli PiS tak bardzo nie spieszył się z rozliczeniem aferzystów, że Sławomir Nowak zdążył przyjąć obywatelstwo państwa, które nie uznaje ekstradycji, to dlaczego nie może poczekać do marca na upłynięcie kadencji sędziów, zamiast w pośpiechu ich odwoływać w bezprawny sposób?! Wracając jednak do prezydenckiego projektu ustawy o sądach, jest spora nadzieja na to, że pan prezydent uwzględni nasz głos…

A konkretnie?

Nie mam zamiaru się narzucać, inicjatywa leży po stronie prezydenta. Na pewno przy pisaniu ustawy konieczne będą szerokie konsultacje ze środowiskami obywatelskimi, z którymi Kukiz'15 ma bardzo dobry kontakt. I nie mówię tutaj o KOD, ale o stowarzyszeniach do walki z bezprawiem, z nadużyciami sądów itp. Na pewno chcielibyśmy, żeby kompetencje Ziobry w zakresie sądownictwa zostały przeniesione na prezydenta. Podobnie jak w USA to prezydent powinien wskazywać sędziów Sądu Najwyższego, a parlament powinien tylko to zatwierdzać. Druga sprawa: do Izby Dyscyplinarnej SN powinien zostać wprowadzony czynnik obywatelski, czyli przedstawiciele wyżej wymienionych organizacji społecznych. Problem przewlekłości postępowań zostałby rozwiązany przez wprowadzenie instytucji sędziów pokoju, którzy – podobnie jak w USA – rozstrzygaliby sprawy drobne, takie jak kradzież roweru czy zwyzywanie sąsiada. A takich drobnych spraw mamy prawie 70 proc. przy 17,5 mln toczących się postępowań! Sędzia pokoju wybierany byłby przez lokalne społeczności. O jego mandat mógłby się ubiegać prawnik przykładowo z pięcioletnim stażem, a postępowanie przed sądem pokoju byłoby znacznie odformalizowane w porównaniu z obecnie obowiązującymi procedurami sądowymi.

Problemem sądownictwa jest też biurokracja. Na to macie jakąś receptę, którą chcecie podsunąć prezydentowi?

Wszystkiego od razu naprawić się nie da. Największe problemy to z jednej strony powiązania salonowe i personalne części obecnych sędziów z nomenklaturą dawnej Unii Wolności, która była pośrednikiem między PZPR a PO, a z drugiej strony chęć jeszcze większego upartyjnienia sądownictwa, uzasadniana twierdzeniem, że tylko jedna partia jest w stanie obsadzić sądy „ludźmi prawymi i sprawiedliwymi". Ten system trzeba przede wszystkim odkorkować. I temu mają służyć sędziowie pokoju. Natomiast świetnym ruchem PiS jest zapis o jawności oświadczeń majątkowych sędziów, szczególnie że w efekcie może to później uzasadnić zmiany personalne.

Zbigniew Ziobro stwierdził o Andrzeju Dudzie, że „albo przejdzie do historii jako wielka postać, albo polegniemy. Pierwszy polegnie pan prezydent i co najwyżej będzie mógł się w przyszłości cieszyć rolą młodego komentatora z własną ochroną. To jest w finale wybór między wielkością a groteską". Jak pan skomentuje te słowa ministra?

Panu ministrowi Ziobrze przydałby się kubeł zimnej wody na głowę. Przypomnę, że to resort pana Ziobry przygotował buble prawne o KRS i SN, procedowane dla niepoznaki jako projekty poselskie, w skandalicznym trybie, w środku wakacji, bez jakichkolwiek konsultacji społecznych. Groteską jest zarzucanie prezydentowi, że działając zgodnie z wolą zdecydowanej większości Polaków, zatrzymał partyjny skok na sądownictwo...

Ze słów Ziobry wynika, że to już wojna w obozie „dobrej zmiany". Kto i dlaczego w tej wojnie polegnie?

Pan minister Ziobro zachowuje się trochę jak złodziej przyłapany na kradzieży krzyczący: „Łapaj złodzieja!". Mam wrażenie, że atak ministra Ziobry na prezydenta służy tylko przykryciu własnej nieudolności. W każdym cywilizowanym kraju minister firmujący własnym nazwiskiem tak spartaczone projekty ustaw natychmiast podałby się do dymisji. Niestety, z nieznanych mi powodów minister Ziobro trwa na swoim stanowisku. Panu ministrowi radziłbym się skupić na pracy i przedstawianiu projektów zmian wymiaru sprawiedliwości, które przyczyniłyby się do jego rzeczywistej naprawy, zamiast na wszczynaniu kolejnych politycznych wojenek.

A może właśnie Paweł Kukiz przyczynił się do rozpadu PiS?

Panie redaktorze, skupmy się na faktach, a nie na fake newsach. Przypisywanie mi przyczynienia się do rozpadu PiS, którego nie ma, jest grubą przesadą.

Jakie pytania chcecie przeforsować w listopadowym referendum zapowiedzianym przez prezydenta?

Na pewno: „Czy jesteś za obligatoryjnym dla władz referendum obywatelskim?", „Czy jesteś za zmianą ordynacji na większościową?". Powtórzyłbym też pytanie z poprzedniego referendum o finansowanie partii politycznych, ale bym je doprecyzował. Chcielibyśmy też przeforsować, by raz w roku odbywał się „dzień referendalny", którego celem byłoby rutynowe zasięgnięcie opinii obywateli, żeby wiedzieć, w którym kierunku powinna iść władza. Zapytałbym też: „Czy jesteś za pośrednictwem prezydenta przy kontroli sądów?", a może i o wprowadzenie elementów kontroli obywatelskiej wymiaru sprawiedliwości.

A może to Kukiz'15 powinien napisać własny projekt konstytucji i dać obywatelom do dyskusji?

Pan chyba żartuje?! Konstytucję ma napisać naród, a nie Kukiz czy PiS. Sejm powinien być konstytuantą, koordynować wszystkie opcje polityczne i stowarzyszenia obywatelskie, które powinny wspólnie działać na rzecz nowej ustawy zasadniczej, by potem mógł ją przegłosować nie Sejm, tylko naród w referendum. Nie może być tak, że jedna partia napisze konstytucję, bo potem przyjdzie nowa władza i ją wyrzuci do kosza. Potrzebny jest ogólnonarodowy konsensus, a do niego nie dojdzie dopóty, dopóki nie wprowadzi się tego elementarnego instrumentu udziału obywateli w rządzeniu, jakim jest obligatoryjne dla władz referendum.

Zapraszacie chętnych do startu w wyborach samorządowych z list Kukiz'15... Będziecie w stanie zweryfikować wszystkich kandydatów?

Chciałbym, żeby kandydata weryfikowali obywatele, a nie szef ruchu politycznego. Zapisane w konstytucji bierne prawo wyborcze jest łamane przez Kodeks wyborczy. Jak inaczej nazwać sytuację, w której z 5 tys. kandydatów zgłaszających się do startu do Sejmu z listy Kukiz'15 mogę wystawić jedynie tysiąc?! To drastyczne ograniczenie biernego prawa wyborczego. Jeśli ktoś tego nie widzi, to znaczy, że albo brakuje mu inteligencji, albo jest obrońcą układu, który chroni ten niedemokratyczny system.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Klucz do prawicy

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

Piotr Gociek

W nawoływaniach do budowy „partii prezydenckiej" widzę powrót do niemądrej tezy, że normalna prawica to taka bez Jarosława Kaczyńskiego

Widmo krąży nad Polską, widmo „normalnej prawicy". Jej nadzieją jest ponoć prezydent Andrzej Duda, najlepiej patronujący nowej partii. Jak wiadomo – nowe to zawsze lepsze. A jak już będzie gwarancja, że to nowe jest też normalne – o ho, ho! Kto by nie chciał? Któż się oprze?

Wypada lekko załamać ręce: ileż już miało być tych „normalnych prawic"? Pierwszy chyba chciał takiej Adam Michnik. Normalna prawica miała przede wszystkim nie przeszkadzać Michnikowi i jego politycznym przyjaciołom w rządzeniu Polską. Normalna prawica miała mieć twarz Hanny Suchockiej, a nie Marka Jurka. Kiedy wybory wygrał AWS, normalna prawica miała być antytezą tej koalicji, czyli prawicą niezwiązkową, bo przecież związki zawodowe to socjaliści. Gdy w roku 2005 po raz pierwszy wygrał PiS, Donald Tusk prezentował PO jako normalną prawicę, przeciwstawiając ją „moherowej koalicji" Kaczyńskiego z Giertychem. Po Smoleńsku normalna prawica to miała być ta niesmoleńska – jak efemeryda, którą okazała się partia Polska Jest Najważniejsza. Polska XXI z Rafałem Dutkiewiczem na czele też miała być normalną prawicą, bo wychodzącą poza spór PO-PiS.

NIEWŁAŚCIWY LIDER

W ostatniej dekadzie zwykle hasło „normalnej prawicy" oznaczało „prawicę bez Jarosława Kaczyńskiego". Jego przeciwnicy z lewej uzasadniali: bo budzi demony nacjonalizmu, bo prowadzi Polskę ku faszyzmowi, putinizmowi i erdoganizmowi, bo jest „oszalały z żalu" i chce „zemsty za brata". A przeciwnicy Kaczyńskiego po prawej stronie wytykali, że to „człowiek, który ukradł prawicę w Polsce" albo „żoliborski inteligent", że „nie rozumie współczesnej polityki", że etatysta, więc i socjalista.

Kiedy rządziła PO, Kaczyński był niewłaściwym liderem prawicy, bo z nim na czele – przekonywano – nigdy nie uda się pokonać Platformy. Teraz, kiedy Platformę pokonano, nadal jest liderem niewłaściwym. I zamiast niego trzeba szukać „normalnej prawicy", która – kto wie? – może właśnie zaczęła się wykluwać, bo prezydent Andrzej Duda zawetował dwie ustawy z trzech, na których Jarosławowi Kaczyńskiemu zależało. A przeciw „normalnej prawicy", wiadomo, protestować mogą tylko nienormalni: „najtwardszy elektorat PiS-owski", „sekta smoleńska", „wyznawcy Jarosława Kaczyńskiego".

eprasa.pl d508e00ca9

Nie wszystkie określenia, które przytaczam, zostały żywcem wyjęte z wypowiedzi tych, którzy już witają się z gąską, ups… normalną prawicą, ale wszystkie oddają ducha, w którym wygłaszane są te tyrady. A są to moim zdaniem tyrady pełne pogardy zarówno wobec elektoratu PiS, jak i Jarosława Kaczyńskiego.

SIŁA WYBORCÓW

Politycy nie są silni dlatego, że wspierają ich media lub zagranica, albo dlatego, że mają słuszność. Politycy są silni siłą wyborców. Dlatego wciąż istnieje PO, dlatego wciąż istnieje PiS, dlatego mieliśmy kiedyś hegemonię Tuska, a dziś hegemonię Kaczyńskiego. Wyborcami zaś rządzą ich własne poglądy i emocje. Wśród polityków szukają zaś takich, którzy najlepiej te emocje obsługują. To rzecz oczywista i widzą ją liczni publicyści po prawej stronie, którzy już dawno zauważyli, że istnieją miliony Polaków, które uważają, iż Tusk, Komorowski, Schetyna, Kopacz, Petru i inni po prostu mają rację. Jak długo owe miliony będą miały takie właśnie poglądy, tak długo będą wybranych wyrazicieli tych poglądów nagradzać swoimi głosami w wyborach.

Tylko że dokładnie to samo zjawisko występuje także po drugiej stronie. W tej chwili (i od ponad dekady) najskuteczniejszym oraz najszerszej akceptowanym politykiem obsługującym emocje elektoratu prawicowego czy konserwatywnego jest Jarosław Kaczyński. To on utrzymał spójność swojej partii i przeprowadził ją przez osiem lat przebywania w opozycji; to on wskazał kandydata na prezydenta, który pokonał Komorowskiego; to on wskazał na premiera Beatę Szydło, która okazała się politykiem akceptowanym i lubianym przez elektorat prawicowy; to on skonstruował koalicję, która wygrała wybory; to on sformułował wizję, która przez zwolenników prawicy jest podzielana w największym stopniu. Chociaż krytycy Kaczyńskiego z prawej chętnie stroją się w pióra Realpolitik, to w ich rozważaniach zadziwiająco mało jest realizmu.

W marzeniach o „normalnej prawicy" (normalnej, czyli bez Kaczyńskiego i jego współpracowników) odnajduję tezę podobną do tej głoszonej przez Radio TOK FM, „Gazetę Wyborczą" czy „Newsweeka" – że ci, którzy głosowali na PiS, to otumanione przez Kaczora-Dyktatora bezmózgie owieczki, że gdyby zdjąć z nich zły czar rzucony przez czarnoksiężnika z Żoliborza, to nagle przejrzałyby wszystkie na oczy i zagłosowały inaczej. Różnica jest tylko taka, że zdaniem Agory czy TVN byłyby to głosy oddane na tych, którzy mają poglądy „normalne, europejskie", a zdaniem niektórych prawicowych publicystów – raczej na „normalną prawicę". Tak czy inaczej – wszystko przez Kaczyńskiego. Bez niego byłoby lepiej.

A dlaczego dopiero wtedy? – zapytam. Jeżeli ktoś nie podziela wizji Kaczyńskiego i głoszonych przez niego haseł, to cóż takiego przeszkadzało mu do tej pory w głosowaniu na jakiegoś innego polityka i na jakąś inną partię? Czy ktoś bronił wyborcom oddawać swój głos na Solidarną Polskę, Polskę Razem, PJN, korwinowców, narodowców? Proszę nie mówić, że przegrywali, bo byli sekowani w mediach i mieli niewiele pieniędzy. Paweł Kukiz był przez zdecydowaną większość mediów tępiony i pieniędzy nie miał, a mimo to dostał 20 proc. w wyborach prezydenckich i wprowadził kilkudziesięciu posłów do parlamentu. Dlaczego? Dlatego że znaleźli się, praktycznie z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, ludzie, którzy podzielali jego wizję i mu zaufali. Uznali go za najlepszego wyraziciela swoich emocji. Mogli za taką osobę uznać kogoś innego, ale z jakichś powodów tak się nie stało. To jest realna lekcja polityki.

JESZCZE NIE DZIŚ

Dlatego nie mam wątpliwości – PiS nie jest wieczny, a Jarosław Kaczyński oczywiście nie zawsze będzie trząsł polską polityką. Wyborcy, którzy dziś uważają go za najlepszego (lub jedynego) wyraziciela swoich poglądów i emocji, pewnego dnia mogą uznać, że swoje nadzieje wiążą z kimś innym. Nie sądzę natomiast, by uczynili to dziś albo jutro, kiedy powstanie „partia prezydencka". Nie sądzę też, żeby teraz głosowali na PiS i wspierali Kaczyńskiego, bo są otumanieni, bezmyślni albo zapisali się do sekty. Publicyści mają prawo do swoich kalkulacji – wyborcy też.

Nikomu nie odmawiam prawa do tworzenia czy też wspierania nowych inicjatyw politycznych. W końcu w mechanizm, który opisałem, wbudowane jest dokonywanie wolnego wyboru, a trudno o wybór, kiedy nie ma się do rozważenia rozmaitych opcji. Na razie jednak gołym okiem widać, że Polska roku 2017 jest Polską lepszą od tej z lat 2015 czy 2010. Miliony wyborców oraz sympatyków PiS są tego właśnie zdania i nie zmienią go tylko dlatego, że ktoś marzy o tym, by korzystając z koniunktury, ukraść prawicę „człowiekowi, który ukradł prawicę". Mają też nadzieję, że Polska roku 2019 będzie lepsza, uczciwsza i bogatsza niż ta z roku 2017. Na to postawili i czekają na efekty.

Im częściej powtarzam ten termin („normalna prawica"), tym bardziej przypominają mi się narzekania niektórych ludzi na to, że zbyt wiele przytrafia im się kłopotów, a przecież chcieliby wieść normalne życie. Żeby wszyscy byli zdrowi, pensja zawsze wysoka, rodzina udana, dzieci mądre i piękne. Tylko że to ułuda. Normalne życie polega na tym, że raz jest lepiej, a raz gorzej, można stracić pracę albo poślubić niewłaściwą osobę, albo bliskiej osobie przytrafi się nieuleczalna choroba. Raz jest lepiej, raz gorzej. To właśnie jest normalne życie.

Wielu próbowało doprowadzić w Polsce do prawicowej kontrrewolucji – udało się tylko Jarosławowi Kaczyńskiemu

Czy ktoś naprawdę wierzy w to, że rzucenie przez prezydenta Andrzeja Dudę hasła: „Buduję nową partię" sprawiłoby nagle, że miliony wyborców Zjednoczonej Prawicy zakrzykną: „O matko, nareszcie, jakże niecnie byliśmy dotąd oszukiwani, a najbardziej oszukiwał nas Kaczyński"? I odwrócą się od prezesa PiS, by wesprzeć twór, o którym wiadomo tylko tyle, że miałby być „szansą na normalną prawicę"?

Wielu próbowało doprowadzić w Polsce do prawicowej kontrrewolucji – udało się tylko Jarosławowi Kaczyńskiemu. Jeśli popatrzeć na wyborczy wynik PiS z roku 2015 i sporą część wyników sondaży z ostatnich miesięcy, to jego obóz jest dla prawicowych wyborców „normalną prawicą". Nie twierdzę, że jest prawicą idealną, ale taką Polacy wybrali – a to do nich ostatecznie należy decyzja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Kościół ponad plemionami

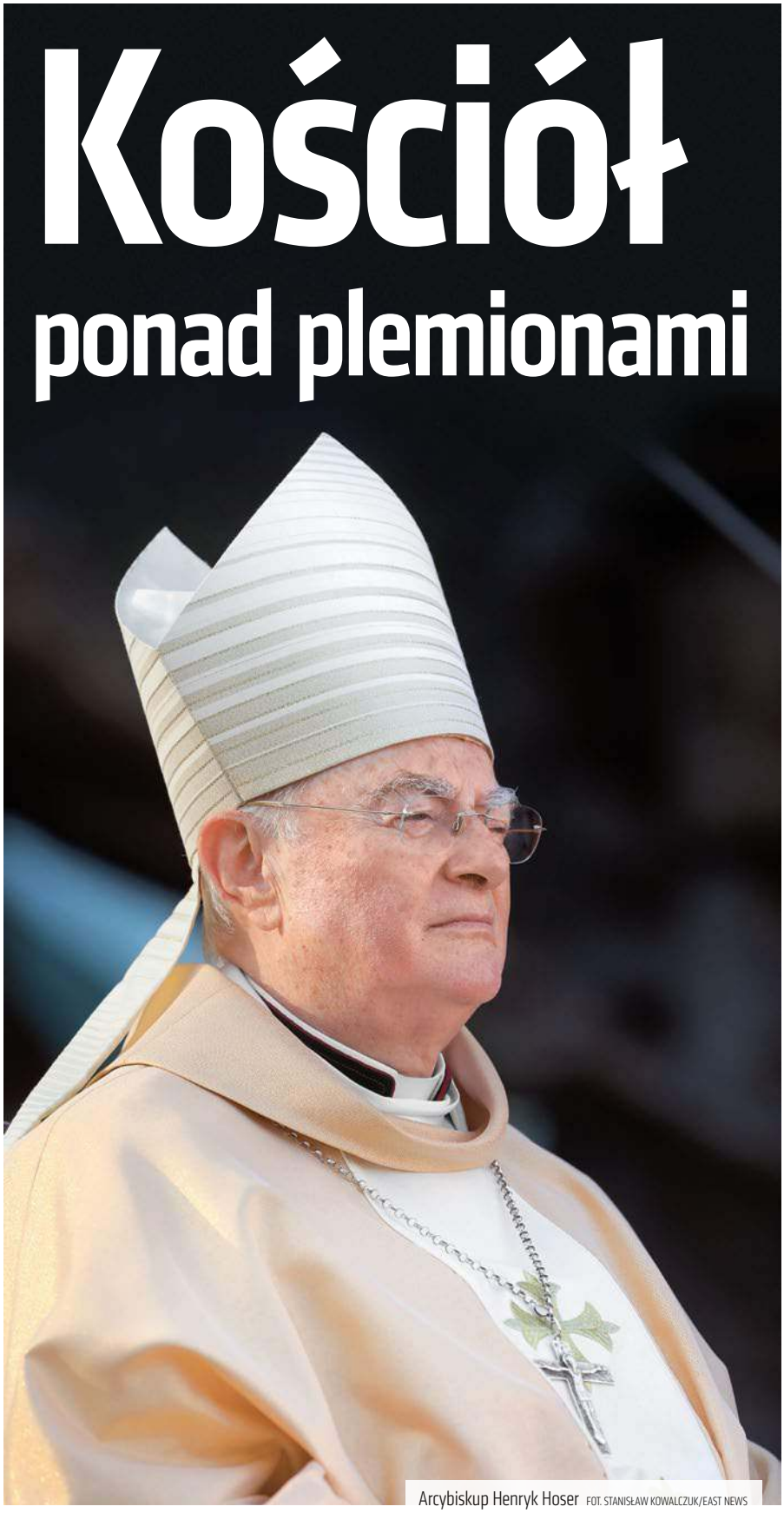

Arcybiskup Henryk Hoser FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Tomasz P. Terlikowski

Poparcie, jakiego udzielili Andrzejowi Dudzie po jego prezydenckim wecie ważni polscy biskupi, to prosta konsekwencja stanowiska polskich hierarchów wobec polityki

Ktoś powiedział mi w tych dniach, że to środowisko nie ma „asów", mężów stanu. Pan prezydent zajął stanowisko męża stanu, co cechuje ludzi o bardzo dalekosiężnych projektach społecznych i politycznych – mówił na antenie katolickiego Radia Warszawa abp Henryk Hoser. I nie ma co ukrywać, że tak mocna ocena decyzji Andrzeja Dudy o zawetowaniu dwóch z trzech ustaw reformujących polskie sądownictwo to rzecz rzadko spotykana w polskiej polityce i polskim życiu publicznym. Biskupi, w ogromnej większości, jak ognia unikają wspierania jakichkolwiek osób czy partii, ostrożnie dobierają słowa, tak by nie zostać przypisanymi do jednego stronnictwa politycznego. Deklaracja abp. Hosera może więc zaskakiwać. A jeszcze bardziej zaskakuje jednoznaczne wsparcie dla decyzji prezydenta, jakiego udzielił przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki. „Szanowny Panie Prezydencie, pragnę podziękować Panu Prezydentowi za postawę zajętą w sprawie ustaw o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa" – napisał do prezydenta metropolita poznański. A w liście przedstawił nawet zasady, jakimi kierować się powinna poprawna reforma sądownictwa.

BYĆ PONAD PODZIAŁAMI

Zaskoczenie jednak minie dość szybko, jeśli przyjrzeć się realnym wypowiedziom i zachowaniom hierarchów. Te odległe są od mitu o „sojuszu tronu i ołtarza". I to nie tylko dlatego, że sympatie polityczne hierarchów są podzielone, lecz także przede wszystkim dlatego, że i przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, i sekretarz KEP, a także najważniejsi biskupi starają się unikać jednoznacznych politycznie wypowiedzi oraz próbują zajmować stanowisko

eprasa.pl d508e00ca9

ponad sporem politycznym. A podobnie jest niżej. Nie brak oczywiście politycznych harcowników w sutannach, jednak ogromna większość księży nie afiszuje się ze swoimi poglądami. – Mamy różnych wiernych, o różnych poglądach, nie ma sensu zrażanie kogokolwiek eksponowaniem własnych poglądów – mówił mi kilka tygodni temu pewien zakonnik i proboszcz niewielkiej parafii.

Takie stanowisko wynika, i o tym też nie wolno zapominać, z jasnych wskazówek hierarchów. Arcybiskup Stanisław Gądecki mówił 3 maja 2015 r. w kazaniu podczas uroczystości Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski, że duchowni „winni unikać prezentowania własnego wyboru jako jedynego uprawnionego. Winni również respektować dojrzałość ludzi świeckich i przez formację ich sumień pomagać im taką dojrzałość osiągnąć. Kapłan nie jest ustanowiony dla polityki, ale dla formacji sumień według Ewangelii tak, aby były one zdolne do podejmowania samodzielnych decyzji. Do zadań kapłańskich należy podawanie etycznych kryteriów wyborów i przedstawianie wiernym odpowiedzialności za ich decyzje".

I sam arcybiskup starannie takich wskazówek unikał, pokazując, że katolik może mieć zastrzeżenia do stanowiska każdej partii i nie ma możliwości, by znaleźć taką, której stanowisko mogłoby zostać uznane za jedynie i w pełni katolickie. Nie oznacza to, rzecz jasna, że nie istnieją normy i zasady, wedle których katolik może oraz powinien oceniać partie polityczne. Te ostatnie istnieją, o czym przypominał także abp Gądecki. „Są to: szacunek i obrona ludzkiego życia od poczęcia aż do naturalnej śmierci, rodzina oparta na trwałym małżeństwie mężczyzny i kobiety, prawo i obowiązek rodziców do wychowania dzieci oraz promocja dobra wspólnego we wszystkich jego formach. W wyżej wymienionych kwestiach – i w wielu innych – nie może być mowy o kompromisie" – mówił.

EFEKT WAHADŁA I WYZNAWCY PARTII

Ostrożność w utożsamianiu programów partyjnych z chrześcijaństwem czy katolicyzmem wynika z lekcji historycznej, którą Kościół – głównie poza granicami Polski – starannie odrobił. Przyspieszona laicyzacja Hiszpanii związana była m.in. z utożsamieniem frankistowskiej ideologii (w wielu kwestiach będącej słuszną obroną przed komunizmem) z katolicyzmem i Kościołem. Efektem był błyskawiczny odwrót Hiszpanów od wiary i zasad moralnych, gdy tylko reżim gen. Franco upadł. I podobnego zjawiska, czego nie ukrywa choćby bp Andrzej Czaja, można i trzeba się obawiać w Polsce. Jedynym możliwym przeciwdziałaniem mu jest mocne podkreślanie oddzielenia Kościoła od życia partyjnego. „Nie jest tak, jak przeciętny obywatel myśli, że skoro PiS jest przy władzy, to właściwie Kościół rządzi – tłumaczył bp Czaja. – Niektóre posunięcia ludzi z PiS są nie do przyjęcia. O ile PO deptała czy sprzedawała pewne wartości, to mam wrażenie, że teraz niektórzy ludzie z PiS depczą ludzką godność i w ogóle się nie liczą z tym, co człowiek myśli, jakie ma pragnienia, potrzeby i – przede wszystkim – jakie ma prawa. To dla nas, wszystkich ludzi Kościoła, sygnał, żebyśmy byli roztropni i nie dali się uwieść. Żebyśmy nie szli w kierunku faworyzowania jakiejś opcji politycznej, programu politycznego, a już tym bardziej – partii politycznej. [...] Jeżeli nie zdystansujemy się do pewnych pociągnięć obecnie rządzących – tak jak robiliśmy to wcześniej – i jeśli nie będziemy pilnować elementarnej prawości i uczciwości, praw ludzkich, godności człowieka, to będą wiązać nas z PiS. Kiedyś przyjdzie inna władza i może to pójść w skrajnie inną stronę. A może pójść na zasadzie »odbicia« – jeśli tak dalej będzie" – dodał.

W dwubiegunowej, mocno plemiennej debacie i rzeczywistości, w której Kościół ma w Polsce członków, a partie polityczne wyznawców, zadanie, jakie stawia sobie Kościół, niewątpliwie nie jest łatwe. Każda wspierająca działania rządu wypowiedź jest natychmiast interpretowana jako opowiedzenie się po stronie PiS. Kiedy zaś biskupi czy – szerzej – Kościół opowiedzą się za organizacją korytarzy humanitarnych, przyjmowaniu rzeczywistych uchodźców i pomocą dzieciom, natychmiast podnosi się wrzawa, że Kościół przeszedł na drugą stronę. Kłopot polega tylko na tym, że w sytuacjach, o jakich mowa, Kościół zwyczajnie przypominał swoje zasady i poglądy, a nie opowiadał się po jednej ze stron sporu politycznego.

Biskupi mają świadomość tej sytuacji i dlatego – choć jest to niewątpliwie głos wołającego na puszczy – od jakiegoś czasu apelują o złagodzenie języka debaty politycznej. Już rok temu (w komunikacie z 373. konferencji plenarnej KEP) apelowali „o wzajemny szacunek w życiu społecznym i publicznym w naszym kraju", a w słynnym dokumencie na temat patriotyzmu pt. „Chrześcijański kształt patriotyzmu" wprost uznali, że umiejętność roztropnej debaty i dialogu ponad nasilającym się podziałem partyjnym jest elementem nowego patriotyzmu.

OSTROŻNOŚĆ RACZEJ NIEREWOLUCYJNA

Nie ulega też wątpliwości, że polscy biskupi źle odnajdują się w klimacie ostrego sporu politycznego, emocjonalnych wystąpień i medialnych happeningów, w jakie obfituje współczesna polityka. Dlatego mocniejsze wystąpienia społeczne często skłaniają ich do wycofywania się z postulatów, które wcześniej wspierali. Tak było z postulatem obrony życia i przygotowanym przez Ordo Iuris projektem, który początkowo Konferencja Episkopatu Polski wsparła (może nie wskazując na niego bezpośrednio, ale popierając jego zgłoszenie i zbieranie podpisów), a później, gdy wywołał on silne wrzenie społeczne, nie tylko z poparcia się wycofała, lecz także nawet w sposób swoisty firmowała wycofanie się przez PiS z debaty wokół projektu, gdy ustami rzecznika prasowego KEP na kilka godzin przed ostatecznym odrzuceniem projektu podkreślała swój dystans do niego. Politycy PiS zapewniali zaś, że odrzucili oni projekt na prośbę episkopatu, który miał się obawiać rozpalenia antykatolickich nastrojów w społeczeństwie.

Niezależnie od tego, czy obawy te były słuszne czy nie, warto mieć świadomość, że i ten element jest brany pod uwagę przez biskupów, którzy coraz mniej chętnie opowiadają się po jednej ze stron sceny politycznej. A jeśli do tego dodać, że Prawo i Sprawiedliwość zajmuje się obecnie problemami z punktu widzenia nauczania Kościoła drugorzędnymi, w których katolicy mogą się między sobą różnić, a starannie unika procedowania tych, które są z katolickiego punktu widzenia jednoznaczne (aborcja czy handel w niedziele), to trudno się dziwić, że Kościół starannie unika angażowania się po jego stronie i optuje raczej za uspokajaniem emocji niż ich eskalowaniem. Do takiego zachowania skłania go i doktryna, i duszpasterstwo, i zwykły utylitaryzm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Politycy PiS porozjeżdżali się już na letnie urlopy, interesantów w centrali w ostatnich dniach mniej niż zwykle, ale w partii jest gorąco. Trwa wewnętrzna wojna, która wybuchła w „obozie dobrej zmiany" po zawetowaniu przez prezydenta Andrzeja Dudę dwóch z kluczowych ustaw PiS mających zreformować sądownictwo w Polsce.

Między politycznymi partnerami z obozu władzy napięcie wciąż rośnie, i to mimo deklaracji lidera PiS, który na antenie telewizji Trwam i Radia Maryja dość czytelnie zapowiadał rozejm między partią a „dużym pałacem".

– Oficjalne stanowisko naszej partii na temat zaistniałego kryzysu zostało bardzo jasno wyłożone przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego we wspomnianych wywiadach, a wszystko to, co się dzieje obecnie, co pojawia się w mediach, spada na polityczną odpowiedzialność naszych politycznych partnerów – podkreśla wicemarszałek Sejmu Joachim Brudziński, jeden z najbliższych współpracowników Kaczyńskiego w rozmowie z „Do Rzeczy".

A dzieje się sporo. Po tym, jak – według naszych informatorów – gowinowcy z Polski Razem na nieoficjalnych spotkaniach przekonywali Andrzeja Dudę do zawetowania ustaw, uaktywnił się Zbigniew Ziobro, lider współtworzącej rząd Solidarnej Polski, który ostro zaatakował prezydenta. Dlaczego tak jawnie poszedł na starcie? Zdecydowana większość naszych informatorów z kręgów władz uważa, że minister sprawiedliwości „poczuł krew" i kolejny raz popełnia błąd podobny do tego z 2011 r., który zakończył się rozłamem w PiS.

GRA ZIOBRY

Przez ostatni tydzień Ziobro prowadził medialny ostrzał prezydenta na łamach kilku bliskich PiS periodyków.

„Jeśli prezydent chce reformować sądownictwo tak, żeby się podobało sędzi Gersdorf, która z rozmowy z prezydentem wyszła uśmiechnięta, czy też sędziemu Żurkowi, to mam wątpliwości, czy odnosimy się do tych samych wartości" – mówił minister sprawiedliwości w „Gazecie Polskiej". Wytykał, że Duda jemu zawdzięcza polityczną karierę, a także że sam prezydent nigdy nie przedstawił żadnych projektów naprawiających wymiar sprawiedliwości. Wreszcie zarzucał, że „hamując reformę wymiaru sprawiedliwości, wzbudza duże zaniepokojenie wyborców prawicy". Z kolei w rozmowie z tygodni-

eprasa.pl d508e00ca9

Wojciech Wybranowski

Zbigniew Ziobro, który wierzy, że kiedyś stanie na czele obozu prawicy, próbuje budować swoją pozycję, krytykując prezydenta. Władze PiS to jeszcze tolerują, ale sympatyków w partii Ziobrze nie przybywa

Szeryf mierzy w prezydenta

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

kiem „Sieci Prawdy" stwierdził, że jeśli nie uda się przeprowadzić radykalnej reformy sądów, to odpowiedzialność za to poniesie prezydent. I straszył konsekwencjami politycznymi: „[...] co najwyżej będzie mógł się w przyszłości cieszyć rolą młodego komentatora z własną ochroną".

– To element gry prowadzonej przez Zbigniewa Ziobrę, gry, którą we własnym interesie musiał rozegrać – uważa prof. Rafał Chwedoruk, politolog z Uniwersytetu Warszawskiego. Jego zdaniem Ziobro, nie będąc w PiS i mając na sumieniu już jeden rozłam w tej partii, budując własny wizerunek polityka prawicy, ważnej części „obozu dobrej zmiany", musi być „radykałem władzy", by wyborcy nie zarzucili mu nielojalności.

Niektórzy sympatycy „dobrej zmiany" zastanawiali się, czy nie była to tylko polityczna sztuczka, z których słynie Jarosław Kaczyński: on sam umywa ręce, mówi o współpracy, ale do ataku rusza jego zaufany, wydelegowany do tego zadania człowiek. Nasi rozmówcy w PiS uważają jednak, że taka ustawka nie miałaby teraz uzasadnienia. – Ziobro nie należy do zaufanych ludzi Jarosława. Więcej, jest jednym z tych, do których podchodzi on szczególnie nieufnie. Doskonale zdaje sobie sprawę z jego czasowo uśpionych ambicji – mówi nam polityk PiS z bliskiego otoczenia prezesa partii. – Po wecie prezydenta Ziobro złapał wiatr w żagle, odezwały się emocje, zadawniony żal do Dudy. I ruszył do ataku. Jest bliski przekroczenia cienkiej czerwonej linii, za którą cierpliwość prezesa się wyczerpie – dodaje.

Inny z naszych rozmówców zwraca uwagę na wywiad, którego Paweł Szefernaker, sekretarz stanu w kancelarii premiera, udzielił „Rzeczpospolitej". Mówi w nim ciepło zarówno o Dudzie, jak i o dalszej współpracy rządu z prezydentem. Mocno chwali dotychczasowy przebieg kadencji prezydenta.

– Nie jest tajemnicą, że przed tą rozmową Szefernaker odbył bardzo długą rozmowę z Kaczyńskim właśnie na temat obecnego kryzysu i dalszych relacji z Dudą. Ten wywiad to nasze czytelne stanowisko, którego Ziobro chyba nie zrozumiał – mówi „Do Rzeczy" polityk z Nowogrodzkiej.

STRZELIŁ I PRZESTRZELIŁ?

Chociaż Zbigniew Ziobro i jego Solidarna Polska są – obok PiS i Polski Razem Jarosława Gowina – istotną częścią obozu rządowego, to pozycja samego Ziobry

eprasa.pl d508e00ca9

w środowisku obozu prawicy jest słaba. Politycy PiS wciąż pamiętają mu, że w 2011 r., po przegranych wyborach parlamentarnych, wspólnie z Kurskim i Cymańskim przeprowadzili rozłam w partii, wyprowadzając grupę działaczy i tworząc Solidarną Polskę. No i to, że po rozłamie mocno atakował Kaczyńskiego i PiS.

– Rozumiem przesłanie Ziobry i pewne emocje, te reformy były potrzebne. Jednak atak na Dudę bardzo mi się nie podoba. Zbyszek bezceremonialnie na antyprezydenckich atakach chce zbudować swoją podmiotowość. Odróżnić się na zasadzie: „miękiszony" Duda czy Gowin i „twardziel" Ziobro – mówi jeden z ważnych polityków PiS. – Tyle że swoją podmiotowość w polityce „Zizu" buduje kosztem Prawa i Sprawiedliwości. Już to przerabialiśmy – dodaje.

Podobne zdanie w PiS jest dość częste. Nawet gdy rozmawiamy z politykami zdecydowanie popierającymi „projekty Ziobry", uważającymi, że trafnie ocenił sytuację polityczno-ustrojową, i krytykującymi działanie prezydenta, słyszymy, że są to wyłącznie ich prywatne przemyślenia. Oficjalnie mówią, że krytyki Dudy nie będzie przynajmniej do jesieni, a Ziobro wyszedł przed szereg, „przedobrzył" i podpadł nawet własnym zwolennikom. Czy rzeczywiście? – Najważniejsza jest jedność. Konflikty nam nie służą, nie budują zaufania wyborców – ucina poseł Arkadiusz Mularczyk, jeszcze niedawno jeden z najbliższych politycznych przyjaciół Ziobry.

– Wyborcy prawicowi pamiętają niedobre doświadczenia prawicy lat 90., pamiętają katastrofę AWS i nigdy nie wybaczą nam konfliktów i działań, które mogą doprowadzić do rozbicia obozu prawicy – dodaje poseł Stanisław Pięta, który w samym PiS uchodzi za zagorzałego stronnika „reform Ziobry".

Wiele wskazuje więc na to, że jeśli minister sprawiedliwości liczy na to, iż zbuduje wokół siebie silny obóz prawicowy lub odegra znaczącą rolę w tym zbudowanym wokół PiS, to tym razem przestrzelił i krytyką Dudy stałych sojuszników w Prawie i Sprawiedliwości nie zyska.

Osoba z najbliższego otoczenia premier Beaty Szydło mówi nam wręcz, że coraz bardziej wyraźne „osobiste ambicje" Ziobry i próba pokazania, że jego Solidarna Polska ma coś do powiedzenia po prawej stronie sceny politycznej, są odbierane bardzo źle.

Politologa prof. Chwedoruka to nie dziwi. – Wyborca PiS zawsze był nastawiony na odbiór jednoznacznych komunikatów, lojalność i wierność była tu w cenie – mówi „Do Rzeczy". – Jeśli Ziobro w ten sposób chce zabiegać o ważną rolę na prawicy, to wybrał naprawdę długą drogę. Sukces mogłoby to przynieść jedynie w przypadku całkowitego rozpadu PiS – twierdzi.

DAWNY „DELFIN"

To pierwsza poważna polityczna wpadka Ziobry od wyborów w 2015 r., gdy wrócił na salony władzy. Do tej pory skutecznie wzmacniał swoją pozycję „szeryfa". Z jego inicjatywy powstała uchwalona na początku ubiegłego roku ustawa zmieniająca Kodeks rodzinny tak, że uniemożliwiła sądom odbieranie rodzinom dzieci z powodu ubóstwa. Jego resort przygotował też wprowadzenie tzw. rejestru pedofilów. Podpisana wiosną ubiegłego roku przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawa zakłada, że jeszcze w tym roku ruszy rejestr zawierający informacje, m.in. dla szkół i przedszkoli oraz ośrodków rodzinnych, o osobach skazanych za pedofilię i miejscu ich pobytu. Jednocześnie Ziobro przepchnął ustawę Prawo o prokuraturze, która likwidując Prokuraturę Generalną, połączyła funkcję ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, dając mu szerokie uprawnienia, w tym dostęp do akt i materiałów operacyjnych zebranych w ramach prowadzonych śledztw. W praktyce stał się jednym z najpotężniejszych ludzi w kraju.

W PiS mówi się, że Kaczyński z podejrzliwością patrzy na działania Ziobry. Wykorzystują to partyjni przeciwnicy ministra

Temu wszystkiemu towarzyszy budowanie sprawnej ekipy ludzi zaufanych, lojalnych, którzy budując w prawicowym środowisku własny pozytywny wizerunek, skutecznie wzmocnią też pozycję samego Ziobry po prawej stronie sceny politycznej. Idzie mu całkiem nieźle – wiceminister Patryk Jaki, jeden z niewielu ludzi, którzy pozostali przy Ziobrze z czasów, gdy wychodził z PiS, oraz Sebastian Kaleta, młody prawnik, były rzecznik Ziobry w resorcie sprawiedliwości, są najjaśniejszymi gwiazdami Komisji Weryfikacyjnej ds. Reprywatyzacji. Zyskują coraz większe uznanie wśród wyborców sympatyzujących z obozem „dobrej zmiany".

– To jedna z zasadniczych spraw, która odróżnia Ziobrę od Jarosława. W otoczeniu Jarosława młodych zdolnych się wycina „na wszelki wypadek", Ziobro – sam nie mając szerokiego zaplecza – daje im szanse. I często to dobre decyzje – mówi nam były poseł, który w 2011 r. działał w Solidarnej Polsce. Do tego grona dołączyli też „odkryci" przez Ziobrę młodzi wiceministrowie: Marcin Warchoł, doświadczony prawnik mający za sobą współpracę z rzecznikiem praw obywatelskich śp. dr. Januszem Kochanowskim, i wiceminister Michał Wójcik (również wybrany do Sejmu z rekomendacji Solidarnej Polski), a także wiceminister Łukasz Piebiak, sędzia, który za współpracę z Ziobrą zapłacił ostrym konfliktem ze Stowarzyszeniem Sędziów Polskich „Iustitia", do którego należał.

Skonfliktowany z Morawieckim minister sprawiedliwości może liczyć na „cieplejsze podejście" ze strony Beaty Szydło. Kancelarią premiera kieruje Beata Kempa, zaufana współpracowniczka Ziobry z czasów Solidarnej Polski.

Część współpracowników ministra sprawiedliwości znalazła się na eksponowanych stanowiskach w spółkach Skarbu Państwa (np. PZU i Pekao SA).

Budowaniu zespołu zaufanych ludzi przez Ziobrę towarzyszą też kontrowersje. „Rzeczpospolita" ujawniła raport NIK, z którego wynika, iż resort sprawiedliwości zawarł wysokie kontrakty ze specjalistami do spraw wizerunku i public relations: od stycznia 2016 r. resort zawarł 12 krótkoterminowych umów z dwoma ekspertami od PR na łączną kwotę 474,2 tys. zł.

W samym PiS mówi się, że Jarosław Kaczyński z coraz większą podejrzliwością patrzy na działania Ziobry, co starannie wykorzystują członkowie PiS, rywalizujący z ministrem sprawiedliwości: Mateusz Morawiecki, Mariusz Kamiński i zabiegający o odzyskanie względów prezesa Antoni Macierewicz.

– Kaczyński tolerował rosnącą w siłę frakcję ziobrystów w PiS tak długo, jak długo była mu potrzebna, by neutralizować wpływy hofmanowców, pejotenowców. Pamięta pan, jak frakcja Ziobry skończyła? To ma pan odpowiedź, jak skończy Ziobro, jeśli zbyt urośnie – śmieje się jeden z dawnych „zakonników PC", wciąż będących najbliżej „ucha prezesa".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

NOWY CYKL

PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH

BOHATEROWIE

JUŻ DZIŚ OGLĄDAJ PILOTAŻOWE ODCINKI NA

BOHATEROWIE.DORZECZY.PL

8 SIERPNIA

„POLSKI JAMES BOND"
ODCINEK O POLSKIM ASIE WYWIADU
KAZIMIERZU LESKIM

PARTNER CYKLU: PGE

eprasa.pl d508e00ca9

Kamila Baranowska

PO temat katastrofy smoleńskiej próbuje uwikłać w bieżącą politykę i obciążyć winą PiS. Posługuje się przy tym nieprawdziwymi lub zmanipulowanymi informacjami

POsmoleńska

Zbliżająca się data 10 sierpnia i ubiegłotygodniowe przesłuchanie Donalda Tuska w prokuraturze w związku z tzw. śledztwem okołosmoleńskim powodują, że temat katastrofy Tu-154M znów rozpala emocje opinii publicznej. Politycy Platformy Obywatelskiej zdają sobie sprawę, że to temat dla nich niewygodny i ryzykowny, zwłaszcza że niedawne ekshumacje ciał ofiar katastrofy wykazały ogromną skalę niedopatrzeń, zaniechań i błędów, popełnionych przez polski rząd tuż po katastrofie. Po czymś takim trudno przekonywać, że państwo zdało egzamin i wszystko było jak trzeba. A skoro nie da się bronić tego, jak było, trzeba jak najszybciej przejść do ataku. I tak też czynią politycy PO. Posługując się często nieprawdziwymi i zmanipulowanymi informacjami, próbują zrzucić z siebie odpowiedzialność, obarczając nią wszystkich dookoła i licząc na to, że albo mało kto pamięta, jak było, albo że i tak nikt nie sprawdzi, jak to, co mówią, ma się do rzeczywistości.

1. PAŃSTWO ZDAŁO EGZAMIN

Wiosną tego roku prokuratura wznowiła ekshumacje ciał ofiar katastrofy smoleńskiej. Od początku sprawa budziła ogromne emocje, także polityczne. „To spektakl" – grzmiał Grzegorz Schetyna. „Po co PiS te ekshumacje? Prokuratura pod kierownictwem polityka zaangażowanego politycznie narzuca ekshumacje także tym rodzinom, które sobie tego wyraźnie nie życzą, chcą spokoju, zamknięcia tych trumien raz na zawsze" – mówił Bronisław Komorowski. „Ekshumacje mają za zadanie udowodnić tezę Antoniego Macierewicza. Oni przez sześć lat oszukiwali, grali na nieszczęściu" – to słowa Ewy Kopacz. „PiS przez ekshumacje próbuje nam urządzać miesięcznice każdego dnia" – komentował poseł Michał Szczerba.

Kolejne odkrycia były szokujące zarówno dla rodzin ofiar, jak i opinii publicznej. W marcu „Super Express" ujawnił, że w trumnie stewardesy Natalii Januszko znaleziono trzy dłonie, w kwietniu „Fakt" pisał, że w trumnie gen. Bronisława Kwiatkowskiego znalazły się fragmenty ciał aż ośmiu ofiar katastrofy, a w trumnie gen. Włodzimierza Potasińskiego czterech osób. W przypadku dwóch kolejnych ofiar miało dojść do zamiany ciał, w innym do pochowania dwóch ciał w jednym grobie. Po ekshumacji na Wawelu wyszło zaś na jaw, że w trumnie Lecha Kaczyńskiego znajdowały się fragmenty ciał dwóch innych osób.

Wstrząśnięte rodziny pytały, jak to możliwe. Przecież Ewa Kopacz przekonywała, że polscy patolodzy byli obecni przy sekcjach zwłok, że wszystko zostało dopilnowane. – Wszyscy, jak tu siedzimy, wiemy dokładnie, jak wyglądają ofiary takich wypadków […]. Stąd identyfikacja i potwierdzenie tożsamości to wielka sztuka. To wynik pracy nie tylko polskich patomorfologów, lecz także przede wszystkim rosyjskich – mówiła trzy dni po katastrofie. – Najmniejszy skrawek, który został przebadany, najmniejszy szczątek, który został znaleziony na miejscu katastrofy, wtedy kiedy przekopywano z całą starannością ziemię na miejscu tego wypadku na głębokości ponad 1 m i przesiewano ją w sposób szczególnie staranny, każdy znaleziony skrawek został przebadany genetycznie – to jej słowa z 29 kwietnia 2010 r.

Kiedy na jaw zaczęły wychodzić fakty pokazujące, jak Rosjanie bezcześcili zwłoki ofiar, Ewa Kopacz stwierdziła, że czuje się osaczona. – Gdybym siedem lat temu wiedziała, że PiS wytoczy takie działa, to pewnie bym się przez chwilę zawahała, czy lecieć do Moskwy – mówiła „Newsweekowi".

Po wypowiedziach wszystkich polityków PO widać, że narracja, którą próbują się bronić, sprowadza się do uwikłania tematu w bieżącą politykę i próby przerzu-

eprasa.pl d508e00ca9

Ekshumacje ciał ofiar katastrofy wykazały ogromną skalę niedopatrzeń FOT. TOMASZ RADZIK/SE/EAST NEWS

rzeczywistość

cenia winy na PiS. – Nie byłoby tych ciał, gdyby nie było katastrofy – mówiła Kopacz w TVN24. – Ktoś musiał zdecydować, że lądują w tak ekstremalnych warunkach […]. Dzisiaj trzeba pytać, dlaczego tak się stało i jakie były szczególne okoliczności – dodawała. Bezpośrednie oskarżenia Kopacz i inni politycy PO kierują też pod adresem Antoniego Macierewicza. – Pan Macierewicz zamiast pojechać i dopilnować spraw w Moskwie lub Smoleńsku, to bardzo się spieszył do tego, żeby wrócić do Warszawy, i tu zaczął uprawiać politykę na jeszcze nieostygłych ciałach swoich przyjaciół – atakowała Kopacz. Sęk w tym, że to nie PiS był wówczas u władzy i to nie politycy tej partii reprezentowali w Smoleńsku i Moskwie państwo polskie. To nie Macierewicz, wówczas szeregowy poseł opozycji, odpowiadał za to, jakie decyzje podejmowano w sprawie sekcji zwłok i transportu ciał. Wreszcie to nie politycy PiS latami przekonywali opinię publiczną, że w Smoleńsku wszystko odbywało się zgodnie z najwyższymi standardami.

2. WSZYSTKIM ZALEŻAŁO NA SZYBKICH POGRZEBACH

Kolejna narracja, która wróciła, gdy wykazano, do jakich pomyłek doszło podczas sekcji zwłok w Moskwie, to ta, że rodzinom ofiar zależało na jak najszybszych pogrzebach, wobec czego zrezygnowano z dodatkowych sekcji zwłok już w Polsce. – Tak, dzisiaj jesteśmy mądrzejsi o wiele rzeczy. Dzisiaj wszyscy mówią, że należało przeprowadzić badania zwłok w Polsce. Tylko że wtedy te pogrzeby mogłyby się odbyć dopiero po kilku miesiącach. Ja byłem na Okęciu, byliśmy w tej delegacji, która przyjmowała te ciała, w różnych turach. Pamiętam, jak rodziny szybko chciały pochować swoich bliskich, jak zależało im na szybkim ściągnięciu ciał z Rosji – tłumaczył w RMF FM Sławomir Neumann, szef klubu PO. Co innego mówią jednak przedstawiciele przynajmniej części rodzin. – My byliśmy oszukiwani na temat sekcji; mówiono nam, że tych trumien nie można otwierać – opowiadał w mediach Grzegorz Januszko, ojciec stewardesy Natalii Januszko. – Gdybyśmy wiedzieli, co byśmy mogli zastać w tych trumnach, tobyśmy na pewno wtedy jeszcze żądali tych sekcji natychmiast po powrocie. Kopacz mówiła, że trumien nie wolno otwierać. Myśmy byli okłamani – dodał.

Ten zakaz otwierania trumien ciąży nad nami do dzisiaj, kiedy wreszcie po latach prokuratura krajowa zdecydowała się uporządkować sprawy naszych bliskich – mówiła tuż po pierwszych ekshumacjach Ewa Kochanowska, wdowa po rzeczniku praw obywatelskich Januszu Kochanowskim. – Jesteśmy poddawani ogromnej presji medialnej, mówi się o nas rzeczy najgorsze, ale nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie uczyniono tych badań po powrocie ciał do Polski. Obarczanie nas winą za niedociągnięcia tamtejszego rządu jest bardzo grubą niesprawiedliwością – dodawała.

Małgorzata Wassermann w książce „Zamach na prawdę" opowiada, że wątek ten pojawił się także na spotkaniu rodzin ofiar z premierem Donaldem Tuskiem 10 listopada 2010 r. „Pani Kopacz tłumaczyła, że nie pozwalała na to ustawa o chowaniu zmarłych. Odpowiedział jej Dariusz Fedorowicz [brat zmarłego w katastrofie dyplomaty i tłumacza Aleksandra Fedorowicza – przyp. red.], że jako lekarz epidemiolog pracuje z ustawą na co dzień, lepiej więc, by nie wprowadzała ludzi w błąd, gdyż ustawa nie miała tutaj zastosowania" – relacjonuje Wassermann. O samym zachowaniu Kopacz opowiada zaś tak: „Nie zareagowała, gdy okazało się, że nasi lekarze nie mogą uczestniczyć w sekcjach, bo ponoć wszystkie już wykonano […]. Albo nie dopełniła obowiązków, albo jej nie dopuszczono. Jeśli to drugie, trzeba było bić na alarm. O ile w przypadku wraku

eprasa.pl d508e00ca9

W ubiegłym tygodniu Donald Tusk był przesłuchiwany w prokuraturze w związku z tzw. śledztwem okołosmoleńskim FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

mamy związane ręce, bo Rosja nie chce nam go wydać, o tyle w przypadku sekcji mogliśmy podjąć działania, kiedy ciała wróciły do kraju".

3. HARMONIJNA WSPÓŁPRACA Z ROSJANAMI

Tuż po katastrofie smoleńskiej politycy rządowi zapewniali, że polscy i rosyjscy lekarze ramię w ramię pracowali przy identyfikacji zwłok i sekcjach, atmosfera była życzliwa, a współpraca harmonijna. Dzisiaj wiemy, że była to nieprawda. – Pracujemy jak jedna duża rodzina. Muszę powiedzieć, że po raz pierwszy jestem świadkiem podobnej, tak dobrej, można powiedzieć, wzorcowej, współpracy oraz wzajemnego dopełnienia się w pracy – mówiła 13 kwietnia 2010 r. Ewa Kopacz, dziękując swojej rosyjskiej odpowiedniczce minister zdrowia Tatianie Golikowej.

Małgorzata Wassermann: „Na spotkaniu [z premierem Tuskiem – przyp. red.] dowiedzieliśmy się, że do blisko stu ofiar poleciało jedynie trzech polskich lekarzy! Jak oni to sobie w praktyce wyobrażali? Przecież nie wystarczyłyby im nawet dwa tygodnie, choćby pracowali dzień i noc". Zapytana, czy obecni na miejscu ministrowie Ewa Kopacz i Tomasz Arabski interweniowali, odpowiada: „Nic mi o tym nie wiadomo. Dziwne jest nie tylko to, że uwierzyli w zapewnienia Rosjan, iż jest po sekcjach. Bardziej bulwersujące jest to, że widzieli, jak do instytutu dowożone są kolejne ciała ze Smoleńska, i nie reagowali".

Wersję rządową o wzorcowej współpracy uwiarygodnił swoją relacją ks. Henryk Błaszczak, który towarzyszył rodzinom podczas pobytu w Moskwie. – Dokonano ogromnego wysiłku dla zachowania najbardziej uczciwej metody identyfikacji ciał. Ten proces mógł trwać bardzo długo, ale Rosjanie, mając doświadczenie wielu katastrof lotniczych, we współpracy z polską grupą, naszymi patologami, ekspertami od kryminalistyki, przeprowadzali z wielką starannością cały proces identyfikacji – mówił w listopadzie 2010 r. w Radiu TOK FM. Wedle relacji Małgorzaty Wassermann w rozmowie z nią i jej mamą tuż po spotkaniu u premiera Tuska ksiądz miał przyznać, że wbrew temu, co mówi publicznie, współpraca z Rosjanami była bardzo zła. – Od początku nie dopuszczali nas do niczego. Nie daliśmy rady. Nie podołaliśmy. I co mam teraz zrobić? – miał powiedzieć ks. Błaszczak. Publicznie nie powtórzył jednak tych słów, choć w 2012 r. w „Naszym Dzienniku" przyznał: – Dzisiaj, z perspektywy czasu, widzę, jak od samego początku nie wykazano należnej sumienności w wielu sprawach, zwłaszcza w rzetelnym opisie wyników sekcji, a także staranności o zachowanie tożsamości ciał.

4. WINNY PROKURATOR PASIONEK

Politycy Platformy, a także część sympatyzujących z nią mediów powtarzają dziś, że współodpowiedzialność za to, co działo się w pierwszych godzinach i dniach po katastrofie w Smoleńsku, ponosi prokurator Marek Pasionek, który dziś jest zastępcą prokuratora generalnego, a który przecież w 2010 r. nadzorował smoleńskie śledztwo. Szef klubu PO Sławomir Neumann opowiada w wywiadach, jak bardzo szokuje go dzisiejsze zachowanie Pasionka, który decyduje o kolejnych ekshumacjach. W Telewizji WP mówił, że Pasionek brał udział w śledztwie smoleńskim od samego początku i od kwietnia 2010 r. nadzorował prace prokuratorów przez siedem lat. – Nie miał wówczas pomysłu, potrzeby i ani on, ani prokuratura nie uważali, że należy w Polsce sekcje powtórzyć, zrobić ekshumacje. Dopiero po siedmiu latach do tego doszedł i obarcza winą za brak ekshumacji poprzedni rząd – uważa Sławomir Neumann, szef klubu PO. Jego zdaniem polscy prokuratorzy razem z Pasionkiem wykonanie sekcji zwłok przez Rosjan „przyjęli za dobrą monetę". – Powinno się przesłuchać i prokuratora Seremeta, i przede wszystkim Pasionka, bo to on m.in. decydował, że nie było potrzeby robić w Polsce kolejnych sekcji zwłok – mówił w Telewizji WP. Podobnej argumentacji używa także duża część dziennikarzy i komentatorów. Problem w tym, że nic tu się nie zgadza.

Pasionek jako prokurator wojskowy pojawił się w Smoleńsku 13 kwietnia, a więc gdy sekcje zostały już zakończone. – Byłem od 13 kwietnia do 15 kwietnia w Moskwie, wtedy już sekcje były zakończone, w związku z powyższym na żadne nieprawidłowości nie można było zwrócić uwagi, bo się w tych czynnościach nie uczestniczyło – wyjaśniał na jednej z konferencji prasowych.

Nadzór nad śledztwem smoleńskim objął zaś dopiero 5 maja, w pierwszych dniach po katastrofie o wszystkim decydował obecny od początku na miejscu naczelny prokurator wojskowy płk Krzysztof Parulski. Poseł Neumann mija się z prawdą także wtedy, gdy mówi, że Pasionek nadzorował śledztwo przez siedem lat – został od niego odsunięty w czerwcu 2011 r. Powodem była próba zainteresowania amerykańskich specsłużb tematem Smoleńska. Pasionek spotkał się w tym celu z ówczesnym rezydentem FBI w Polsce. To wystarczyło, by płk Parulski, który pozostawał w konflikcie z Pasionkiem, oskarżył go o ujawnienie Amerykanom tajnych dokumentów i złożył na niego doniesienie do prokuratury, sugerując, że może chodzić o szpiegostwo. Pasionka zawieszono. W 2011 r. prokuratura okręgowa umorzyła śledztwo w tej sprawie, także sąd dyscyplinarny nie dopatrzył się uchybień w działaniach prokuratora Pasionka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło: **„A jednak coś po nas zostanie".**

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS WYDARZENIA — PGNiG

PARTNER WYDARZENIA — LOTTO

WSPÓŁORGANIZATOR: — FINA

PATRONI MEDIALNI: — wprost, DO RZECZY

eprasa.pl d508e00ca9

Rafał A. Ziemkiewicz

Bojowy zawrót głowy

Coraz trudniej zrozumieć, kto z kim, o co i po co walczy na polskiej arenie politycznej

W sensie politycznym wojna polsko-polska jest wojną pozycyjną – mimo nieustającego huku armat i wciąż podejmowanych ofensyw nic praktycznie się nie zmienia, bo trudno uznać za zmianę to, że pewna część wrogów PiS raz deklaruje głosowanie raczej na PO, a raz raczej na Nowoczesną. Jeśli natomiast obserwować rzucane hasła i wymieniane argumenty, to pojawia się obraz zupełnie inny. Obraz dwóch bokserów, raczej lżejszej wagi, skaczących bezustannie dookoła siebie po całym ringu w poszukiwaniu pozycji najlepszej do zadawania sobie nawzajem ciosów. Obserwatorzy tego widowiska wiedzą, że fakt, iż po kilku wzajemnych atakach każdy z zawodników znalazł się w narożniku, w którym wcześniej był przeciwnik, nie ma najmniejszego znaczenia. Kilka kolejnych zwodów i podskoków, a będzie odwrotnie. Liczy się przecież tylko jedno – wymarzony cios na punkt. Taki, który dojdzie, zaboli i w miarę możliwości osłabi przeciwnika.

Może jednak szkoda, że daliśmy sobie narzucić tę optykę i zupełnie nie wymagamy od polityków logiki oraz konsekwencji. Najbardziej nawet absurdalne i bijące po oczach przejawy „kalizmu" są przez kibiców każdego z politycznych plemion wypierane, bagatelizowane i usuwane z pola widzenia. Oburzenie wybucha tylko wtedy, gdy można obłudę wytknąć przeciwnikom.

Zwolennicy „opozycji totalnej" nie widzą więc żadnego problemu w tym, że w obronie konstytucji i wolności ich lider zapowiada, że gdy dojdzie do władzy, powsadza do więzienia posłów partii obecnie rządzącej za głosowanie za ustawami reformującymi wymiar sprawiedliwości. Odkładając na bok ocenę owych ustaw – co owa zapowiedź, złożona przez Grzegorza Schetynę publicznie, do kamer, oznacza? Po pierwsze – złamanie fundamentalnej dla prawa zasady, że nie działa ono wstecz. PO przyjmie taką regulację kiedyś, ale będzie na jej podstawie represjonować polityków PiS za ich działania obecne. Po drugie – złamanie jeszcze bardziej fundamentalnej zasady immunitetu parlamentarzysty w kwestiach związanych bezpośrednio z wykonywaniem mandatu. Można dyskutować, czy chronić parlamentarzystę przed karą za jazdę po pijanemu albo kradzieżą w sklepie, ale na pomysł, żeby wsadzać do więzienia posła za to, jak zagłosował, nie wpadł dotąd nikt, nawet Hitler.

ZMYLIĆ SPOŁECZEŃSTWO

Można sobie wyobrazić, jak rzuciliby się na tak smakowity „kejs" eksperci TVN24, gdyby słowa te padły z ust podejrzewanego wiecznie o wszystko najgorsze Jarosława Kaczyńskiego. W jego przypadku przecież „złamaniem konstytucji" otrąbili nawet powołanie swego czasu do walki z mafią węglową zespołu międzyresortowego – nie dlatego, żeby konstytucja tego zabraniała, ale tylko dlatego, że nigdzie wyraźnie o zespołach międzyresortowych nie wspomina. No, ale trudno oczekiwać, by pracownicy opozycyjnego agitpropu odważyli się poprosić mgr. Stępnia czy prof. Chmaja o komentarz w tej sprawie, a gdyby nawet, żeby ci z kolei odważyli się coś skomentować nie po myśli obrońców wolności, porykujących do rządzących z braku innego programu: „Będziesz siedział".

Gdyby, teoretycznie, mimo to któryś z autorytetów zdobył się na dystans wobec tego czy innego przejawu totalniactwa „naszych", zapewne stałby się jego udziałem los sędziów Sądu Najwyższego, który zawiesił procedowanie w sprawie prezydenckiego ułaskawienia dla Mariusza Kamińskiego i jego współpracowników z CBA. Zawiesił, bo inna decyzja oznaczałaby de facto uznanie, że w Polsce nie istnieje obecnie Trybunał Konstytucyjny, czyli wprowadzenie do systemu prawnego chaosu i anarchii – ale tego właśnie oczekiwała „opozycja totalna", w myśl jedynej kierującej nią zasady „im gorzej, tym lepiej". Zaraz okazało się, że sędziowie, którzy jeszcze wczoraj dla palących świeczki demonstrantów byli świeckimi świętymi umęczonymi pod PiS-owskim kaczorem, od dzisiaj są zdrajcami, którzy sprzedali się, odwdzięczając się w ten sposób „marionetce" Dudzie za

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. DANIEL GMAPYEAST NEWS

to, że zawetował ustawy, których – jak wyjaśnił anty-PiS nadworny socjolog Markowski – wcale zresztą nie zawetował, tylko tak się umówił z Kaczyńskim, żeby zmylić społeczeństwo i udawać, że nie jest marionetką, którą przecież wiemy, że jest.

PROSTE „WYJAŚNIENIA"

Bardzo śmieszne, ale akurat żelaźni zwolennicy PiS, którzy na wspomniane weto zareagowali identycznym wybuchem histerycznej nienawiści do prezydenta, śmiać się z tego nie mają prawa. Jeszcze wczoraj słowami Biblii zachwalali „błogosławione łono, które go wydało", by dziś demaskować w nim mięczaka, który uległ albo wręcz sprzedał się układowi, zaprzepaścił szansę na ostateczne pokonanie komunizmu, w najlepszym przypadku – sławna w Internecie teoria dr. Targalskiego – został przez wroga sprofilowany i wzięty na ręczne sterowanie za pomocą „Ucha prezesa". Najwnikliwsi znaleźli wyjaśnienie w fakcie, że prezydent Duda nie ujawnił aneksu do raportu z rozwiązania WSI, a przecież ujawniłby, gdyby nie było tam niczego o nim… Pytania, czego się bał, że owego aneksu ujawnić nie chciał, śp. Lech Kaczyński, lepiej jednak nie zadawać.

„Pozostaje do wyjaśnienia" – by zacytować sławny smoleński SMS Radosława Sikorskiego – kto i jakimi argumentami przekabacił ludzi takich, jak Wiesław Johann, Jan Olszewski, Zofia Romaszewska czy Andrzej Nowak, którzy opowiedzieli się po stronie tej narodowej zdrady. Według wyjaśnienia najczęściej przyjmowanego przez PiS-owski hardcore w ogóle nie było potrzeby ich przekabacać, bo zawsze byli agentami, tylko dopiero teraz wreszcie im pospadały maski. Wyjaśnienie bowiem jeszcze prostsze – że po prostu przeczytali przepchnięte przez PiS ekspresowo i kolanem ustawy, a przypadkiem się na regulowanych przez nie sprawach znają – jest przecież nie do przyjęcia ze względów zasadniczych.

KRECIA ROBOTA

Przekleństwo pamięci podsuwa mi gorące czasy ukraińskiego Majdanu, kiedy to wyznacznikiem prawomyślności dla wspomnianej „żelaznej brygady" PiS był entuzjazm wobec trwającego w Kijowie antyrosyjskiego powstania. Każdy, kto pozwalał sobie na jakiekolwiek wątpliwości, demaskowany był wówczas jako agent Putina. Agenturą Putina był też en bloc rząd PO, bo nie dość, że jego minister straszył ukraińskich powstańców, iż jeśli nie pójdą na układy, to „wszyscy zginą", także utrudniał polskim fundacjom charytatywnym dostarczenie rozstrzeliwanym przez snajperów Ukraińcom kamizelek kuloodpornych i hełmów. Nie trzeba było lepszego dowodu na to, że Tusk i Komorowski kierowani są z Kremla, niż owe leżące na granicy kamizelki, bo władze upierały się, że to broń, a na przewóz przez granicę broni trzeba mieć koncesję. W końcu koncesję na owe kamizelki i hełmy fundacji Otwarty Dialog wydano.

Dzisiaj, ponieważ fundacja Otwarty Dialog okazała się macką antypolskiego spisku, wytropienie faktu, że PO wydała jej koncesję na handel bronią, stało się hitem „Gazety Polskiej Codziennie" i portalu wPolityce.pl. Jakich jeszcze trzeba dowodów na to, że rzekome protesty pod sądami nie były żadnymi protestami, tylko robotą międzynarodowych handlarzy bronią przeciwko Polsce? Szef fundacji publikuje w Internecie instrukcję, jak wyłączyć państwo, jego żona jawnie opowiada się za obaleniem demokratycznej władzy jako, decyzją zarządu, niedemokratycznej, na liście darczyńców są Rosjanie związani z putinowską zbrojeniówką, a rząd PO dał im koncesję na handel bronią. „Przypadek? Nie sądzę".

Pozostaje do wyciągnięcia logiczny wniosek, że także Majdan w Kijowie, rękami tej samej fundacji, dokonany został przez zachodnie ośrodki dywersyjne na zlecenie i za pieniądze Sorosa. Owszem, wielokrotnie taką tezę, zgodną skądinąd ze stanowiskiem Moskwy, mogliśmy słyszeć w kręgach bliskich Korwin-Mikkemu i narodowcom, ale wtedy sama w sobie stanowiła ona dowód, że to putinowska agentura. Czyż więc logika nie wskazuje teraz, że putinowską agenturą w Polsce okazali się ci, którzy zawsze w demaskowaniu putinowskiej agentury byli najbardziej niezawodni? Jeśli tak – tym gorzej dla logiki.

Jednak oprócz tropu wiodącego na Wschód, do Rosji, i tropu wiodącego do Sorosa, który otacza nas ze wszystkich kierunków geograficznych, mamy jeszcze trop niemiecki. Fundacja Akcja Demokracja, której założyciele chlubią się w mediach, że to oni dzięki swym tworzonym przez lata zasobom w mediach społecznościowych zwołali tłumy pod budynki sądów w różnych miastach Polski, przyjmowała dotacje od fundacji, na czele której stał niemiecki wiceminister – co prawda były, ale wiadomo, co ten fakt oznacza. Współpraca w kreciej robocie Rosji i Niemiec, które razem finansują w Polsce próby obalenia legalnej władzy, jest równie oczywista jak łącząca ich wspólnota interesów, skoro Niemcy chcą nas wciągnąć do Unii, a Rosjanie osłabić nasze z nią związki.

Najlepszym dowodem jest wizyta w Polsce putinowskiej marionetki – Donalda Trumpa. Że Trump jest kierowany przez Putina, możemy dowiedzieć się ponad wszelką wątpliwość od wybitnej politycznej analityk Anne Applebaum, podobnie jak i tego, że jest on protektorem antydemokratycznej władzy PiS, że zaś z kolei PiS wypełnia polecenie Putina, by skłócić Polskę z Niemcami, od równie wybitnego analityka, jej męża, Radosława Sikorskiego. Że tak czy owak wszystko to spisek i astroturfing od szczerze nimi gardzącej żelaznej brygady PiS. We wzajemnym zajadłym obieganiu się dookoła bokserzy zaczynają nam znikać z oczu i wszystko się ze wszystkim myli, ale grunt, że bijatyka trwa. I nie widać sędziego, który mógłby ją przerwać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

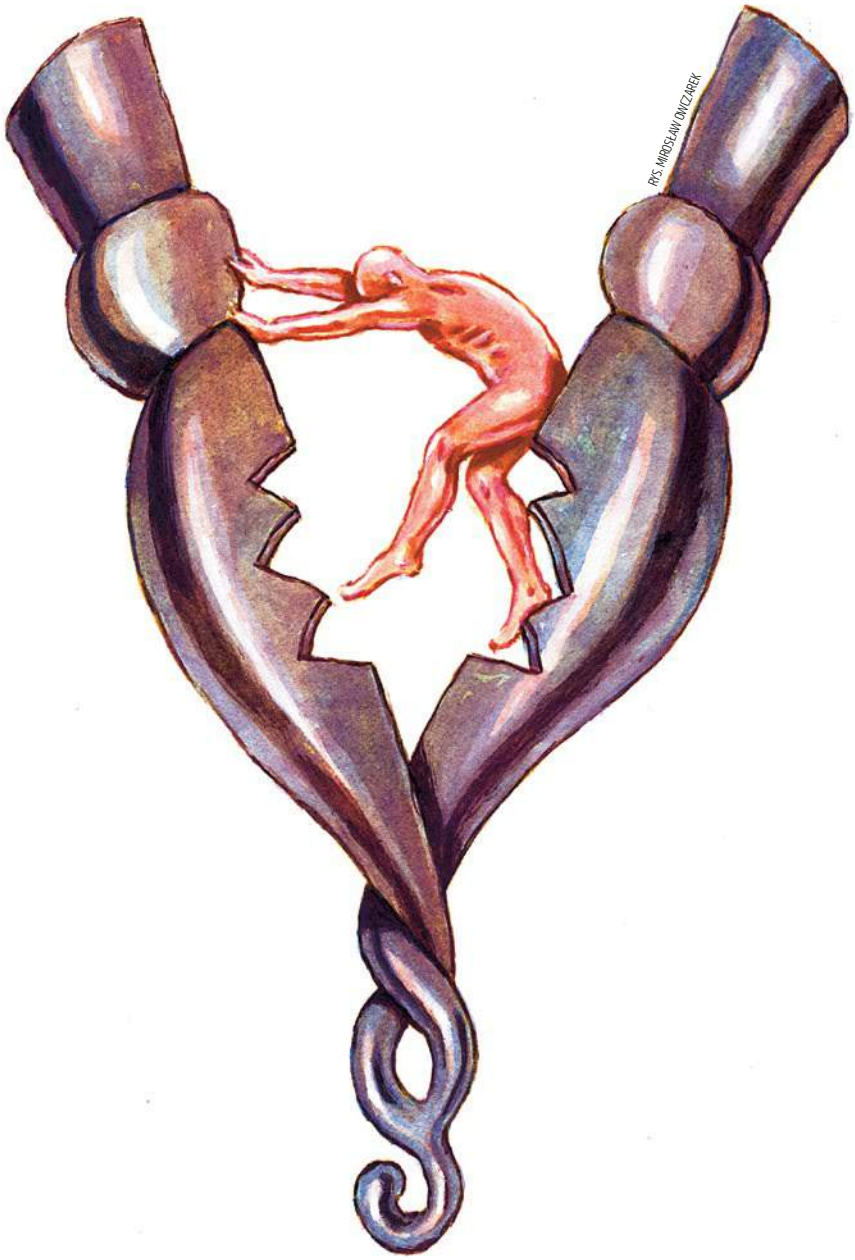
RYS. MIROSŁAW DWCZAREK

Łukasz Warzecha

Dziennikarz w kagańcu

W Polsce już są instrumenty umożliwiające karanie za fake newsy. Dodatkowe regulacje w praktyce oznaczałyby wprowadzenie cenzury

Jeszcze w grudniu 2016 r. kwestia fake newsów (po polsku: fałszywych informacji) nie była jednym z ważnych wątków polskiego sporu politycznego. Brałem wówczas udział w konferencji w Brukseli, której tematem były niepokojące rzekome postępy nacjonalizmu i populizmu. Konferencja była, rzecz jasna, lewicowym sabatem, gdzie mój głos był odosobniony.

W czasie debaty, w której uczestniczyłem, pojawiła się kwestia karania za fałszywe wiadomości. Był to nieodzowny punkt lewicowej agendy, ściśle sprzęgnięty z karaniem za „mowę nienawiści". Jedynie ja oraz jeszcze jeden uczestnik spotkania zauważyliśmy, że ważniejszą wartością powinna być wolność słowa, a przepisy tego typu mogą być łatwo wykorzystywane do jej krępowania. Było dla mnie wówczas całkiem jasne, że choć fałszywe wiadomości są problemem, nie wolno godzić się na inne, dodatkowe regulacje niż już istniejące – a tego właśnie chce lewica. Przypomniałem, że w kodeksach cywilnych, a także karnych (tak jak w Polsce) istnieją już regulacje pozwalające karać za nieprawdziwe informacje.

eprasa.pl d508e00ca9

Kilka miesięcy później stały się dwie rzeczy. Po pierwsze, niedługo przed wyborami do Bundestagu w Niemczech została wprowadzona ustawa przewidująca horrendalne kary m.in. za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości. Po drugie, zwolennicy rządzącej partii uznali karanie za fałszywe wiadomości za wspaniały pomysł, a poseł PiS Dominik Tarczyński oznajmił, że pracuje nad projektem odpowiedniej ustawy. Geneza tego drugiego zjawiska jest dość oczywista: elektorat PiS z zasady nie ufa mediom, uważa, że ugrupowanie sprawujące władzę jest niesłusznie i kłamliwie atakowane (co zresztą często jest prawdą), i wyobraża sobie, iż ustawa o fake newsach byłaby wspaniałym biczem wobec „antypolskich mediów". To jednak spojrzenie bardzo krótkowzroczne, bo taka regulacja szybko stałaby się kagańcem dla wszystkich.

KARAĆ JUŻ MOŻNA

Nie przypadkiem pomysłodawcą niemieckiej ustawy był członek SPD, Heiko Maas, federalny minister sprawiedliwości. Nie jest też przypadkiem, że jedna ustawa ma załatwiać jednocześnie sprawę fałszywych wiadomości i „mowy nienawiści". Dla europejskiej lewicy „mowa nienawiści" to idealny wytrych, pozwalający uciszyć każdy niewygodny pogląd. „Mową nienawiści" może się np. okazać informacja o tym, że imigranci popełniają więcej przestępstw niż rodzima populacja, albo opinia, iż instalowanie odrębnych toalet dla osób „trzeciej płci" to politpoprawna bzdura.

Niemieckie regulacje przewidują, że kary za rozpowszechnianie „mowy nienawiści" i fałszywych informacji – w tym również przez platformy społecznościowe, nie tylko przez tradycyjne media – mogą sięgać nawet 50 mln euro. W Polsce poseł Tarczyński kalkuluje nieco skromniej, wspominając „jedynie" o milionie złotych. Przy czym milion złotych, a nawet wielokrotnie mniejsze pieniądze, to dla ogromnej części mniejszych mediów – w tym zwłaszcza lokalnych – wyrok śmierci.

Tarczyński twierdzi, że zamierza swój projekt konstruować bardzo uważnie, ponieważ nie chce słyszeć zarzutów, że chodzi o wprowadzanie cenzury. Niestety, nawet jeśli niezamierzony, to taki właśnie byłby skutek wprowadzenia pomysłów posła PiS w życie. Pokazują to skutki działania art. 212 Kodeksu karnego [przestępstwo zniesławienia – przyp. red.]. Jest on od dawna wykorzystywany, szczególnie w mniejszych ośrodkach, do tłumienia krytyki rządzących, nie tylko prasowej, lecz także wyrażanej choćby na blogach. Ponieważ mówimy o Kodeksie karnym, prywatny oskarżyciel jest zwolniony z wysokich kosztów pozwu. Wniesienie prywatnego aktu oskarżenia kosztuje zawsze 300 zł. Przeciwnik od razu znajduje się w gorszej sytuacji, ponieważ nie jest pozwanym, ale oskarżonym, a w razie niekorzystnego wyroku grozi mu wpis do rejestru skazanych ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Wszystkie bez wyjątku dziennikarskie organizacje od dawna apelują o wykreślenie art. 212 z Kodeksu karnego. Opowiadał się za tym również PiS – gdy było jeszcze w opozycji. Po przejęciu władzy sprawa ucichła.

Głównym argumentem przeciw art. 212 jest efekt mrożący, czyli swego rodzaju prewencyjna cenzura. Dziennikarze, sparaliżowani groźbą stanięcia przed sądem, po prostu unikają pisania o sprawach, które mogą ich narazić na

REKLAMA

MECHANICZNY **NUREK**

PROPOZYCJA JAPOŃSKIEGO PRODUCENTA NA LATO: SPEKTAKULARNY, RASOWY „DIVER" OD CITIZEN BUDZĄCY RESPEKT SPORĄ KOPERTĄ, AGRESYWNĄ LUNETĄ Z OSTRYMI, GŁĘBOKIMI NACIĘCIAMI.

Czasomierz zaprojektowano dla osób, które lubią styl modeli przeznaczonych do nurkowania: duża okrągła koperta – 46 mm średnicy i ok 13 mm grubości nadaje zegarkowi harmonijną budowę i właściwe proporcje, a szczotkowane powierzchnie – surowy, narzędziowy „look". Za pracę tego modelu zegarka CITIZEN odpowiada sprawdzony i niezawodny mechanizm – kaliber 8200. Jest to mechanizm z automatycznym naciągiem, łożyskowany na 21 kamieniach, który pracuje z częstotliwością 21 600 wahnięć na godzinę. Osiąga rezerwę chodu około 45 godzin. **ZEGAREK OFERUJE 100 M WODOSZCZELNOŚCI.** Za wzorcową czytelność odpowiadają wskazówki i indeksy, wypełnione masą luminescencyjną. Datownik na godzinie 3-ciej wyraźnie prezentuje oddzielne okienka dni tygodnia i miesiąca. Automatyczne „nurki" CITIZEN dostępne są w kilku wariantach, np.: na stalowej bransolecie z ultra-niebieską tarczą ukazującą swój właściwy lazurowy odcień szczególnie w mocnym świetle wakacyjnego słońca – bądź wersja bardziej sportowa z czarną kopertą na czarnym kauczukowym pasku.

citizen.pl

NH8389-88LE lub NH8385-11EE z kolekcji Mechanical cena: 890 zł

eprasa.pl d508e00ca9

nieprzyjemności, albo w ogóle rezygnują z zawodu, tak jak Łukasz Ernestowicz, dziennikarz „Gazety Pomorskiej", w marcu tego roku. Ernestowicz tak opisywał swoją sytuację: „Na podstawie rozmów z szeregowymi policjantami oraz na podstawie skargi, która wpłynęła do komendy wojewódzkiej, napisałem o tym, że policjanci skarżą się na swojego przełożonego. Ich zdaniem, miał on znęcać się nad nimi psychicznie. Uznałem, że należy sprawę jak najszybciej opisać, bo chodziło tu o bezpieczeństwo policjantów, a także wielu innych funkcjonariuszy, którzy mogliby znaleźć się w podobnej sytuacji. Policjant uznał, że go pomówiłem, i skierował sprawę do sądu z artykułu 212 kk". Wyrok w pierwszej instancji to osiem miesięcy prac społecznych, 8 tys. zł nawiązki i opublikowanie przeprosin.

Poza art. 212 istnieje też Kodeks cywilny, a w nim art. 23 i 24.

„Artykuł 23: Dobra osobiste człowieka, jak w szczególności […] cześć, swoboda sumienia, nazwisko lub pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji, […] twórczość naukowa, artystyczna, wynalazcza i racjonalizatorska, pozostają pod ochroną prawa cywilnego niezależnie od ochrony przewidzianej w innych przepisach".

Artykuł 24 mówi o tym, czego może oczekiwać od pozwanego powód, korzystający z dobrodziejstw art. 23.

Istnieją zatem instrumenty zarówno w prawie karnym, jak i cywilnym, pozwalające rozprawiać się z tymi fałszywymi wiadomościami, które wyrządzają autentyczną szkodę. Dodatkowo na użytek polityków oddano specjalny tryb wyborczy, pozwalający orzekać w przyspieszonym tempie.

CENZURA I CHAOS

Po co w takim razie specjalna ustawa o fałszywych wiadomościach i co miałaby ona zmienić? Po pierwsze – choć nie znamy na razie żadnych szczegółów – można założyć, że orzekanie o tym, czy coś jest wiadomością prawdziwą czy fałszywą, zostałoby przeniesione gdzieś poza wymiar sprawiedliwości lub też rola sądów zostałaby tu poważnie zredukowana. W przeciwnym wypadku wprowadzanie nowego instrumentu prawnego nie ma sensu.

Wyprowadzenie sprawy kar za fake news poza system sądowy rodziłoby zaś gigantyczne zagrożenie. Mimo że czasami mamy do czynienia z prostym i jawnym kłamstwem, znacznie częściej spory wybuchają wokół półprawd, przemilczanych wątków spraw, wartościujących określeń i opinii. Ustawa o fałszywych wiadomościach otworzyłaby tu puszkę Pandory. Wystarczyłoby wskazać jakikolwiek nieprawdziwy element w całej poza tym rzetelnej informacji lub ocenie, żeby uruchomić specjalny tryb, który mógłby skutkować gigantyczną karą. Jeżeli byłby to tryb administracyjny, nie sądowy, to oznaczałoby to w praktyce stworzenie organu cenzury. O tym, co podlega karze, a co nie, decydowaliby bowiem urzędnicy.

Większość mniejszych mediów, w obawie przed druzgocącą karą, przestałaby publikować jakiekolwiek znaczące informacje

Gdyby jednak nawet sprawy miały trafiać do sądów, to i tak niewiele to zmienia. Mielibyśmy efekt art. 212 w spotęgowanej postaci. Jeśliby zaś fałszywymi wiadomościami miało się z urzędu zajmować państwo – gdyby miały np. stanowić przestępstwo ścigane z urzędu – trzeba by do obsługi tej dziedziny oddelegować potężne oddziały prokuratorów, niezajmujących się niczym innym. Wszelkiego rodzaju pieniacze dostaliby do ręki nowe narzędzie, pozwalające w najlepszym wypadku paraliżować działalność prokuratury, a w najgorszym – nękać nielubiane media.

Regulacja mogłaby być groźna dla autorów internetowych żartów i memów, które przecież w większości opierają się na stwierdzeniach ewidentnie nieprawdziwych. Jak podeszłaby do kwestii prywatnych osób, jedynie powielających nieprawdziwe informacje (lub to, co zostałoby za nie uznane)? Jak regulowałaby sprawę mediów społecznościowych, gdzie – po pierwsze – ukazują się miliony postów każdego dnia, a po drugie – część komunikacji należy uznać za prywatną (jak prywatne profile na Facebooku)? Jak oddzielałaby autora fake newsa od osób jedynie go powielających i jak regulowałaby kwestię odpowiedzialności za to? To wszystko są kwestie już dziś, w obecnym stanie prawnym, budzące problemy, a cóż dopiero po wprowadzeniu w życie pomysłów Tarczyńskiego, gdybyśmy mieli pójść w ślady Niemiec, gdzie zresztą nowe prawo spotyka się z potężną krytyką. Wobec braku prawnych definicji satyry czy nawet – tak, to nie żart – mediów w nowoczesnym ujęciu dostalibyśmy trudny do wyobrażenia chaos.

ZMIANA CENZORA

Nietrudno przewidzieć, jaki byłby efekt. Większość mniejszych mediów, w obawie przed druzgocącą karą, przestałaby w ogóle publikować jakiekolwiek znaczące informacje. Byłby to efekt mrożący do sześcianu. Bez zagrożenia można by się zajmować jedynie słodkimi historiami o celebrytach i politykach. Stalibyśmy się krajem wyłącznie pozytywnych informacji. W każdym razie – o tych, którzy akurat sprawowaliby władzę, bo to oni odpowiadaliby za działanie systemu. Ich można by bez obawy tylko chwalić.

Gdyby władza się zmieniła, ujrzelibyśmy, jak w praktyce działa „test Warzechy": co się dzieje z fatalną regulacją, gdy kontrolę nad państwem przejmuje ktoś inny. Czy na pewno chcielibyśmy, żeby ustawa o fałszywych wiadomościach trafiła w ręce Borysa Budki, Kamili Gasiuk-Pichowicz czy – nie daj Boże! – Adriana Zandberga? Idę o zakład, że nic by w niej nie zmienili, ale zaczęli z niej ochoczo korzystać dla własnych cenzorskich celów. Mieliby wygodnie – nie musieliby niczego nowego uchwalać. Brudną robotę wykonałby za nich poseł z PiS.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Kot – zwierzę polityczne

Agnieszka Niewińska

Nikt jeszcze nie policzył, czy liczebną przewagę mają parlamentarzyści czy ich kocury. Wiadomo jednak, że frakcja kociarzy jest w Sejmie silna. Prym wiodą pupile Jarosława Kaczyńskiego

To z pewnością był jego dzień. Kot prezesa PiS znalazł się we wszystkich stacjach telewizyjnych i na portalach internetowych, był bohaterem memów i filmików rozpowszechnianych w mediach społecznościowych. Wystarczyło, że pojawił się w oknie domu Jarosława Kaczyńskiego, kiedy na zewnątrz manifestowali przeciwnicy ustaw dotyczących sądów. – Trochę mnie to nawet zaskoczyło, że kot prezesa Kaczyńskiego wyglądał przez okno mimo takiego zamieszania.

Jarosław Kaczyński z kocurem Busiem, 1997 r. FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/FORUM

eprasa.pl d508e00ca9

Musi być odważniejszy niż mój Blutek. Zdarza mu się wyglądać przez okno, ale tłum i hałas przed domem sprawiłyby, że schowałby się w najdalszym kącie mieszkania – mówi Katarzyna Piekarska z SLD, miłośniczka zwierząt i właścicielka kota rasy rosyjski niebieski.

Ewelina Włodarczyk, behawiorystka zwierząt z Centrum Kynologicznego Canid, zaznacza, że koty to zwierzęta, które lubią obserwować. – Chętnie wspinają się na parapety czy meble, by móc patrzeć z góry na jakieś atrakcyjne dla nich zjawisko. Dotyczy to zwłaszcza kotów, które żyją w mieszkaniu i rzadko wychodzą na zewnątrz – mówi.

Pozostaje pytanie: Który z pupilów prezesa zdobył taki rozgłos? Obok kocicy Fiony z prezesem PiS mieszka znaleziony przez jego ochroniarzy kocur Czaruś, a z doskoku pojawia się także Feliks. – Przypuszczam, że w oknie widzieliśmy Czarusia, a nie Fionę. Czaruś wywalczył sobie miejsce w domu prezesa i nie radziłabym nikomu z nim zadzierać. W tych krążących po Internecie animacjach z kotem ostrzącym sobie pazurki jest sporo prawdy – mówi posłanka PiS Jolanta Szczypińska, dumna właścicielka kocura Rudolfa i kocicy Zuzi.

KOCI KRÓL

Oba koty Jolanty Szczypińskiej to zwierzęta obecne w Internecie, są jednymi z głównych bohaterów jej Twittera obserwowanego przez blisko 10 tys. internautów. Zdjęcia nie pozostawiają złudzeń – zawładnęły mieszkaniem posłanki PiS, Rudolfowi zdarza się nawet okupować komputer. Inni parlamentarzyści także dzielą się informacjami i zdjęciami swoich pupilów, ale jeśli chodzi o medialną popularność, to koci król jest tylko jeden. – Na razie to kot prezesa Kaczyńskiego wiedzie prym – mówi Sylwester Chruszcz, poseł Kukiz'15, właściciel trzech kotów: Ronalda, Felka i Lusi.

Koty Jarosława Kaczyńskiego od lat są tymi najbardziej znanymi w kraju. Reporterzy, którzy jeszcze w latach 90. relacjonowali posiedzenia Sejmu, przypominają, że kultowym zwierzakiem był wtedy należący do Kaczyńskiego biały kocur Buś. Potem nastała epoka Alika. Potrącony przez samochód leżał w przydrożnym rowie w okolicach Wyszogrodu. Prezes PiS, który tamtędy przejeżdżał, zabrał kota, wyleczył go i zatrzymał. Alik to zdrobnione imię dziadka braci Kaczyńskich – Aleksandra. Kiedy w 2011 r. kocur poważnie zachorował, „Super Express" poświęcił tematowi pierwszą stronę. Pisał o leczeniu kota w drogiej klinice, donosił, że prezes Kaczyński w ciągu dnia opuszcza siedzibę partii przy Nowogrodzkiej, by odwiedzić pupila. „Widział upadki i rośnięcie w siłę partii politycznych, brał udział w tajnych naradach, wygrzewał się na kolanach ministrów oraz premierów" – pisał o Aliku w pośmiertnym całostronicowym artykule „Super Express".

Fiona, którą prezes PiS wziął do siebie, gdy zabrakło Alika, także wzbudziła spore zainteresowanie mediów. Imię kotu nadała mama braci Kaczyńskich – Jadwiga. I wbrew obiegowej opinii nie pochodzi ono od imienia bohaterki „Shreka". „Mama lubi angielską literaturę i dlatego wybrała celtyckie imię" – opowiadał w 2012 r. prezes PiS. Stwierdził także, że Fiona to najdziwniejszy kot, jakiego miał. Wylewa wodę z misek na podłogę i niczym pies aportuje winogrona.

Chociaż oficjalnych statystyk nie ma, to posłowie przyznają, że w Sejmie frakcja kociarzy ma się nie najgorzej. – Z racji tego, kto jest u władzy, przypuszczam nawet, że kociarze mają w polskim parlamencie większość – mówi Paweł Grabowski, poseł Kukiz'15, właściciel kota Bolka. Paweł Rabiej, poseł z Nowoczesnej, choć sam kota nie posiada, to zwraca uwagę, że nie tylko w PiS kociarze są siłą. – Poruszaliśmy jakiś warszawski temat dotyczący zwierząt i okazało się, że przeważają u nas posiadacze kotów – mówi.

Jolanta Szczypińska szacuje, że choć w klubie PiS są osoby, które mają zarówno psy, jak i koty, to te ostatnie rzeczywiście mogą mieć przewagę liczebną. – O sympatii prezesa do kotów wszyscy wiedzą, ale kota mają też poseł Terlecki i poseł Bernacki. Kot ministra Macierewicza jest rudy, podobny nieco do mojego Rudolfa – mówi posłanka PiS.

Rodzinie Macierewiczów koty towarzyszą od lat. Niektóre miały iście polityczne zacięcie. W 2011 r. w miesięczniku „Nowe Państwo" Antoni Macierewicz opowiadał o Hamaku – kocie, którego imię to skrót frazy: „Hania i Antek mają kota" (Hanna to imię małżonki polityka – przyp. red.). Hamak w czasach działalności Macierewicza w KOR był świadkiem wielu rewizji. „Miał tę właściwość, że wdrapywał się na drzwi od pokoju i zeskakiwał na esbeków, wczepiając się w ich głowy. Demolował także ułożone w stosy przygotowane do zabrania papiery i dokumenty. Był znienawidzony przez wszystkich funkcjonariuszy SB. Muszę przyznać, że byłem dumny z jego zachowania" – opowiadał Macierewicz. Wspominał także kotkę Głoskę, która zamieszkiwała redakcję wydawanego przez niego pisma „Głos". „Była do mnie bardzo przywiązana i lubiła także podróżować ze mną samochodem. I tak kiedyś dojechaliśmy do Sejmu. Godziny posiedzenia i głosowań przeczekała pod opieką życzliwych pań szatniarek. I nikt na szczęście obecności Głoski tam nie zauważył".

Na kociego lidera wśród polityków PiS wychodzi jednak przewodniczący Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański. – Rzeczywiście, kotów pan poseł ma sporo, cztery, a może nawet pięć – próbuje się doliczyć asystent posła. Czupurek, Mrunia, Setuś, Ramzelek, Pasztecik… – to imiona kotów, których zdjęcia pojawiły się na facebookowym profilu małżonki posła Czabańskiego.

– Sama chciałabym mieć więcej niż dwa koty, ale mieszkam w bloku, więc trudno byłoby stworzyć dobre warunki dla większej liczby zwierzaków. Z sąsiadami dokarmiam jednak koty osiedlowe, dbamy, by miały schronienie na zimę, szukam też sprawdzonych domów dla kotów ze schronisk – opowiada posłanka Szczypińska.

PAN I OBSŁUGA

Na prawicy już lata temu rozpowszechniło się przekonanie, że prawicowcy są kociarzami, bo gnieżdżą się w małych mieszkaniach, podczas gdy lewicowcy mają wille z ogrodami, więc mogą pozwolić sobie na psa. – Na ogół politycy prawicy mają niższy status materialny, w bloku trudno trzymać psa. Gdybym miał dom, natychmiast wziąłbym psa – mówił Antoni Macierewicz „Rzeczpospolitej" w 2008 r. Jednak poseł Chruszcz jest zdania, że to pogląd, który był aktualny jakieś 30 lat temu – w czasach, kiedy opozycjoniści spali na styropianie. – Ja widzę to inaczej. Do psa bliżej jest komuś, kto myśli na rozkaz i działa na rozkaz, dlatego ludzie lewicy chętniej wybierają psy. Kot jest niezależny, samodzielny, z kotem trzeba się liczyć. Prawicowcy myślą samodzielnie, więc nic dziwnego, że wolą koty – przedstawia swoją teorię. I dodaje, że jego trzy pupile, choć są częścią rodziny i nikt, a zwłaszcza dzieci, nie wyobraża sobie domu bez nich, żyją jednak własnym życiem.

eprasa.pl d508e00ca9

– Mamy to szczęście, że mieszkamy obok lasu, i koty z tego korzystają. Mają specjalne drzwiczki, wychodzą, kiedy chcą. Nie mają pana. To pies ma pana, kot ma swoją obsługę, i to jest zasadnicza różnica między tymi zwierzętami – wyjaśnia poseł Chruszcz.

Teorię o podziale zwierząt na te, które lubi prawica, i te, które wybiera lewica, trudno jednak obronić, bo sejmowi wyjadacze pamiętają, że kota miało wielu pierwszoplanowych polityków SLD, takich jak Zbigniew Siemiątkowski czy Lech Nikolski. Ten ostatni swojego pupila nazwał Szkaradek, imię było dziwnie zbieżne z nazwiskiem posła AWS Andrzeja Szkaradka.

Dla Katarzyny Piekarskiej sprawa podziału na psiarzy i kociarzy jest dużo prostsza. – Wiele zależy od tego, jakie miało się w domu zwierzęta. Ci, którzy zawsze mieli psy i nie mieli okazji do kontaktów z kotami, uważają, że ich nie lubią. To się zmienia w momencie, kiedy w ich domu pojawia się pierwszy kot – mówi. – Sama zawsze miałam psy, Blutek jest moim pierwszym kotem, trafił do mnie po śmierci taty. Gdyby nie to, że mam dwa psy, pewnie wzięłabym kolejnego kota. Kot znacznie lepiej komunikuje swoje potrzeby, dopomina się o swoje, jest konsekwentny. Jeśli się czegoś odmówi psu, to on odpuści, idzie na swoje legowisko. Z kotem jest inaczej. Blutek uwielbia karmę w saszetkach. Kiedy nie chcę mu jej dać i udaję, że śpię, zaczyna zrzucać przedmioty. Jego konsekwencja jest niesamowita, nie odpuści dopóty, dopóki nie załatwi swojej sprawy. Myślę, że politycy właśnie takiej konsekwencji mogą uczyć się od kotów.

– Ja nie wybiegałabym tak daleko myślą, by kocie cechy rozpatrywać w kategoriach politycznych, choć trzeba kotom oddać to, że są niezależne, a taki powinien być polityk – zauważa Ewa Lieder, posłanka Nowoczesnej. W jej domowym zwierzyńcu jest kot o imieniu Kofi, przywieziony do domu z rynku. – Stało z nim dziecko, słońce strasznie grzało, zrobiło nam się szkoda kociaka, więc go przygarnęliśmy. Do niedawna mieliśmy jeszcze drugiego kota, półdzikiego, ale teraz została tylko Kofi – opowiada posłanka. I dodaje, że koty to doskonali towarzysze. – Obserwuję, że mają świetny wpływ na dzieci. Dzięki nim szybciej nabierają dobrych nawyków w postępowaniu ze zwierzętami, uczą się empatii

Gdyby ludzie upodabniali się do swoich kotów, pewnie moglibyśmy liczyć na zastępy konsekwentnych, samodzielnych i niezależnych w myśleniu polityków. Częściej jednak mówi się o tym, że to zwierzę upodabnia się do właściciela. – Tak jak w każdej plotce, tak i w tym jest ziarnko prawdy – mówi Ewelina Włodarczyk. – Oczywiście nie chodzi o biologiczne upodabnianie się zwierzęcia do człowieka, ale o nawyki, reakcje emocjonalne. Kot spokojnego, opanowanego człowieka z dużym prawdopodobieństwem będzie spokojny i łagodny. Natomiast kot osoby nerwowej, gwałtownie reagującej może zachowywać się w podobny sposób – mówi behawiorystka zwierząt. I dodaje, że choć kot dla polityka, którego często nie ma w domu, jest lepszym wyborem niż bardziej wymagający pies, to nie oznacza to wcale, że nie potrzebuje towarzystwa. – Kot nie będzie się dobrze czuł, jeśli przez większość czasu będzie pozostawiony sam. To zwierzę towarzyskie, potrzebuje zaangażowania ze strony człowieka. Nie wystarczy zapewnienie mu jedzenia i picia – przypomina.

Sylwester Chruszcz, poseł Kukiz'15, z kotem Felkiem. Czy kocur ma szansę na taką karierę medialną jak koty prezesa PiS? FOT. EMILIA LECHOWICZ

Jolanta Szczypińska przyznaje, że to właśnie z powodu częstych podróży zastanawiała się, czy w ogóle zdecydować się na kota. – Gdyby nie to, że zostały mi podrzucone, pewnie bym się nie zdecydowała. Rudolf trafił do mnie siedem lat temu, Zuzia w tym roku, w Wielki Piątek. Nie miałam serca, żeby ich nie zatrzymać – mówi. I dodaje, że ma zaufaną koleżankę, która w razie jej nieobecności opiekuje się kotami. – Tylko raz byłam w takiej sytuacji, że musiałam zabrać Rudolfa ze sobą – dodaje.

BOLEK I NIECHĘĆ DO DRAPAKA

Paweł Grabowski z Kukiz'15 ze swoim Bolkiem już nieraz podróżował z domu na Opolszczyźnie do Warszawy. – Nie zostajemy w hotelu poselskim – zastrzega. – Tam jest zdecydowanie za mało miejsca dla kota. To by było mało humanitarne – mówi poseł. I dodaje, że Bolkowi najwyraźniej podróże nie przeszkadzają. – Wnioskuję, że je nawet lubi, bo sam wskakuje do transportera, po drodze nie miauczy, nie narzeka, choć nie dostaje przed podróżą żadnych środków uspokajających dla zwierząt – mówi. Bolka wziął rok temu. Padło na kota z racji pracy z dala od domu. – To typowy wiejski kot. Kiedy jesteśmy na Opolszczyźnie, lubi wyjść na polowanie; kiedy przyjeżdżamy do Warszawy, najchętniej bawi się rolką papieru toaletowego, wymyślny drapak dla kotów nie przypadł mu do gustu. A po kim dałem mu na imię Bolek? Sama musi się pani domyślić – dodaje.

Jedno jest pewne. Koty to temat, który mógłby połączyć polityków wszystkich opcji – od Jarosława Kaczyńskiego do Kamili Gasiuk-Pihowicz, która w ubiegłym roku adoptowała dwa kociaki z warszawskiego schroniska. Jolanta Szczypińska przyznaje, że nawet przeszło jej kiedyś przez myśl, by powołać parlamentarny zespół przyjaciół kotów. – Tak, jestem kociarą, kocham koty. I polecam je wszystkim. Obserwowanie ich jest wielką przyjemnością, one dają wiele radości, ubogacają – mówi. I dodaje na zachętę: – Dobrzy ludzie mają koty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zima nadeszła

Piotr Gociek

Siódmy sezon serialu „Gra o tron" jest najkrótszy z dotychczasowych. Za to najlepiej widać w nim, o czym właściwie jest to opowieść

Zima nadeszła, ale na razie nie zmieniło to wiele w krainie Westeros. Walka o to, kto zasiądzie na Żelaznym Tronie trwa w najlepsze – zmieniają się tylko kandydaci. Siódmy sezon serialu „Gra o tron" jednocześnie zachwyca i irytuje fanów. Przykuwa uwagę, bo akcja już dawno wyszła poza ramy opublikowanych dotąd książek, więc każdy odcinek przynosi zupełnie nowe zakręty fabuły. Irytuje, bo w całym sezonie odcinków jest tylko siedem (w dodatku premiera odbyła się kilka miesięcy później niż zwykle, czyli pod koniec lipca, a nie tradycyjnie, w kwietniu). Wszystko to jednak jest ze sobą powiązane. Widać, że twórcy serialu HBO – działający przecież w ścisłym porozumieniu z autorem powieści George'em R.R. Martinem – robią, co mogą, by nie zakończyć sagi, nim nie uczyni tego pisarz. A w każdym razie, by nie wyprzedzać go nadmiernie.

Niewiele chyba z tych starań wyjdzie, bo nowej książki ciągle nie widać. Ostatnią – jak dotąd – był „Taniec ze smokami", który ukazał się sześć lat temu.

Premierę „Wichrów zimy" kilkakrotnie przekładano w ostatnich latach. 22 lipca tego roku autor na swoim blogu napisał: „Ciągle nad nią pracuję i wciąż miesiące dzielą mnie od ukończenia (ile miesięcy? – dobre pytanie), wciąż miewam dni dobre i złe, to właściwie wszystko, co mam do powiedzenia". Dodał też kokieteryjnie, że czytelnicy ujrzą nową książkę o krainie Westeros w roku 2018.

BLIŻEJ WIELKIEGO FINAŁU

Jest w tej zapowiedzi haczyk – w tym samym wpisie Martin chwalił się stopniem zaawansowania prac nad pierwszym tomem historii Westeros, publikacji, która rozszerza naszą wiedzę o jego fikcyjnej krainie. Na „Wichry zimy" więc pewnie jeszcze poczekamy, a przecież to jeszcze nie koniec, bo po tej książce ma przyjść kolejny jeden tom – ostatni. Wygląda więc na to, że w najbliższych latach będziemy świadkami wydarzenia bardzo nietypowego: filmowcy ukończą ekranizację całego cyklu, zanim jeszcze zostanie on oficjalnie zamknięty przez autora.

Z tego powodu tym większej wagi nabierają wydarzenia, które obserwujemy w serialu – przybliżają nas przecież do wielkiego finału (Martin obiecuje, że będzie to finał „słodko-gorzki"), mimo że w wielu szczegółach zapowiadane powieści i wersja telewizyjna będą się między sobą różnić. To naturalne, filmowcy musieli pewne wątki skrócić i skondensować, z wielu postaci pobocznych zrezygnowali, tymczasem George R.R. Martin rozkochany jest w swoich bohaterach (nawet tych najdrobniejszych) i z tomu na tom poświęca im więcej miejsca.

Dla tych, którzy książek ani filmu nie znają – „Gra o tron" to saga, której akcja rozgrywa się na fikcyjnym kontynencie

eprasa.pl d508e00ca9

Westeros, w świecie zatrzymanym gdzieś pomiędzy starożytnością i średniowieczem (broni palnej jeszcze nie wynaleziono). Westeros składa się z siedmiu królestw rządzonych przez osobne rody – Lannisterów, Tyrellów, Baratheonów itd. Na północy Westeros wznosi się gigantyczny Mur oddzielający ziemie ludzi od zimnych, wrogich terenów dzikich ludzi i olbrzymów. Na południu, za morzem, kryją się lądy z własnymi królestwami, władcami i cudami. Jednym z tych cudów są smoki. To właśnie wykorzystując smoki, przybysz z południa, założyciel dynastii Targaryenów, podbił kiedyś i zjednoczył całe Westeros, a z broni pokonanych wytopił Żelazny Tron, na którym sam zasiadł. Czytelnicy (i widzowie) trafili do Westeros jakiś czas po tym, jak zbuntowane dawne rody obaliły dynastię Targaryenów i po krótkim okresie spokoju zaczęły rywalizować między sobą o to, komu należy się Żelazny Tron.

Trucizna, zdrada, publiczne egzekucje i skrytobójstwa, bitwy, oblężenia, rewolty religijne – wszystko to staje się udziałem mieszkańców Westeros, bo gra o tron wyzwala w uczestnikach nieznane dotąd pokłady inwencji, jeśli chodzi o zadawanie krzywdy innym, oraz pomysłowości, gdy trzeba przechytrzyć konkurencję. Martin inspirował się dziejami wojny stuletniej, szczególnie zaś Wojny Dwóch Róż w Wielkiej Brytanii, a jednym z jego ulubionych autorów jest Francuz Maurice Druon (i jego cykl „Królowie przeklęci").

Po pięciu tomach cyklu „Gry o tron", sześciu sezonach serialu (oraz kilku odcinkach sezonu siódmego, prezentowanego również w polskiej płatnej telewizji HBO) widać wyraźnie, o co w całym tym zamieszaniu chodzi. Nie mam na myśli rozwiązań fabularnych, ale przesłanie dzieła, które choć w całości przynależy do popkultury, nie jest przecież wyzbyte ambicji. W ostatnich odcinkach niektóre postacie wypowiadają kwestie, które rzecz objaśniają wprost.

WSZYSCY SĄ WROGAMI

Po pierwsze, walka o władzę nie jest czymś, co się zaczyna i kończy, to stan permanentny – świat jest areną nieustannego ścierania się ambicji i woli. Nie można pozwolić sobie nawet na chwilę nieuwagi czy odpoczynku. Tylko ci, którzy to rozumieją, mogą pozostać na powierzchni. Mówimy „ceną wolności jest wieczne czuwanie" – w „Grze o tron" wieczne czuwanie jest ceną przetrwania. W trzecim odcinku siódmego sezonu jedna z najbardziej makiawelicznych postaci – Petyr Baelish „Littlefinger" – wykłada tę prawdę Sansie Stark: „Tocz każdą bitwę z możliwych zawsze w swojej głowie. Wszyscy są twoimi wrogami, wszyscy są twoimi przyjaciółmi, każda możliwa ewentualność zdarza się jednocześnie. Żyj w ten sposób, a nic cię nie zaskoczy. Bo wszystko, co się stanie, już widziałaś".

Po drugie, podczas gry o tron – tak, wiem, że to nie nowość – nie można sobie pozwolić na luksus szlachetnych pobudek. Owszem, wmawianie sobie (i innym), że działa się dla dobra ludu, bywa pomocne podczas utwierdzania się w podjętych decyzjach i gromadzenia sojuszników, ale życie brutalnie weryfikuje te deklaracje. Gdy w siódmym sezonie do Westeros przybywa pretendentka do tronu Daenerys, ostatnia z rodu Targaryenów, deklaruje, że nie będzie nadużywała przemocy (ma w końcu do dyspozycji własne smoki i dwie nieustraszone armie). „Nie chcę być królową popiołów" – mówi. Na co sędziwa Olenna Tyrell odpowiada: „Prostaczkowie i możni są jak dzieci. Będą cię słuchać tylko wtedy, gdy zaczną się bać. Moja wnuczka była królową, którą lud kochał jak żadną. Miłowali ją prości ludzie, możni… I co z niej zostało? Popioły".

Tę prawdę rozumieją konkurenci – Jaime Lannister, walczący dla zasiadającej obecnie na Żelaznym Tronie swojej siostry (i kochanki), pyta cynicznie, czy kiedy wreszcie zapanuje pokój i dobrobyt, ktoś będzie dopytywał, za jaką cenę. Nie, nikogo nie będzie to interesowało. Krótko mówiąc, na luksus bycia dobrotliwym i kochanym władcą można sobie pozwolić dopiero wtedy, gdy wojna zostanie wygrana. Do wygranej można zaś dążyć choćby najbardziej krwawymi, najbardziej brutalnymi metodami.

Trzecia sprawa – mężczyźni może i rządzą światem, ale nimi rządzą kobiety. Martin idzie dalej, bo im dłużej przypatrujemy się wojnie w Westeros, tym bardziej widać, że nastała era mocnych kobiet, które mężczyzn już nie potrzebują albo traktują ich instrumentalnie. Cersei Lannister jest skuteczniejsza od poprzedników zasiadających w sali tronowej Królewskiej Przystani, Sansa Stark, która irytowała na początku serii swoją naiwnością i głupotą, wyrasta na dziedziczkę znacznie lepiej przygotowaną do władania niż ktokolwiek z jej rodu, wspomniana Olenna Tyrell była najważniejszą postacią własnej dynastii, a Daenerys wyrasta na najbardziej utalentowaną i skuteczną władczynię w dziejach Targaryenów.

Następna lekcja: nie lekceważ maluczkich. Ci, którzy na początku całej opowieści wydawali się najmniej ważni, skazani na porażkę wśród królów, bogaczy, wodzów, pod koniec okazują się nie tylko tymi, którzy przetrwali, lecz także tymi, którzy trzymają w rękach losy świata. Wspomniana Daenerys, niegdyś głupiutka gąska oddana jako „klacz rozpłodowa" (to jej określenie) wodzowi dzikich Dothraków, teraz jest Matką Smoków i potężną władczynią. Jon Snow, bękart rodu Starków, to król Północy. Karzeł Tyrion Lannister, znienawidzony przez własną rodzinę i skazany na śmierć, powraca w chwale jako najbliższy doradca Daenerys. Krucha drobna Arya, córka Neda Starka, potrafi przetrwać wśród obcych samotna i poniżana, by powrócić oraz wywrzeć zemstę na wrogach swojej rodziny. Tchórzliwy Samwell Tarly, zwany kiedyś Świnką, niepotrafiący utrzymać miecza w dłoni, okaże się tym, który odkryje, jak ocalić świat.

WIELKA ZIMA

Ponad tym wszystkim toczy się jeszcze jedna rozgrywka. Za wielkim Murem prócz dzikusów czyha napędzana nieznaną magią armia umarłych, Innych (w oryginale White Walkers), którzy maszerują, by zmieść wszelkie życie w Westeros. To zwiastun Długiej Nocy i wielkiej zimy. Po drugiej stronie tajemniczy ognisty R'hllor, którego kapłani potrafią z płomieni czytać przyszłość i wskrzeszać zabitych. Wielkie starcie tych sił się zbliża (wszak „Gra o tron" to opowieść fantasy) i wtedy, jak przypomina Jon Snow w rozmowie z Daenerys (tak, wreszcie doszło do ich spotkania): „Ty, ja, Cersei i wszyscy inni to dzieci, które wściekają się na niesprawiedliwą grę. Jeśli nie pokonamy wroga z północy, to tej zimy zginą wszyscy, których znasz. Jeśli wedrą się za Mur i zastaną tu bandę skłóconych dzieci, jeśli nie pokonamy Nocnego Króla, to będziesz rządzić cmentarzem".

Ponad wszelkimi naszymi sporami, ambicjami i walkami o władzę są zawsze rzeczy większe niż my sami. A od tego, którą stronę wybierzemy, zależy to, czy ocaleje świat. I o tym przede wszystkim jest „Gra o tron".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Mysz, która ryknęła

Recenzent to zawód ginący. A cóż dopiero mówić o krytykach oceniających na łamach prasy spektakle operowe oraz koncerty muzyki bardzo poważnej! Wykruszają się szybciej niż misie pandy. Najwyższy czas stworzyć w resorcie kultury jakiś program stypendialny, o specjalnym funduszu europejskim nie wspominając. Niestety, wydawcy, ogarnięci obsesją racjonalizacji kosztów, pozbywają się mistrzów słowa w pierwszej kolejności. Za te same pieniądze mogą zatrudnić trzech młodych, którzy nie będą się wzdragać, by pisać o pośladkach Beyoncé i nałogach Mozarta.

W podobnych okolicznościach traci pracę bohater austriackiej tragikomedii „Wilde Maus". Krytyk muzyczny z 25-letnim stażem, autor wyjątkowo zgryźliwych recenzji, próbuje przekonać szefa, że czytelnicy będą protestować.

„Wątpię, większość z nich nie żyje" – odpowiada bezduszny zwierzchnik i radzi nieborakowi, by napisał jakąś książkę. Georg nie należy jednak do typów, którzy doznają natchnienia, gdy świat wali im się na głowę. Przywykł do przywilejów, kiedy więc w filharmonii musi zapłacić za bilet i przesiąść się do ostatniego rzędu, cierpi jak potępieniec.

Do tego żona – terapeutka, do której jak ulał pasuje powiedzenie o szewcu, który bez butów chodzi – ciosa mu kołki na głowie. Mając 43 lata, postanowiła zajść w ciążę i nic poza tym jej nie interesuje. Upadły zoil pogrąża się we frustracji. Żłopie piwo z kolesiem znajdującym się w podobnej sytuacji życiowej. Knuje zemstę na byłym pracodawcy, widzi w nim sprawcę wszystkich swoich nieszczęść, które – trzeba przyznać – spadają na Georga seriami.

Chociaż w tle często pojawia się Prater, a scenarzystą, reżyserem i odtwórcą głównej roli jest komik, „Wilde Maus" nie stara się rozśmieszyć widzów na siłę. Komizm wypływa tu przede wszystkim z ludzkiej niedoskonałej natury. Zdaniem Hadera wiedeńczycy mają fioła na punkcie własnej godności i nie odbierają sygnałów wysyłanych przez bliźnich. Nic więc dziwnego, że życie wciąż ich zaskakuje. Czasem pozytywnie – dawny prześladowca może raptem okazać się najlepszym przyjacielem.

Z telewizorów i radioodbiorników dobiegają wieści o wojnie w Syrii, uchodźcach, azylantach i zamachach terrorystycznych. Wypada się przejąć, więc bohaterowie mówią „to straszne". Są zbyt zajęci własnymi sprawami, by angażować się w politykę. Zdarzają się jednak wyjątki. Sebastian ujawnia, że nie kupuje już koszernego sera, bo nie chce wspierać Izraela.

Hader szydzi z austriackich burżujów, ale tamtejsi twórcy już tak mają, że lubią kalać własne gniazdo. Od skandalisty Thomasa Bernharda do jadowitej noblistki Elfriede Jelinek – tradycja zobowiązuje. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. JOSEF HADER
„WILDE MAUS"
AUSTRIA/NIEMCY 2017

wyst. Josef Hader, Pia Hierzegger, Georg Friedrich

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „MROCZNA WIEŻA"

Film rozszerzający uniwersum stworzone przez Stephena Kinga. Wielotomowy cykl „Mroczna wieża" jest najambitniejszym dziełem pisarza, lecz przenieść go na ekran byłoby trudno, twórcy filmu dopisali więc do serii nowy rozdział. Oczywiście na ekranie pojawi się najważniejsza postać cyklu, rewolwerowiec Roland Deschain, wędrujący przez światy w pościgu za Człowiekiem w czerni, najbardziej destrukcyjną siłą tego fantastycznego, acz przenikającego się z naszą rzeczywistością uniwersum. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Mroczna wieża" („The Dark Tower"), reż. Nikolaj Arcel, wyst. Idris Elba, Matthew McConaughey, USA 2017***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Annabelle: Narodziny zła" („Annabelle: Creation"), reż. David F. Sandberg, USA 2017***
- ***„Gra cieni" („Mil-jeong"), reż. Jee-woon Kim, Korea Południowa 2016***
- ***„Paryż na bosaka" („Paris piedsnus"), reż. Dominique Abel, Francja 2016***

eprasa.pl d508e00ca9

Miasto kotów

Muzułmanie psy mają w pogardzie, gdyż to stworzenia nieczyste i bezdennie głupie. Dopuszczają się bałwochwalstwa, traktując człowieka jak boga. Co innego z kotami. Są mądre i pożyteczne – łowią myszy i szczury. Hołubił je sam Prorok, a w Koranie wspomina się o nich wyłącznie w pozytywnym kontekście.

Nawet krótka wizyta w Stambule wystarczy, by zorientować się, że sierściuchów jest tam więcej niż tulipanów. Ceyda Torun nie miała więc problemów ze zdobyciem materiału. Po koniecznych cięciach w filmie ostało się siedem historii dachowców oraz ich opiekunów (trudno ich nazwać właścicielami, bo koty – jak wiadomo – chadzają własnymi drogami).

Jeden z ludzkich bohaterów doznał załamania nerwowego i dopiero mruczek przywrócił mu radość życia. Innemu pupil pomógł znaleźć portfel z sumą pieniędzy, jakiej akurat potrzebował. Kociarze znad Bosforu nie wstydzą się przyznać, że to czworonogi wychowują ich, a nie odwrotnie.

Kult Rademenesa i jego pobratymców ma charakter uniwersalny. Z filmu jasno wynika, że miłość do kotów łączy Turków, Kurdów i syryjskich uchodźców, fanów Erdoğana, Gülena oraz demokracji w zachodnim stylu. Są jednak umysły tak mocno zainfekowane polityką, że nie potrafią tego dostrzec. Wolą wymyślać bajki o złym sułtanie z Żoliborza, który udaje przyjaciela zwierząt. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★☆

REŻ. CEYDA TORUN
„KEDI – SEKRETNE ŻYCIE KOTÓW" („KEDI")
TURCJA 2016

wyst. Spryciara, Przylepa, Sułtan, Flirciarz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MÓJ PRZYJACIEL POTWÓR

Wbrew tytułowi nie jest to film o zawodach z udziałem wielkich samochodów. Chris Wedge, reżyser udanych animacji („Robot", „Epoka lodowcowa"), próbuje wskrzesić ducha lat 80. filmem, który pełnymi garściami czerpie z dawnych dokonań Spielberga i jego naśladowców. Nastoletni bohater zaprzyjaźnia się z dziwnym stworem uwolnionym spod ziemi podczas odwiertu prowadzonego przez gotowych na wszystko poszukiwaczy ropy. Sympatyczny Creech wygląda jak szara ośmiornica skrzyżowana z delfinem (choć paszczę ma jak potwory z „Wstrząsów"). Reszta standardowa: kłopoty rodzinne, kłopoty w liceum, ładna dziewczyna na horyzoncie, starcie z przebrzydłą firmą, która wciąż poluje na Creecha (a jego pobratymców z podziemia trzyma zamkniętych w wielkich plastikowych kanistrach). Podróbka smakuje prawie jak oryginał, choć twórcy serialu „Stranger Things" zagrali na nostalgii lepiej. Całość krzepi, bo przypomina, że ludzi dobrej woli jest więcej.

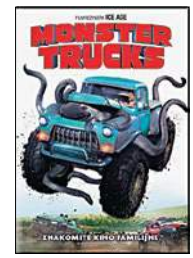

★★★☆☆☆

REŻ. CHRIS WEDGE
„MONSTER TRUCKS"
USA 2016, IMPERIAL

wyst. Lucas Till, Jane Levy, Thomas Lennon, Rob Lowe

CHŁOPIEC Z MARSA

„Między nami kosmos" udaje science fiction, lecz jest jedynie wyciskaczem łez dla młodzieży. Kolonizatorzy lecą na Marsa, szefowa misji jest w ciąży (nikt o tym nie wie) i umiera podczas porodu na obcej planecie. Syn dorasta na Marsie, a gdy wróci na Ziemię jako nastolatek będzie bardzo wyobcowany, lecz na szczęście ma tu znajomą. Chwyt jest znany: odcięty dotąd od świata bohater odkrywa, jak cudowne i dziwne jest prawdziwe życie. Mnóstwo rzeczy jest tu bardzo naciąganych albo po prostu irytujących (choćby robot przyjaciel naszego nastolatka), nieźle wypada za to Asa Butterfield („Gra Endera") w roli głównej. Na drugim planie mocno stara się Gary Oldman, ale jego kreacja jest zbyt przesadzona. Kto szuka poważniejszego podejścia do pomysłu „marsjańskie dziecko na Ziemi", niech sięgnie po powieść Heinleina „Obcy w obcym kraju". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★☆☆☆☆

REŻ. PETER CHELSOM
„MIĘDZY NAMI KOSMOS" („THE SPACE BETWEEN US")
USA 2017, MONOLITH

wyst. Gary Oldman, Asa Butterfield, Carla Gugino

GRA TYGODNIA: „MONUMENT VALLEY 2"

★★★★★☆

Jeśli jakaś gra logiczna pobierana jest na tablety i telefony prawie 27 mln razy, to musimy mówić o fenomenie. Właśnie taka była niezależna produkcja studia Ustwo, które stworzyło jedną z najpiękniejszych gier na urządzenia mobilne – „Monument Valley". Wszystko, co dobre w pierwowzorze, druga część powtarza i dodaje nowe elementy. Mamy zatem podróż przez kolorowe światy, w których grawitacja i poczucie perspektywy to rzeczy umowne. Zaskoczeniem jest jednak, że przemierzają je dwie postaci (matka z córką), co dodatkowo komplikuje zagadki. Muzyka, minimalizm, estetyka – to wszystko w sequelu na najwyższym poziomie. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Logiczna*
- ***Platforma:*** *iOS*
- ***Producent:*** *Ustwo*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *brak*

eprasa.pl d508e00ca9

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Oświeceniowe miazmaty

Czy wiedzą państwo, w jakiej epoce w naszych dziejach, poczynając od przyjęcia chrztu przez Polskę, nikt nie został wyniesiony na ołtarze? W oświeceniu, wtedy i tylko wtedy.

Przypadek? Bynajmniej. „Pod pretekstem walki z sarmatyzmem i jezuityzmem, które w propagandzie oświeceniowej stanowiły synonimy najgorszego, prowadzono dzieło »reformy« narodu – w wielu aspektach porównywalne tylko chyba z tym, czego w XX wieku dokonać chcieli z Polakami komuniści" – pisze Grzegorz Braun w wydanej właśnie książce o „polskich drogach do świętości".

„Iskry Boże" powstały jako scenariusz filmowy, a raczej szkic do takiego scenariusza. Autor – sam reżyser, twórca m.in. głośnego filmu „Plusy dodatnie, plusy ujemne" o kontaktach Lecha Wałęsy z SB oraz serii filmów „Errata do biografii" – planował cykl animowanych obrazów o charakterze edukacyjnym z przeznaczeniem – jak powiada w słowie odautorskim – „dla widza bynajmniej niekoniecznie wprowadzonego głęboko w historię, niekoniecznie całkiem dorosłego, nawet niekoniecznie mającego jakiekolwiek pojęcie o naszym kraju – opowiadać miał o tym, jak Polacy otrzymali dar świętej Wiary katolickiej, jak, mimo wszystko, potrafili go nie tylko dzielnie zachować, ale i szczodrze się nim dzielić. Zaciekawiając, a momentami również rozbawiając, formą i fabułą, ciąg animowanych obrazów otwierać miał perspektywę, w której odsłoni się sens i piękno dziejów Polski – trwale wszczepionej w chrześcijaństwo, a następnie wnoszącej oryginalny wkład w rozwój cywilizacji łacińskiej".

Filmy pozostały w sferze projektu, a szkoda. Mamy za to niewielką, niespełna 200-stronicową książeczkę, która może i powinna spełnić podobne zadania, w odniesieniu przede wszystkim do młodzieży. Trudno o lepszy materiał pomocniczy do nauki religii. Nie tylko zresztą; do nauczania historii także. Grzegorz Braun poprowadził bowiem swój wykład w wielokrotnie sprawdzony sposób: ukazał dzieje ojczyste przez pryzmat konkretnych osób, w tym przypadku poprzez świętych i błogosławionych Kościoła katolickiego.

A przy okazji rozprawia się z wieloma mitami, które rozpanoszyły się w prowadzonej przez lata polityce historycznej, w szkolnej edukacji, szeroko pojętej oświacie i kulturze. Tutaj wciąż dominuje narracja „postępowa". Zmieniają się ustroje, systemy polityczne, a ona pozostaje niezmienna. Po 1989 r. odrzucony został jedynie bolszewicki komunizm, cała reszta została. Wciąż obowiązuje czarny PR w stosunku do inkwizycji i kontrreformacji, z uznaniem traktowane są zaś wszelkie schizmy, snute są bajdy o prześladowaniu zacnych husytów, hugenotów czy arian. „Po zdjęciu ze ścian szkół i urzędów – czytamy w »Iskrach Bożych« – portretów Lenina i Dzierżyńskiego, na poczesnych miejscach nadal pozostają podobizny tych, którzy w poprzednich wiekach prostowali ścieżki światowej rewolucji: Kallimacha, Komeńskiego czy Kołłątaja".

O Matko Przenajświętsza! Samego Kołłątaja? Katolickiego prezbitera, kanonika krakowskiego? Tak, ale to on „reformował" Uniwersytet Jagielloński, wyrzucając wszystkich teologów, a na ich miejsce zatrudniając „młodych, zdolnych" absolwentów szkół zachodnioeuropejskich, zajmujących się tym tylko, by wyrwać studentów spod wpływów Kościoła, a Kościół w Polsce uczynić katolickim w miejsce rzymskokatolickiego. O tym wszystkim wiemy mało albo nic, gdyż nawbijano nam do głów prawd objawionych o wyjątkowym (i, oczywiście, pozytywnym) znaczeniu Komisji Edukacji Narodowej, w której Kołłątaj grał pierwsze skrzypce. To pierwsze w świecie ministerstwo edukacji w istocie było biurokracją, która zniweczyła dziedzictwo zgromadzeń zakonnych, rozpoczynając wieloletnią dewastację bibliotek i archiwów oraz grabież skarbów klasztornych.

FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FAST NEWS

No jak to? Przecież to sto lat wcześniej nietolerancyjni Polacy spalili w Lesznie księgozbiór Jana Amosa Komenskiego, uważanego za twórcę nowoczesnej pedagogiki. To prawda, uczynili to w odwecie za wybitny wkład Comeniusa w przygotowanie najazdu szwedzkiego na ten nietolerancyjny kraj, który przygarnął go, gdy zwalczany był w Czechach przez Habsburgów i tamtejszy Kościół. A Rzeczypospolitej Obojga Narodów, zanim dotarły do niej miazmaty oświecenia, papież Aleksander VII nadał miano Regnum Orthodoxum. Monarchii Prawowiernej. ©℗

★★★★☆

GRZEGORZ BRAUN „ISKRY BOŻE, CZYLI POLSKIE DROGI DO ŚWIĘTOŚCI"
PROHIBITA, WARSZAWA 2017

eprasa.pl d508e00ca9

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pan Wang traci wszystko

Z szerokim uśmiechem oglądam ostatnio serial komediowy „Przepis na amerykański sen". W oryginale „Fresh Off the Boat" – za tym terminem kryją się Chińczycy przybywający za lepszym życiem do Ameryki. Serial opowiada o rodzinie Huangów, która uczy się żyć wśród białych na Florydzie – jest niegłupi, złośliwy i bardzo zabawny. Podobne klimaty znajdziecie w debiutanckiej powieści Jade Chang, tyle że rzecz zaczyna się w Kalifornii, a Wangowie – główni bohaterowie – mają już za sobą nieco osiągnięć. Charles Wang, głowa rodziny, został bogatym biznesmenem z branży kosmetycznej, a jego bliscy przyzwyczaili się do życia typowego dla Bel Air.

W chwili, gdy rozpoczyna się powieść „Wangowie kontra świat", cały dobrobyt idzie w diabły, bo Amerykę właśnie dotknął kryzys finansowy. Pan Wang cierpi wyjątkowo mocno, bo zaryzykował także prywatny majątek i teraz nie ma po prostu nic. Wraca więc do swojej obsesji – marzenia o Chinach. Chociaż przybył do USA z Tajwanu, to korzenie rodziny znajdują się na kontynencie. A Wang wciąż ma dowody na to, że przed komunistyczną rewolucją do jego rodu należał piękny kawałek ziemi. Może przyszedł czas na wielki powrót? Rozdział, w którym Charles Wang przybywa do Chin, jest zresztą jednym z najlepszych fragmentów powieści.

Akcja przede wszystkim rozgrywa się w Ameryce, gdzie liczna rodzina Wanga próbuje sobie poradzić nie tylko z nagłą pauperyzacją, lecz także z licznymi kłopotami prywatnymi. Najwięcej miejsca poświęcono córce Wanga, uznanej artystce, która ma wyjątkowego pecha w życiu uczuciowym. Nie będę oszukiwał – debiutancka książka Jade Chang, autorki znanej z łamów „Glamour" czy magazynu weekendowego „Los Angeles Timesa", to przede wszystkim lekka literatura obyczajowa. Warto jednak zwrócić na nią uwagę, bo jest mądrzejsza od zwykłych bestsellerów na lato. Doświadczenia Wangów – szukanie dla siebie miejsca w obcym kraju, skomplikowane relacje z krajem ojczystym, kłopot z tożsamością – to przecież także doświadczenia Polaków. Wiele przemyśleń na ten temat okaże się mocno inspirujących. Jednocześnie autorka opisuje swoich bohaterów z miłością i dumą, nawet kiedy okazują się pechowi lub tragikomiczni. Ech, gdyby Polacy na emigracji pisali o sobie takie książki, wszystkim nam byłoby łatwiej. ©℗

★★★★☆☆
JADE CHANG
„WANGOWIE KONTRA ŚWIAT"
SONIA DRAGA
2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Powieść znakomitego autora kryminałów nienależąca jednak do jego słynnego cyklu o inspektorze Banksie. Akcja rozgrywa się w Kalifornii, gdzie tajemniczy prześladowca grozi śmiercią gwieździe policyjnego serialu TV.

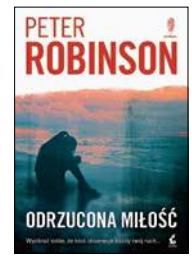

PETER ROBINSON
„ODRZUCONA MIŁOŚĆ"
SONIA DRAGA

Nowa powieść autorki bestsellerowej „Wyspy" (której akcja rozgrywała się na Krecie). Dwoje bohaterów, dla których rozmyślania o Grecji okazują się ucieczką i ratunkiem zarazem, sporo wstawek historycznych oraz przepiękne ilustracje.

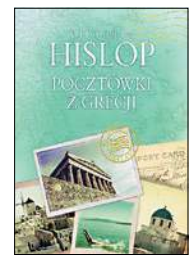

VICTORIA HISLOP
„POCZTÓWKI Z GRECJI"
ALBATROS

„Przekleństwo chrześcijan Bliskiego Wschodu" to podtytuł tej ważnej i smutnej książki. Francuski teolog i historyk wskazuje, co przyniosą Zachodowi porzucenie kolebki chrześcijaństwa i przyzwolenie na niszczenie korzeni naszej cywilizacji.

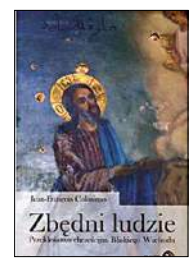

JEAN-FRANÇOIS COLOSIMO
„ZBĘDNI LUDZIE"
DIALOG

Polski western żyje, ale już nie w powieściach Wernica, tylko komiksie młodego rysownika. Opowieść o zemście mocno zanurzona w westernowej klasyce, ładnie narysowana i opowiedziana, choć kadrom czasem brakuje dynamizmu.

poleca Piotr Gociek

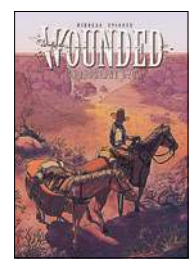

MIKOŁAJ SPIONEK
„WOUNDED. SKRADZIONE LATA"
EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. Tomasz Piątek „Macierewicz i jego tajemnice" (Arbitror) – pomieszanie z poplątaniem, czyli rzecz sensacyjna w tonie, wątła, gdy chodzi o fakty.

2. Nicola Yoon „Ponad wszystko" (Wydawnictwo Dolnośląskie) – melodramat dla młodzieży o chorej na rzadką alergię dziewczynie. W kinach już ekranizacja.

3. Remigiusz Mróz „Czarna Madonna" (Czwarta Strona) – najpłodniejszy autor polskich kryminałów idzie w thriller międzynarodowy i horror religijny.

4. B.A. Paris „Za zamkniętymi drzwiami" (Albatros) – thriller psychologiczny zgodny z najnowszą modą – zło czai się w małżeństwie, zwłaszcza idealnym.

5. Jay Asher „Trzynaście powodów" (Rebis) – śmierć nastolatki objaśniana przez nią samą na taśmach pozostawionych po samobójstwie. Także serial Netflixa.

(Najchętniej kupowane książki w salonach Empik między 10 a 23 lipca 2017 r.)

eprasa.pl d508e00ca9

JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

Muzyka niezwykła

Divna Ljubojević wystąpi 19 sierpnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Trzeba mieć odwagę, by w Krakowie próbować zmieścić jeszcze jedno cykliczne wydarzenie. Festiwal Muzyki Niezwykłej to cykl pięciu koncertów muzyki sakralnej w wykonaniu europejskich sław, które wystąpią od 14 do 19 sierpnia w zabytkowych wnętrzach kościołów Starego Miasta. Idea zrodziła się w środowisku Dominikańskiego Ośrodka Liturgicznego – instytucji zasłużonej dla odnowy muzyki sakralnej w Polsce.

W ubiegłym tygodniu pisałem o roli, jaką odegrał w tym procesie śpiewnik „Niepojęta Trójco" przygotowany właśnie w dominikańskim klasztorze dzięki muzykom tego ośrodka.

Kraków – miasto licznych festiwali – ma już nawiązujące do muzyki sakralnej Misteria Paschalia i Sacrum Profanum. Misteria Paschalia prezentują muzykę religijną wyłącznie jako dzieła sztuki, programowo niejako redukując wymiar duchowy.

Pojawienie się więc w przestrzeni Krakowa Festiwalu Muzyki Niezwykłej, traktującego serio zarówno dzieła (umieszczając je w kontekście liturgicznym), jak i słuchaczy – wiernych (wiążąc koncerty z poprzedzającą je Eucharystią) – przywraca muzyce sakralnej duchowy wymiar, umożliwia, obok wrażeń estetycznych, doświadczenie prawdziwego sacrum. Wśród wykonawców pojawi się kultowy zespół wokalny z Wielkiej Brytanii – Alamire (14.08). Prowadzona przez Davida Skinnera, obsypana nagrodami, zasłynęła m.in. wykonaniami dzieł Thomasa Tallisa i Williama Byrda. Z Antwerpii przyjedzie Graindelavoix, zespół znany fanom muzyki dawnej z występów na festiwalach Pieśni Naszych Korzeni i Wratislavia Cantans.

Polecam też fantastyczny, również znany w Polsce Linnamuusikud, estoński zespół łączący ludową źródłową tradycję z chorałem i muzyką renesansu (18.08). Wydarzeniem niewątpliwie będzie koncert Divna & Melodi (19.08), serbskiej solistki z zespołem wybitnych interpretatorów zarówno dawnej muzyki prawosławia, jak i Kościoła łacińskiego (więcej na: www.festiwal.mn). ©℗

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

A byli wzorem i natchnieniem

Debiutancki album „Funeral" z 2004 r. wywindował grupę do grona najbardziej twórczych wykonawców nowego wieku. Mieszanka punka, bossa novy, elektroniki, francuskiej chanson w połączeniu ze zmuszającymi do refleksji tekstami zachwyciła słuchaczy, krytyków i artystów. David Bowie zaprosił zespół do studia, a U2 wzięli go na światowe tournée.

Kolejne płyty Kanadyjczyków przyjmowane były z entuzjazmem, ale powtarzała się opinia, że „jednak to nie jest debiut". Recenzje piątego, najnowszego albumu są jednoznacznie negatywne. Jest to bowiem płyta, na której przeważa stylizacja nad treścią. Wymuskana w studiach przez producencki dream team (Steve'a Mackeya z Pulp, Geoffa Barrowa z Portishead, Thomasa Bangaltera z Daft Punk oraz Markusa Dravsa) brzmi fantastycznie. Tyle że poza dyskotekowym połyskiem imitującym elektropopową papkę lat 80. (najmocniej pobrzmiewają New Order i Pet Shop Boys) te utwory nie tylko coś udają, lecz także bije z nich emocjonalna pustka. Taka „Chemistry" może z powodzeniem nosić tytuł najgorszej piosenki zespołu.

Arcade Fire, przechodząc spod opieki niezależnej wytwórni Merge w objęcia koncernu Sony, miał dokonać wielkiego przełomu. Wyszedł najbardziej nijaki album w karierze grupy. ©℗

★★★☆☆☆

ARCADE FIRE
„EVERYTHING NOW"
SONY

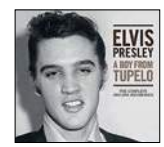

★★★★★★

ELVIS PRESLEY
„A BOY FROM TUPELO: THE COMPLETE 1953–1955 RECORDINGS"
SONY

Na trzech płytach zebrano wszystkie znane nagrania Króla Rock'n'Rolla, których dokonał przed kontraktem z RCA. To ten Presley wywrócił świat rozrywki do góry nogami i zapoczątkował rewolucję obyczajową. ©℗

★★★☆☆☆

JACEK SKUBIKOWSKI
„JACEK SKUBIKOWSKI"
POLSKIE RADIO

Na pierwszym CD mamy radiowe nagrania zmarłego przed 10 laty artysty. Na drugim – jego utwory w wykonaniu innych (m.in. Lady Pank, Beaty Kozidrak, Lombardu). Jego teksty są świetnym dokumentem szarzyzny lat 80. i nadziei następnej dekady. ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

Czy jest dom, w którym nie ma przynajmniej jednej solniczki? Dziś to przedmiot powszechnie używany i dostępny dla każdego, podobnie zresztą jak sól - pierwsza wśród przypraw.
Zupełnie inaczej było w średniowieczu kiedy to solniczki, były niezwykle cenne, stąd też pojawiały się tylko na królewskich i książęcych stołach. Miejsce solniczki na stole określał ceremoniał dworski nakazując jej umieszczenie przed najważniejszym uczestnikiem spotkania dla podkreślenia jego statusu.

NAJCENNIEJSZA W POLSCE KOLEKCJA SOLNICZEK

W wieku XVII i XVIII modnym stało się ozdabianie stołów kompozycjami z kwiatów i figur wykonanych z cukru, a w późniejszym okresie z porcelany. Nowa moda sprawiła, że pojawiły się naczynia do przypraw w kształcie: Afrykanek, zakochanych par, pasterek i pasterzy. Nieodzownym elementem takich figuralnych solniczek były pojemniki na sól często w formie ozdobnych koszy.

Pod koniec XVII wieku solniczki stały się elementem bardzo rozbudowanych serwisów, które w wieku XIX ograniczyły się do kilkuelementowego kompletu przyprawowego umiejscowionego na wspólnym postumencie. Taki skromniejszy zestaw mógł zagościć już na stole średniozamożnej rodziny.

Dziś kiedy rynek zdominowały wyroby przemysłowe pozbawione finezji, duszy i urody poprzedniczek warto przyjść do Zamku Żupnego w Wieliczce (ul. Zamkowa 8) by zobaczyć piękne, zabytkowe przedmioty na wystawie **„Solniczki – małe arcydzieła sztuki". To najcenniejsza w Polsce kolekcja solniczek, którą Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka tworzy od 1973 roku. Dziś liczy ona już ponad 800 obiektów.**

Solniczki z wielickiego Muzeum pochodzą ze znanych warsztatów złotniczych i wytwórni porcelany, z wszystkich kontynentów. Kolekcja obejmuje przykłady sztuki złotniczej, ceramiki i szkła oraz wykonane z innych materiałów: kości, kamienia, masy perłowej... W zbiorze znajdują się solniczki pojedyncze, występujące parami oraz w kompletach przyprawowych. Ostatnio dołączyły do niego światowej klasy srebrne, złocone solniczki wykonane przez mistrza Hansa Arnolda w Augsburgu w XVI wieku. Przedmioty te znajdowały się w jednej z najlepszych kolekcji złotnictwa należącej do barona Meyera de Rotschilda.

Wystawę „Solniczki – małe arcydzieła sztuki" można zwiedzać w Zamku Żupnym codziennie z wyjątkiem poniedziałków, w godzinach 9.00-20.00.

www.muzeum.wieliczka.pl

eprasa.pl d508e00ca9

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Zło wessane do Internetu

Jak powszechnie wiadomo, wszelkie interakcje międzyludzkie w Internecie kończą się bluzgami, wyzwiskami i pogróżkami. Jest jednak pewien korzystny aspekt tej sprawy. Otóż im więcej chamstwa w świecie wirtualnym, tym go mniej w realnym.

Oczywiście nie mogę udowodnić, że jedno jest następstwem drugiego. Nie wiem, czy istnieje jakiś ogólny Zapas Narodowej Żółci, który musi zostać zużyty, i ponieważ coraz więcej tej żółci jest wpuszczanej do Internetu, tym mniej trafia jej do powietrza, którym oddychamy. Jednak ewidentne jest to, że w sieci jesteśmy znacznie straszniejsi niż w tzw. realu.

Rzecz jasna, co jakiś czas trafiam na sarkania ludzi, którzy powracają z zagranicznych wojaży i jęczą, jacy to Polacy są ponurzy, niekulturalni, niemili. Że się nie uśmiechają, są nabzdyczeni, sfochowani oraz nieżyczliwi z natury. Sensowniej chyba porównywać się z nami samymi sprzed dekady niż z innymi nacjami. A prawda jest taka, że – wyjąwszy specyficzny świat polityków toczących brutalną wojnę i nieprzebierających w słowach – poziom naszej kultury osobistej skoczył do góry równie dziarsko co PKB. Legendy o chamskich Polakach są reliktem przeszłości – pochodzą z szarych i beznadziejnych lat 80., gdy pogoń za podstawowymi dobrami konsumpcyjnymi odzierała ludzi z godności. Oraz z lat 90., gdy zadekretowany odgórnie darwinizm społeczny premiował ludzi bezwzględnych o twardych łokciach.

Polacy A.D. 2017 wcale nie są chamscy ani antypatyczni. W każdym razie ci, których ja spotykam. Może żyję w jakiejś sztucznej kapsule, podobnej do tej, w jakiej egzystował bohater „Truman Show". Może jestem nieświadomym bohaterem jakiegoś eksperymentu społecznego. Jednak nic nie poradzę, że napotykam głównie ludzi nawzajem sobie życzliwych. W całym XXI w. tylko raz grubiańsko się do mnie odezwano: pod knajpą sushi w moim bloku kompletnie pijany kolo wyraził się brzydko o mojej matce i z tajemniczego powodu chciał mi dać po pysku, ale bardziej trzeźwy kolega kazał mu „zostawić pana w spokoju". Mam wrażenie, że 20 lat temu podobne sytuacje były znacznie częstsze i ryzyko zaczepienia przez agresywnego dresiarza było wpisane w życie wielkiego miasta.

Mówiąc między nami, może być troszkę tak, że to ludzie, którzy nie lubią innych ludzi, sami wzbudzają niechęć. Jeśli z kogoś emanują pogarda, poczucie wyższości i wyniosłość, to nie dostaje w zamian życzliwego słowa ani uśmiechu. Może zatem ci, którzy tak są zmęczeni Polakami, sami są dla nich męczący. I sami są przyczyną zjawiska, które tak ich irytuje.

W każdym razie ja się bardzo dobrze czuję w Polsce, ale fatalnie w polskim Internecie. I dlatego preferuję życie w realu. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Dylematy brukselki

Większości obserwatorów obecne ataki władz Unii Europejskiej na Polskę wydają się nieracjonalne i trudne do wytłumaczenia. W to, że chodzi o obronę demokracji nad Wisłą, trudno uwierzyć nawet propagandowym politrukom. O co tu chodzi? O emocje? – Te w polityce rzadko bywają prawdziwe. O solidarność z Donaldem Tuskiem, którego autorytet ogranicza się do tego, że jest ulubionym chłopcem na posyłki ciotki Angeli? Łatwiej zrozumieć, że wszystko sprowadza się do pieniędzy.

Polska pokazuje, że konserwatyzm może być spokojny, przemyślany i nowoczesny

Wybijająca się na suwerenność Polska, która przestaje być dojną krową Europy, hamuje postkolonialny drenaż i może stać się konkurentką ekonomiczną, choćby przez odradzanie własnego przemysłu. A co będzie, gdy rzeczywiście spolszczy banki, ograniczy przewagę zachodnich koncernów na rynku gazet, opodatkuje sieci handlowe? W dodatku wspólnie z Ameryką zada cios takim przedsięwzięciom jak Nord Stream 2? A przykład jest zaraźliwy… I tu chyba dochodzę do sedna. Ze wszystkich grzechów Polaków jest ten największy, który nie daje spać po nocach Junckerom i Timmermansom, psuje apetyt Schultzowi i wywołuje świerzb u połowy eurokomisarzy. Jest nim prawicowa alternatywa – i to nie w wydaniu zachodniej obłaskawionej chadecji, która dawno nie różni się od socjalistów, czy histerycznym à la madame Le Pen.

Polska pokazuje, że konserwatyzm może być spokojny, przemyślany i nowoczesny – że może istnieć kraj otwartych kościołów i bezpiecznych, pozbawionych islamskiego czerwia ulic. Świat dumy z przeszłości i wiary w przyszłość. Świat wartości, opartych na zdrowym rozsądku, w którym umysłów nie zniewala poprawność polityczna, owa, iście orwellowska cenzura nowych czasów.

Pamiętamy, jak po pierwszej wizycie papieża Polaka zawaliła się piramida kłamstwa, strachu, dwójmyślenia. Sukces Polski, Węgier, i – da Bóg – innych państw Międzymorza nie będzie mógł zostać niezauważony. Zniewolone społeczeństwa przebudzą się i policzą, nastanie kiepski czas dla wyobcowanych eurokratów, finansowych oligarchów, medialnych magnatów i żurnalistycznych łgarzy.

Czy to dziwne, że panowie z Brukseli za wszelką cenę pragną temu zapobiec i zdusić zarazę w zarodku? Tyle że rączki mają zbyt krótkie, a ryzyka się boją. Jedno jest tylko niepokojące, że w chwili próby w zderzeniu z cywilizacją prawdziwie chrześcijańską łże-elity wybiorą islam. ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

DODATEK SPECJALNY

(Anty)polska operacja NKWD

- Mechanizm terroru
- Szokujące dokumenty
- Bestialskie metody przesłuchań

eprasa.pl d508e00ca9

Prezes IPN Jarosław Szarek podczas konferencji prasowej IPN „Operacja polska NKWD 1937–1938" (25 maja 2017 r.). Prezes trzyma broszurę IPN poświęconą sowieckiej eksterminacji Polaków FOT. MARCIN JURKIEWICZ/IPN

Pamiętajmy!

Jarosław Szarek, prezes IPN

To, że wiedza o operacji polskiej NKWD i ofiarach tej akcji nie funkcjonuje w zbiorowej świadomości Polaków, stanowi wyzwanie dla Instytutu Pamięci Narodowej

Oskarżony o antysowiecką agitację i udzielanie pomocy uwięzionym przy utrzymywaniu kontaktów ze swoimi rodzinami"; „Mówił: »władza sowiecka pogrzebała wolność«; Dyskredytował nową konstytucję"; „Robotnicy żyli przedtem lepiej, a teraz lepiej zdychać. Niechby się coś wreszcie stało, zmieniło, bo tego nie da się wytrzymać"… To tylko pięć uzasadnień tzw. trójek skazujących Polaków w Związku Sowieckim na mocy zbrodniczego rozkazu 00485 szefa NKWD Nikołaja Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r. W każdym z powyższych przypadków po kilkuminutowym posiedzeniu zapadał wyrok: „Rozstrzelać, jego osobisty majątek skonfiskować". Taki los spotkał w latach 1937–1938 co najmniej 111 tys. naszych rodaków zamieszkałych na terenie Związku Sowieckiego, którzy stali się ofiarami najbardziej zapomnianego ludobójstwa dokonanego na Polakach. Liczba ofiar była z pewnością większa, o tylu mówią dokumenty. A ilu nie przeżyło skazania na 10 lat łagrów tylko za to, że mieli polskie nazwisko, nie zaparli się wiary, „chwalili okres carski", odwiedzali polski konsulat, byli Polakami… Niektórzy historycy piszą nawet o 200 tys. ofiar… Czas przypomnieć ich dramatyczny los, bo dotąd nie trafili na karty literatury, nie istnieją w narodowej pamięci, nie mają grobów, rozrzuceni od Syberii do Moskwy, Piotrogrodu, Żytomierza, Mińska, Kamieńca Podolskiego. Jakże niewielu jest strażników ich pamięci.

Nie pierwszy i nie ostatni to w historii mord wschodniej despotii dokonany na Polakach. Gdy w 1794 r. po insurekcji kościuszkowskiej wojska Suworowa dokonały okrutnej rzezi mieszkańców warszawskiej Pragi, pamiętała o nich literatura – Adam Mickiewicz: a Jankiel „mistrz doskonały / Wydał okropność szturmu, że wieśniaczki drżały, / Przypominając sobie ze łzami boleści / Rzeź Pragi, którą znały z pieśni i z powieści…". Kilkadziesiąt lat później przypomniała o nich w jednym z wierszy Maria Konopnicka: „Zaszło słońce w krwawe morze – / Błysnął bagnet, błysły noże, / Suworowa pałasz nagi – / Błysnął hasłem na rzeź Pragi!". Nasi przodkowie pamiętali, choć nie upamiętnili tej zbrodni okazałym monumentem. Przy ul. Jagiellońskiej w Warszawie stoi tylko skromny krzyż z niewielką tabliczką: „Zginęli, bo byli Polakami…". Blisko półtora wieku wcześniej, a powód ten sam: „Bo byli Polakami". W 200. rocznicę moskiewskiego mordu

eprasa.pl d508e00ca9

biskup warszawsko-praski ks. Kazimierz Romaniuk wzywał: „Umierając, z pewnością liczyli na to, że pamięć o nich trwać będzie w świadomości przyszłych pokoleń. Nie wolno nam dopuścić do tego, by zawiedli się w naszych oczekiwaniach". To wtedy w kościele Najświętszej Matki Bożej Loretańskiej, na miejscu dawnego klasztoru Bernardynów, gdzie pogrzebano wiele ofiar, poświęcono skromną tablicę: „Mieszkańcom Pragi w 200-lecie rzezi ofiarom rosyjskiego ludobójstwa. Gdybyśmy o nich zapomnieć mieli, Ty, Boże, zapomnij o nas. Polacy". To samo wyzwanie stoi dzisiaj przed nami wobec ofiar ludobójczej operacji „antypolskiej" z lat 1937–1938. Jednocześnie wyrażamy wdzięczność wszystkim tym, a przede wszystkim Rosjanom, którzy przez lata byli strażnikami tej pamięci i prawdy oraz czynili wszystko, aby wiedza o tej zbrodni dotarła do Polaków, wśród nich szczególne miejsce zajmują prof. Mikołaj Iwanow i rosyjskie Stowarzyszenie „Memoriał".

ROZKAZ 00485

W wyniku kończącego wojnę polsko-bolszewicką traktatu ryskiego – podpisanego w 1921 r. między II Rzeczypospolitą a Związkiem Sowieckim – za wschodnią granicą Polski znalazło się ponad milion Polaków zamieszkujących głównie terytorium dwóch sowieckich republik: ukraińskiej i białoruskiej.
W okresie wielkiego terroru w ZSRS – jak można stwierdzić – los ich zależał od łaski czy kaprysu jednego człowieka – Józefa Stalina. To, co spotkało naszych rodaków w latach 1937–1938 w ramach operacji polskiej NKWD, do dziś budzi przerażenie. Równie trudno pogodzić się z tym, że wiedza o tej największej represyjnej akcji NKWD wymierzonej w konkretną grupę narodowościową, w której efekcie zginęło ok. 200 tys. osób, do dziś pozostaje znikoma. Początkowo władze sowieckie zdecydowały się na poddanie ludności polskiej specyficznemu procesowi społecznemu związanemu z utworzeniem polskich okręgów narodowościowych, czyli polrajonów (skrót od Polskij Rajon). W 1925 r. powołano Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego na Ukrainie, a w 1932 r. Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego na Białorusi. Jednostki te, nazywane potocznie Marchlewszczyzną i Dzierżyńszczyzną, miały być wzorcowymi okręgami – kuźnią nowych kadr przyszłej komunistycznej Polski. Oparte na kolektywizacji i totalnej indoktrynacji zostały odrzucone przez Polaków, którzy nie tylko nie chcieli funkcjonować w odmiennych od dotychczasowych warunkach kulturowo-ekonomicznych, lecz także okazywali wręcz niechęć do nakazów i zaleceń sowieckiej władzy, co przejawiało się m.in. w przywiązaniu do praktyk religijnych. Gdy dla Kremla stało się jasne, że Polacy zupełnie nie ulegają komunistycznym hasłom, zapadła decyzja o zakończeniu eksperymentu i likwidacji polrajonów. W tym samym czasie rozpoczęły się masowe wywózki naszych rodaków na Syberię i do Kazachstanu, które początkowo objęły ok. 50 tys. Polaków.

11 sierpnia 1937 r. szef NKWD Nikołaj Jeżow podpisał – wcześniej zatwierdzony przez Biuro Polityczne Komitetu Centralnego WKP(b) z Józefem Stalinem na czele – rozkaz operacyjny nr 00485, który rozpoczął systematyczne i masowe ludobójstwo w ramach operacji polskiej. Praktycznie każdy Polak mieszkający w Związku Sowieckim został uznany za potencjalnego szpiega i wroga rewolucji. NKWD przeprowadzało aresztowania według list przygotowanych przez administrację lokalną. Cień podejrzenia, jakikolwiek związek z Polską, najdrobniejszy przejaw przywiązania do polskości czy religii w zupełności wystarczały, by ktoś został uznany za winnego. O przebiegu akcji Jeżow na bieżąco informował samego Józefa Stalina, który na przekazane informacje zareagował słowami: „Bardzo dobrze! Wykopujcie dalej i usuwajcie ten polski brud".

Opisy przeprowadzanych akcji aresztowania niczym nie różnią się od znanych nam relacji z przebiegu niemieckich tzw. pacyfikacji wsi w okupowanej Polsce. Funkcjonariusze NKWD najpierw otaczali miejscowość, a po brutalnym wkroczeniu oddzielali małe dzieci i kobiety, a mężczyzn i młodych chłopców przeważnie rozstrzeliwali. Najczęściej stosowaną metodą egzekucji był strzał w tył głowy.

Skoro wiedza o zbrodniach przeciwko ludności polskiej popełnianych przez NKWD była ograniczona w samym ZSRS, tym trudniej przedostawała się na zewnątrz. Jakiekolwiek kontakty mieszkańców Związku Sowieckiego ze światem zewnętrznym były ściśle kontrolowane, natomiast osoby przybywające do państwa rządzonego przez bolszewików mogły zobaczyć tylko to, co komuniści chcieli pokazać. Niemniej jednak skala zbrodni była tak ogromna, że częściowe informacje o niej trafiły do polskiego ambasadora w Moskwie Wacława Grzybowskiego, którego interwencje w tej sprawie spotkały się oczywiście z zaprzeczeniami Kremla.

POZA PAMIĘCIĄ

Wiedza o operacji polskiej nie znalazła miejsca w zbiorowej pamięci. Przede wszystkim szczegóły z nią związane poznawaliśmy, a raczej poznajemy, stopniowo. Ich ujawnienie nie wiąże się z konkretnym wydarzeniem, brak informacji o niej powoduje też, że nie ma żadnego symbolicznego miejsca, postaci ani daty, które mogłyby być w masowym odbiorze kojarzone z tą zbrodnią. Często pozbawiano życia całe rodziny lub skupiska ludności, na dodatek specyfika totalitarnego państwa powodowała, że zbrodnia ta mogła pozostać niemal niezauważona.

Ludobójstwo NKWD było przeprowadzone tuż przed wybuchem II wojny światowej, która stanowi jeden z najbardziej traumatycznych okresów w dziejach narodu polskiego. Ogrom ofiar i liczba miejsc związanych z męczeństwem Polaków przeraża do dziś, a zbrodnie z tamtego okresu oraz z czasów powojennych dotknęły w jakimś stopniu każdej polskiej rodziny. Liczba bolesnych doświadczeń powoduje, że ciężko przyswoić kolejne dramatyczne wydarzenia.

To, że wiedza o operacji polskiej NKWD i ofiarach tej akcji nie funkcjonuje w zbiorowej świadomości Polaków, stanowi wyzwanie dla Instytutu Pamięci Narodowej.

Wśród historyków zatrudnionych w instytucie są badacze, którzy zajmują się tym tematem. Instytut Pamięci Narodowej podjął działania, dzięki którym coraz więcej osób dowie się o tragedii 200 tys. naszych rodaków sprzed 80 lat, a dodatek do tygodnika „Do Rzeczy" jest jedną z tych inicjatyw.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REDAKCJA:
Redaktor: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Anna Sobieska-Wójtowicz** (grafik), **Jacek Nadratowski** (DTP)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Ekshumacja ofiar NKWD w Winnicy. Rok 1943. Fot.: Getty Images**

eprasa.pl d508e00ca9

Piotr Zychowicz

Operacja polska NKWD była pierwszym ludobójstwem narodu polskiego. NKWD w bestialski sposób zgładziła 200 tys. Polaków

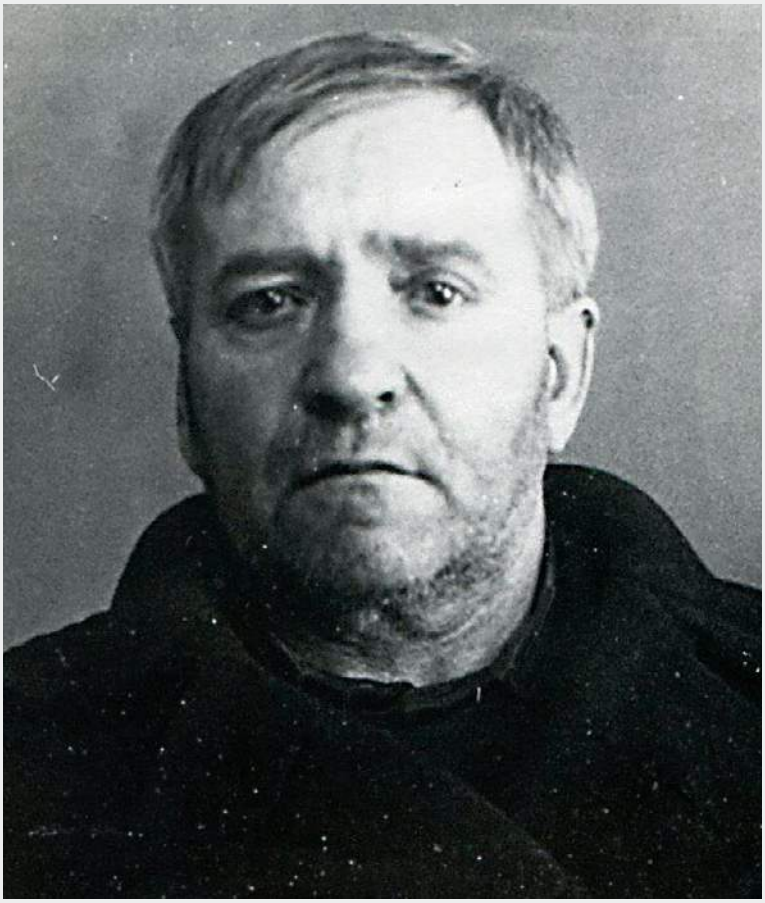

Operacja

Liczba ofiar operacji polskiej jest szokująca, zważywszy na to, że w owym czasie w całym Związku Sowieckim mieszkało ok. 1,5 mln Polaków. Szokująca jest również proporcja wyroków śmierci i wyroków pozbawienia wolności, jakie wydano podczas operacji polskiej. Otóż zamordowano około 80 proc. spośród wszystkich represjonowanych. Jak wyliczył amerykański historyk Terry Martin, Polacy byli wówczas 30,94 razy bardziej narażeni na rozstrzelanie niż członkowie innych grup etnicznych zamieszkujących ZSRS.

Rozkaz do przeprowadzenia tej bezprecedensowej akcji eksterminacyjnej wydali sowiecki dyktator Józef Stalin i szef bezpieki Nikołaj Jeżow.

MORD

Nie ma wątpliwości, że operacja polska NKWD była ludobójstwem. Spełnia bowiem wszystkie kryteria definicji tego zjawiska stworzonej przez Rafała Lemkina. Zgodnie z nią ludobójstwo jest bowiem czynem „dokonanym w zamiarze zniszczenia w całości lub części grup narodowych, etnicznych, rasowych lub religijnych jako takich".

Jedynym kryterium, jakim kierowali się NKWD-ziści podczas rzezi Polaków w latach 1937–1938, była zaś właśnie narodowość ofiar.

Zaczęło się od krwawej wewnętrznej czystki, której ofiarą padli działacze komunistyczni polskiego pochodzenia, oficerowie Armii Czerwonej i czekiści. Na porachunkach czerwonych bandziorów się nie skończyło. Rozprawa z polskimi komunistami stała się katalizatorem zakrojonej na znacznie szerszą skalę ludobójczej operacji wymierzonej we wszystkich Polaków.

Impulsem do jej przeprowadzenia był słynny rozkaz nr 00485 wydany 11 sierpnia 1937 r. przez Nikołaja Jeżowa. Szef NKWD napisał w nim, że Polska Organizacja Wojskowa (POW) głęboko zinfiltrowała ZSRS, i wezwał do fizycznej eliminacji polskich agentów.

W rzeczywistości jednak żadna POW nie istniała. Była wytworem wyobraźni NKWD-zistów, a kryteria zawarte w rozkazie sprawiały, że na represje narażony był właściwie każdy Polak żyjący na terenie Związku Sowieckiego. Kary przewidziano dwie. Albo rozstrzelanie, albo – dla „mniej groźnych" – wysłanie do łagru na 5–10 lat, co często na jedno wychodziło. Warunki panujące w sowieckich obozach koncentracyjnych były bowiem straszliwe i ludzie padali w nich jak muchy.

MECHANIZM TERRORU

Dla Polaków wprowadzono specjalny sposób mordów, tzw. tryb albumowy. Była to procedura pozasądowa. Nazwiska skazanych na śmierć wpisywano do specjalnego albumu, w którym

eprasa.pl d508e00ca9

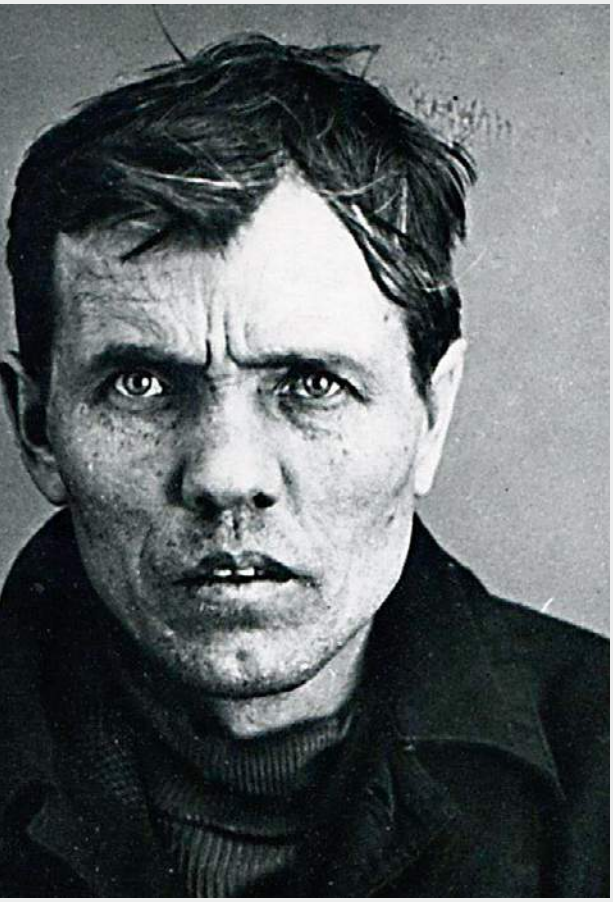

Zrobione w kazamatach NKWD fotografie skazanych na śmierć Polaków FOT. MEMORIAŁ

(anty)polska

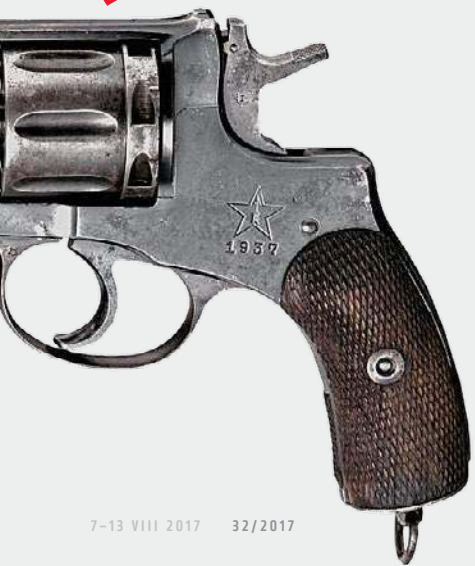

umieszczano krótki opis popełnionych przez nich „antysowieckich zbrodni". Album taki był następnie przesyłany do Moskwy, gdzie Nikołaj Jeżow i złowrogi komunistyczny prokurator Andriej Wyszyński hurtowo podpisywali wyroki.

W założeniu operacja polska miała potrwać trzy miesiące. W rzeczywistości trwała półtora roku.

Straszliwy mechanizm, który doprowadził do tej wielkiej rzezi Polaków, przypominał kulę śniegową i był charakterystyczny dla całego wielkiego terroru. Śledczy NKWD podczas nocnych przesłuchań – za pomocą bestialskiego bicia i wyrafinowanych tortur – zmuszali aresztowanych Polaków do przyznania się, że byli członkami POW. Polskie pielęgniarki przyznawały się, że z polecenia tej organizacji truły sowieckie dzieci. Robotnicy, że niszczyli maszyny. Kołchoźnicy, że podpalali zagrody i stodoły.

Aby zmusić aresztowanych do przyznania się do udziału w spiskach, używano biczy, pałek, bagnetów, pistoletowych kolb, a nawet elektryczności. Stosowano cały wachlarz tortur, który kilka lat później – po roku 1944 – czekiści wprowadzili do okupowanej Polski. A więc wyrywanie paznokci, gaszenie papierosów na

eprasa.pl d508e00ca9

dłoniach, odbijanie nerek, miażdżenie jąder w szufladach biurek.

W przypadku operacji polskiej dysponujemy dokładnymi opisami niektórych makabrycznych praktyk. W 1939 r., po zakończeniu tej fazy terroru, Stalin postanowił bowiem wymienić ekipę czekistów. Jeżow i jego ludzie zostali eksterminowani, a na ich miejsce przyszła nowa, nie mniej krwiożercza ekipa kierowana przez Ławrientija Berię.

W ramach rozprawy z jeżowszczyzną przeprowadzono szereg spraw karnych, podczas których odsłonięto kulisy operacji. I tak na przykład NKWD-zista Michaił Gluzman opowiadał: „Mańko nakazał wszystkim 15 aresztowanym zdjąć spodnie, a pierwszym trzem położyć się na podłodze. Trójka [funkcjonariuszy] biła przesłuchiwanych biczami. Pozostałych 12 ludzi Mańko zmusił w tym czasie do wykrzykiwania: »Jestem hitlerowcem, faszystą, dostawałem 15 razy hitlerowskie marki«. Po zakończeniu bicia pierwszych trzech pytało aresztowanych: »Kto chce złożyć zeznania?«. Wszyscy, jak jeden mąż, podnosili ręce".

I dalej: „Kiedyś, w miesiącu czerwcu 1938, wszedłem przypadkowo do gabinetu Małuki i zastałem tam jednego więźnia, którego Małuka i jeszcze dwóch ludzi zmuszali do trzymania w rękach przewodów elektrycznych bez izolacji. Człowiek ten był cały siny". Więzienna felczerka z Żytomierza, Matrina Gnienna, opowiadała zaś, jak wielokrotnie wzywano ją do zakatowanych podczas śledztwa więźniów. NKWD-ziści za każdym razem zmuszali ją do wypisywania fałszywego zaświadczenia zgonu, w którym musiała pisać, że więzień zmarł na zawał lub inne schorzenie.

Dręczeni, złamani ludzie byli zmuszani do podawania nazwisk swoich rzekomych towarzyszy z nieistniejących siatek POW. Doprowadzeni do kresu wytrzymałości wymieniali nazwiska osób, które znali: znajomych, członków rodzin, kolegów z pracy. Osoby te natychmiast trafiały za kraty, gdzie cała procedura się powtarzała. Kolejne nocne przesłuchania, kolejne tortury i kolejne dziesiątki nazwisk. I tak w kółko. Liczba zamordowanych i „wykrytych polskich siatek szpiegowskich" rosła w sposób lawinowy.

Oficerowie NKWD, podobnie jak wszyscy inni ludzie sowieccy, musieli wyrobić normę. I tak na przykład w Żytomierzu każdy śledczy musiał uzyskać dziennie osiem „rozłamów" aresztowanych. Jeżeli jakiś oficer tej normy nie wyrabiał, to mógł zamienić się miejscami z oskarżonymi. Mógł zostać uznany za antysowieckiego sabotażystę, który torpeduje śledztwa i działa w porozumieniu ze spiskowcami.

Nietrudno sobie wyobrazić, jakie efekty przynosił taki szatański system. NKWD-ziści nie tylko wymyślali najbardziej niedorzeczne zarzuty, lecz także aby wymusić na aresztowanym przyznanie się do winy – stosowali bestialskie tortury. Byle szybciej, byle zdemaskować więcej polskich szpiegów i wykryć więcej komórek POW.

Do „wytężonej pracy" zachęcał oprawców Józef Stalin, który osobiście nadzorował postępy operacji polskiej.

NOCNE EGZEKUCJE

W efekcie Polacy stali się zwierzyną łowną. Wyszukiwano ich w książkach telefonicznych (wystarczyło nazwisko kończące się na „-ski" lub „-wicz"), w kadrach zakładów pracy i na listach lokatorów. W polskich miejscowościach przeprowadzano łapanki.

Wkrótce wszelkie podobne formalności przestały odgrywać jakąkolwiek rolę. Polaków mordowano na tak masową skalę, że nie przejmowano się aktami zgonu ani nawet... wyrokami. Jeden z oprawców Grigorij Wiatkin ujawnił, że w szczytowym okresie operacji polskiej czekiści łamali nawet zasady zbrodniczego bolszewickiego prawa.

W wielu przypadkach ludzi najpierw mordowano, a dopiero później zatwierdzano wyroki. Dochodziło do sytuacji, w których myliły się nazwiska, daty urodzenia i cele. W efekcie rozstrzeliwano zupełnie przypadkowych ludzi tylko dlatego, że nazywali się podobnie do tych skazanych.

Polaków mordowano na ogół tradycyjną sowiecką metodą, czyli pojedynczym strzałem w tył czaszki. Mordy dokonane na Polakach przybrały formę sadystycznej orgii. Zabijano ich w więzieniach, lasach, we wsiach, a nawet w łagrach, do których wcześniej zostali wysłani. Oprócz strzału w tył głowy stosowano masowe rozstrzelania, zdarzało się, że wyroki wykonywano kijami.

Znany jest przypadek wyjątkowo okrutnego oficera NKWD z Kujbyszewa Iwanowa. „Przeprowadzał on konkursy zabijania jednym kopnięciem – pisał w książce »Operacja antypolska« Tomasz Sommer. – Sam natomiast chodząc w bia-

Józef Stalin i Nikołaj Jeżow (pierwszy z prawej). To oni wydali rozkaz zgładzenia Polaków FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl d508e00ca9

Kuropaty pod Mińskiem. Tutaj NKWD pogrzebało ciała Polaków zamordowanych w stolicy Białorusi FOT. SERGIUSZ KAZIMIERCZUK/IPN

łym kitlu, przy pomocy specjalnego narzędzia, rozrywał ludziom gardła, dzięki czemu zyskał wśród swoich kompanów przydomek »Lekarz«. Iwanow domagał się współczucia z uwagi na stracone zdrowie w związku z intensywnym wykonywaniem wyroków śmierci".

Zamęczonych Polaków chowano na cmentarzyskach używanych przez Czeka od czasów rewolucji. Grzebano ich na pustkowiach i wrzucano do rzek. Zdarzało się, że mordów dokonywano na terenie opuszczonych kościołów i klasztorów. Tam też chowano ofiary. Kierowca kijowskiego NKWD Musogorski zeznawał: „Ludzi rozstrzeliwano w podziemiach więzienia, a w nocy specjalnymi kleszczami ładowano zwłoki na ciężarówki. Tymi kleszczami łapaliśmy ciała za szyję i nogi i rzucaliśmy je na przyczepę. Potem przykrywaliśmy je brezentem i wywoziliśmy do Bykowni. Ciała wrzucano jedne na drugie do dołów".

ZEMSTA NA RODZINIE

Śmierć oskarżonego nie zamykała jednak wcale prowadzonej przeciwko niemu sprawy. Po wykonaniu egzekucji – zgodnie z osobistą instrukcją Jeżowa – represje spadały na rodziny zabitych. Natychmiast aresztowane były żony, które wysyłano na minimum pięć lat do obozu koncentracyjnego wśród śniegów. Rzadko która Polka stamtąd wróciła. Dzieci zabitego „wroga ludu" były zaś pakowane albo do łagru (powyżej 15. roku życia), albo do odległego od miejsca zamieszkania sierocińca, gdzie starano się z nich wyrugować polskość.

Konfiskacie ulegał również cały majątek represjonowanej rodziny. Po aresztowaniu żony na drzwi domu zakładane były specjalne plomby. Ponieważ obowiązywał wówczas model rodziny wielopokoleniowej, w praktyce oznaczało to, że rodzice straconego Polaka byli wypędzani na bruk. Pozbawieni majątku, dachu nad głową i możliwości zarobkowania na ogół nie przeżywali pierwszej zimy.

Do naszych strat osobowych z tego okresu należy również doliczyć sporą część spośród kilkudziesięciu tysięcy Polaków wysiedlonych do Kazachstanu. Bolszewicy podczas trwania operacji polskiej deportowali bowiem Polaków mieszkających w pobliżu granicy z Polską. Deportacja odbywała się w straszliwych warunkach, wielu ludzi – szczególnie dzieci – nie przetrwało drogi. Inni umarli w lepiankach na kazachskich stepach.

KONSEKWENCJE

Operacja polska NKWD z lat 1937–1938 jest jedną z największych zbrodni przeciwko narodowi polskiemu w jego historii. Zginęło w niej 10 razy więcej Polaków niż w operacji katyńskiej oraz dwa razy więcej niż w Auschwitz oraz podczas ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej.

Mimo to informacje o rzezi lat 1937–1938 właściwie nie przebiły się do świadomości polskiej opinii publicznej. Zdecydowana większość Polaków nie ma pojęcia, że do takiego ludobójstwa doszło. A jej konsekwencje były olbrzymie.

Sowietom udało się niemal całkowicie wyrugować polskość na tzw. dalszych kresach. Wymazać wszelki ślad, że ziemie te wchodziły niegdyś w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

„Słowo ludobójstwo – pisał Tomasz Sommer – najbardziej precyzyjnie oddaje esencję eksterminacji sowieckich Polaków. Nawet w porównaniu do innych zbrodni Wielkiego Terroru skala tych mordów robi szczególne wrażenie. Pewne grupy demograficzne Polaków zostały bowiem wymordowane niemal w całości, co doprowadziło do dystrofii polskich rodzin, a to z kolei wpłynęło na załamanie się i doprowadziło do zaniknięcia polskości jako takiej. Władze sowieckie udowodniły, że aby zlikwidować jakąś narodowość, nie trzeba wybijać wszystkich jej członków, wystarczy wymordować osoby utrzymujące jej strukturę społeczną – czyli mężczyzn w sile wieku oraz zabronić nawiązywania do ich etosu. A po usunięciu kręgosłupa reszta tkanki społecznej zapadnie się już sama".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Funkcjonariusze NKWD z Marchlewska

FOT. ZE ZBIORÓW STEFANA KURIATY

Sowietyzacja Polaków

Z prof. Henrykiem Strońskim, wykładowcą Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego

rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Czym była korienizacja?

PROF. HENRYK STROŃSKI: Była to polityka wzmacniania nierosyjskich grup narodowościowych zamieszkujących ZSRS. Zachęcano je do używania swoich języków, do rozwijania własnej kultury, ale w treści stricte komunistycznej. W ten sposób Moskwa dbała o sowietyzację, dawała zielone światło m.in. mniejszości polskiej zamieszkującej ZSRS na rozwój kulturalno-oświatowy w postaci szkolnictwa, prasy, tworzenia rad wiejskich.

Czemu to miało służyć? Przecież komuniści uważali tożsamość narodową za przeszkodę.

Celem było przeciągnięcie na swoją stronę grup narodowościowych, które były tłamszone przez carat. Równocześnie dawało to możliwość rozgrywania mniejszości narodowych i przeciwstawiania ich większym wspólnotom narodowym na zasadzie „Dziel i rządź". Przykładowo na Ukrainie co 10. rada wiejska była nieukraińska.

W ten sposób w 1926 r. na terenie Ukraińskiej SRS powstał Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego, zwany też Marchlewszczyzną, a na sowieckiej Białorusi utworzono Polski Rejon Narodowy im. Feliksa Dzierżyńskiego, czyli Dzierżyńszczyznę. Jak bardzo polskie były te polrajony?

Na Ukrainie świadomość narodowa była dosyć płynna. W 1926 r. swoją polskość jednoznacznie deklarowało ok. 0,5 mln mieszkańców Ukrainy, z których 44 proc. władało językiem narodowym. Ludność była tam bardzo pomieszana. Dość powiedzieć, że na Marchlewszczyźnie nie było ani jednej wsi, gdzie 100 proc. ludności stanowiliby Polacy. Obok nich mieszkało bowiem wielu Ukraińców, a także Niemców i Żydów. Z 41 tys. mieszkańców tego polrajonu 70 proc. stanowili Polacy. Dzierżyńszczyzna, która powstała siedem lat później, była zamieszkana przez ludność słabiej związaną z polskością. Oficjalnie 50 proc. mieszkańców deklarowało polskie pochodzenie, ale trzeba do tych danych podchodzić z rezerwą. Polscy komuniści musieli tu nieco „nagiąć" statystykę, ponieważ w innym przypadku nie byłoby formalnych podstaw, by tworzyć polski rejon. Miejscowa ludność polska była właściwie pozbawiona elit, ponieważ większość tych ludzi po 1921 r. uciekła do Polski. Na miejscu została prosta ludność chłopska i zdeklasowana drobnoszlachecka.

Cena oddzielnego numeru 3 kop.

Marchlewszczyzna RADZIECKA

WYCHODZI CO 5 DZIEŃ

Organ Marchlewskiego RK KP(b)U, RKW i RKNW.

Rok I-szy

№ 13

Marchlewsk, niedziela 6 lipca 1930 r.

№ 13

ZAHARTOWANA W WALCE Z ODCHYLENIAMI OD LENINIZMU— partja wzmocniła się i wykuła w swych szeregach—jedność!

MASY PRACUJĄCE MARCHLEWSZCZYZNY ŚLĄ BOLSZEWICKIE POZDROWIENIE—XVI ZJAZDOWI W. K. P.(b)

Ze sprawozdania politycznego XC WKP(b)

Wybory prezydjum i sekretarjatu XVI zjazdu

Witamy XVI zjazd W.K.P.(b).

FOT. ZBIORY PIOTRA KOŚCIŃSKIEGO

Dlaczego ci ludzie nie uciekli do Polski?

Niektórzy chcieli wyjechać, ale to było bardzo trudne. Ci ludzie mieli drobne gospodarstwa i nic poza tym. Byli biedni jak myszy kościelne. Mieli nadzieję, że Związek Sowiecki mimo wszystko da im spokojnie żyć.

Kto konkretnie stał za powołaniem Marchlewszczyzny? Julian Marchlewski zmarł w 1925 r.

Polscy komuniści bardzo parli do stworzenia polskiego rejonu. Wszędzie wkoło inne narodowości tworzyły swoje własne rejony, np. Niemcy, Bułgarzy, Grecy na południu Ukrainy. To było jak wyścig. Szybkie powołanie do życia Marchlewszczyzny było dla polskich komunistów w ZSRS wyznacznikiem ich skuteczności w sowietyzacji. Marchlewski był zwolennikiem tej polityki i przeciwnikiem niepodległości Polski. Marzył o Polsce komunistycznej i jej wejściu do składu ZSRS. Wiadomo, że gorącym zwolennikiem utworzenia polrajonów był również „Żelazny Feliks", a także inni komunistyczni emigranci: Tomasz Dąbal, Bolesław Skarbek, Julian Leszczyński.

To ciekawe, bo Dzierżyński gardził polskością.

Gardził polskim duchem narodowym, ale w wydaniu burżuazyjnym, a nie proletariackim. Co ciekawe, Zofia Dzierżyńska pojawiła się na uroczystym otwarciu Marchlewszczyzny wiosną 1926 r. Wraz z nią przyjechał Feliks Kon, teoretyk bolszewicki, który był faktyczną siłą sprawczą stojącą za tworzeniem tego

eprasa.pl d508e00ca9

polrajonu. Pamiętajmy, że Moskwa miała w utworzeniu Marchlewszczyzny swój ukryty cel: do początku lat 30. uważano ten rejon za inkubator polskich kadr komunistycznych, które można by potem przeszczepić do pokonanej przez bolszewików Polski. Początkowo problemem był właśnie brak kadr.

Początkowo Polacy nie mieli chyba powodów do niepokoju?

Powiedziałbym wręcz, że Polacy początkowo bardzo zyskali na utworzeniu swojego rejonu. Był to region bardzo zacofany pod względem cywilizacyjnym. Budżet Marchlewszczyzny był w 90 proc. dotowany przez Moskwę oraz sowiecką Ukrainę. Podniesiono z ruiny istniejące tam od czasów carskich huty szkła i zmodernizowano dwie fabryki porcelany, dużo też inwestowano w rolnictwo. Zbudowano nowe drogi, szpital i przychodnie, a także pocztę. Najwięcej jednak inwestowano w budowę szkół. Przeprowadzono elektryfikację, pojawiły się telefony, a nawet kino.

Ile było tam faktycznej autonomii?

Unikam w tym kontekście używania słowa „autonomia", choć wtedy tak to określano. Faktyczne swobody dotyczyły bowiem jedynie języka i kultury, natomiast wszystko, co polityczne i gospodarcze, należało do bolszewików. W języku polskim ukazywała się też gazeta „Marchlewszczyzna Radziecka" – tuba propagandowa bolszewików.

Jak duże były swobody religijne?

Struktura kościelna na Marchlewszczyźnie była bardzo słaba. Istniały tam tylko cztery kościoły parafialne. Początkowo w ZSRS bolszewicy rzucili wszystkie siły, by zwalczyć większego wroga: prawosławie. Na początku walka z Kościołem katolickim nie była zbyt ostra. Zmieniło się to jednak w 1929 r. – władze sowieckie brutalnie usunęły wtedy z Marchlewszczyzny księży. Wiara została wyjęta spod prawa.

W 1930 r. rozpoczyna się na Marchlewszczyźnie kolektywizacja. Jaki jest tego efekt?

To początek końca Marchlewszczyzny, Polacy porzucili wówczas wszelkie złudzenia co do intencji władzy sowieckiej. Jednak to wcale nie żółwie tempo kolektywizacji wywołało tak drastyczne posunięcia bolszewików, ponieważ proces ten napotykał duże opory właściwie w całym ZSRS. Moskwa zaczęła dostrzegać, jak zmieniły się nastroje polityczne – mieszkańcy Marchlewszczyzny zaczęli uciekać w czasie kolektywizacji i głodu do Polski, NKWD raportowało, że nastroje są coraz bardziej antysowieckie. Nasilenie walki z Kościołem przyczyniło się do radykalizacji postawy zwykłych ludzi. Na co dzień demonstrowali oni bowiem narodową, a nie – jak chcieli tego bolszewicy – klasową jedność. Było to tuż przy granicy z II RP, co bardzo niepokoiło Moskwę i samego Stalina. Co ciekawe, Dzierżyńszczyzna powstała, kiedy kolektywizacja szła już pełną parą. I, o dziwo, tam nie było tak dużych problemów. Od razu miejscowi zorientowali się, jak wysoka jest cena oporu. Pamiętajmy jednak, że na Białorusi świadomość narodowa była wśród ludności pochodzenia polskiego dużo słabsza niż na Ukrainie.

Jak wyglądały represje w Marchlewszczyźnie?

Kolektywizację zaczęto przeprowadzać bardzo brutalnie. Zabieranie mienia wywoływało jednak opór nie tylko werbalny, lecz także zbrojny. To z kolei tylko nasilało represje. Odpowiedzią były deportacje ludzi, którzy sprawiali władzy sowieckiej największe problemy. W ich miejsce sprowadzano tych Ukraińców, którzy byli ulegli woli bolszewików. W lutym 1935 r. wyrzucono z Marchlewszczyzny na wschodnią Ukrainę 7,3 tys. mieszkańców. Byli to sami Polacy, rodziny mieszane zostawiono w spokoju. Wreszcie 3 października 1935 r. rejon ten rozwiązano. Podobny los spotkał także znajdujący się tuż po sąsiedzku niemiecki rejon. Niemcom też nie ufano.

Czym to tłumaczono?

Oficjalnie względami gospodarczymi. Twierdzono, że nie ma już sensu sztucznie podtrzymywać rejon, który jest niewydolny gospodarczo. Tak naprawdę Stalin doszedł jednak do przekonania, że Polacy to wrogowie komunizmu i trzeba się z nimi rozprawić. W 1936 r. deportowano z Marchlewszczyzny do Kazachstanu ok. 5 tys. osób – również były to wyłącznie rodziny polskie.

W końcu przyszedł rok 1937 i zapadł ostateczny wyrok: rozpoczęto operację polską NKWD.

Marchlewszczyzna jako taka już nie istniała. NKWD zaczęło represje wobec resztki „szpiegów", „dywersantów" i „agentów", którzy mieli rzekomo pracować dla polskiego wywiadu. Funkcjonariusze bezpieki ścigali się na przełomie lat 1937 i 1938, kto zdemaskuje więcej polskich wrogów systemu. Gdzie było ich najłatwiej znaleźć? Oczywiście tam, gdzie były polskie rejony i gdzie mieszkali Polacy. Dorośli mężczyźni polskiego pochodzenia byli właściwie skazani na zagładę. Bardzo rzadko zapadał na nich wyrok inny niż śmierć. Rozstrzelano wówczas ok. 1,5 tys. mieszkańców Marchlewszczyzny. Zgładzono wszystkich ludzi, którzy w swoim czasie zajmowali kierownicze stanowiska w polrajonie. Na Dzierżyńszczyźnie dorośli mężczyźni również zostali w znacznej części wymordowani, a wiele polskich rodzin deportowano stamtąd na północ. Ludzie robili wszystko, by ukryć swoją polskość, ale NKWD miało swoje sposoby, by ich zidentyfikować. Żniwo operacji polskiej było przerażające. W 1938 r. wsie były wyludnione, panował totalny strach, sąsiad bał się sąsiada. Polacy byli już wówczas w mniejszości. Ludzie widzieli ratunek w ucieczce do większych miast. Dopiero po 1956 r. Polacy zaczęli nieśmiało pukać do KGB i pytać, co się stało z ich bliskimi, których zabrano 20 lat wcześniej. Ci, którzy byli bardziej zastraszeni, zaczęli się dowiadywać o los swoich rodzin nawet dopiero za Gorbaczowa.

Jak to dziś wygląda?

Dzisiaj ponad połowa wiosek byłej Marchlewszczyzny już nie istnieje. Wyludnione osady porastają lasy. Ostatni mieszkańcy, którzy pamiętają tamte czasy, umierają. O dziwo jednak, wciąż można usłyszeć tam język polski. W niektórych większych miejscowościach polskość jakoś się uchowała: jest tak np. w Dołbyszu, Marianówce, Bykówce i w Kamiennym Brodzie. W kilku szkołach uczy się nawet języka polskiego. Życie polskie ogniskuje się tam wokół odbudowanych, a nawet założonych od nowa polskich parafii. To naprawdę niesamowite, że Polakom, którym w czasach stalinowskich z powodu pochodzenia groziła kompletna zagłada, mimo wszystko chciało się być Polakami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Henryk Stroński jest wykładowcą Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, specjalizuje się w historii społeczności polskiej zamieszkującej dzisiejsze ziemie ukraińskie.

eprasa.pl d508e00ca9

Dokumenty zbrodni

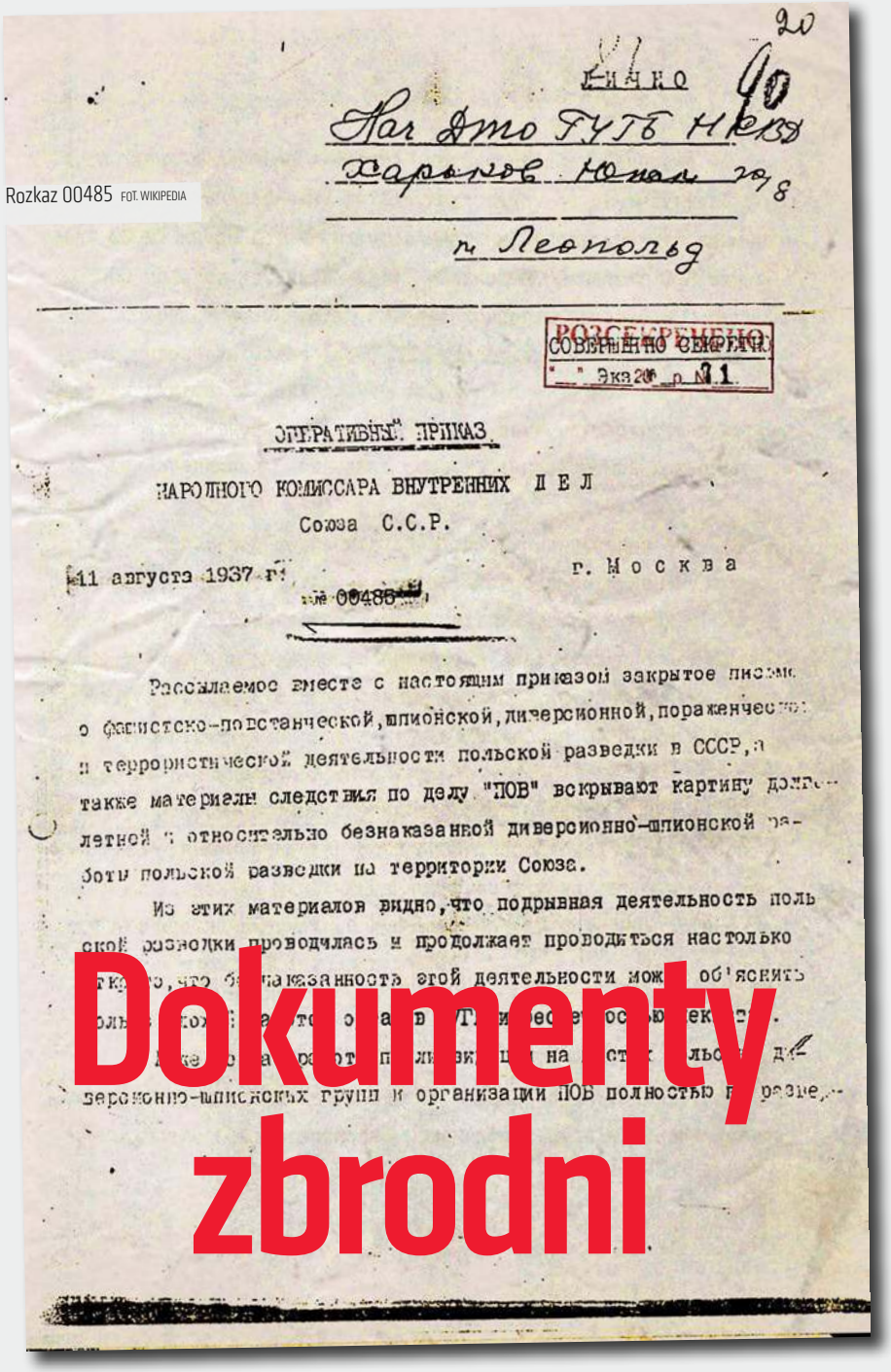

Rozkaz 00485 FOT. WIKIPEDIA

ROZKAZ OPERACYJNY LUDOWEGO KOMISARZA SPRAW WEWNĘTRZNYCH ZSRS NIKOŁAJA JEŻOWA NR 00485

11 sierpnia 1937 r., Moskwa

Podstawowym zadaniem organów GUGB wydaje się być rozgromienie antysowieckiej działalności polskiego wywiadu i pełna likwidacja rozległych, dywersyjno-powstańczych dołów POW oraz podstawowych zasobów ludzkich polskiego wywiadu w ZSRS.

ROZKAZUJĘ:

1. Od 20 sierpnia 1937 r. rozpocząć szeroką operację, prowadzącą do pełnej likwidacji terenowych jednostek POW i – przede wszystkim – jej dywersyjno-szpiegowskich i powstańczych kadr w przemyśle, transporcie, sowchozach i kołchozach. [...]

2. Aresztowaniu podlegają:

a) ujawnieni w toku śledztwa i dotychczas niewykryci aktywni członkowie POW, zgodnie z załączonym spisem,

b) wszyscy pozostający w ZSRS jeńcy wojenni z armii polskiej,

c) zbiedzy z Polski, niezależnie od czasu ich przejścia do ZSRS,

d) emigranci polityczni i osoby wydalone z Polski z powodu przekonań politycznych,

e) byli członkowie PPS i innych antysowieckich polskich partii politycznych,

f) najaktywniejsza część miejscowych elementów antysowieckich i nacjonalistycznych z polskich rejonów. [...]

4. Równocześnie z rozwinięciem operacji dotyczącej aresztowań rozpocząć pracę śledczą. Główny nacisk w śledztwie położyć na pełne zdemaskowanie organizatorów i kierujących grupami dywersyjnymi, w celu pełnego ujawnienia dywersyjnej sieci.

Wszystkich wymienionych w zeznaniach przesłuchiwanych szpiegów, szkodników i dywersantów – NATYCHMIAST ARESZTOWAĆ.

Dla prowadzenia śledztwa wyznaczyć specjalną grupę pracowników operacyjnych.

5. Wszyscy aresztowani, zależnie od stopnia ujawnionej winy wykazanego w toku śledztwa, dzieleni są na dwie kategorie:

a) pierwsza kategoria, podlegająca rozstrzelaniu, do której należą szpiegowskie, dywersyjne, szkodnicze i powstańcze kadry polskiego wywiadu,

b) druga kategoria, do której należą mniej aktywni z nich, podlegająca karze zamknięcia w więzieniach i łagrach z wyrokami od 5 do 10 lat.

ROZKAZ OPERACYJNY NIKOŁAJA JEŻOWA NUMER 00486

15 sierpnia 1937 roku, Moskwa

Żony zdrajców ojczyzny zostają skazane, w zależności od tego, jak bardzo są społecznie niebezpieczne, na minimum 5 – 8 lat obozu.

Niebezpieczne społecznie dzieci skazanych, w zależności od wieku, stopnia niebezpieczeństwa i możliwości poprawy, zostają uwięzione w obozach, koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie. [...]

Oskarżone żony zdrajców ojczyzny, które nie zostały aresztowane z powodu choroby i chorych dzieci, po wyzdrowieniu należy aresztować i skierować do obozu. Żony zdrajców ojczyzny, które karmią piersią, po wydaniu wyroku należy bezzwłocznie aresztować i skierować do obozu. Tak też należy postępować z żonami, które są w podeszłym wieku.

RAPORTY NKWD UKRAIŃSKIEJ SOCJALISTYCZNEJ REPUBLIKI SOWIECKIEJ DOTYCZĄCE OPERACJI POLSKIEJ

Urzędnik fabryki obuwia SPINAJSKIJ składa zeznania o założonej przez niego organizacji szpiegowsko-dywersyjnej, która w 1937 roku na polecenie konsulatu dokonała podpalenia zakładu piekarniczego w Charkowie.

GRANKOWSKIJ, robotnik w fabryce wyrobów cukierniczych „Kofok", przyznał się, że w 1936 roku został zwerbowany przez [polski wywiad] i otrzymał od niego zadanie, by zatruć arszenikiem i bakteriami tyfusu wyroby cukiernicze.

W chwili obecnej najważniejszymi figurami są RIABCZINSKIJ i GROCHOWSKIJ, którzy na razie nie składają wyczerpujących zeznań. Nad obydwoma usilnie pracujemy.

Ponadto GROCHOWSKIJ zwerbował PIESTRZYNSKIEGO, Polaka, masarza (aresztowany) i polecił mu utworzyć grupę z osób

eprasa.pl d508e00ca9

zatrudnionych w przedsiębiorstwach związanych z żywnością, które dokonałyby aktów dywersji bakteriologicznej.

MELDUNEK NKWD Z ŻYTOMIERZA NA TEMAT PRZEBIEGU OPERACJI

24 lutego 1938 roku

Rodziny osób represjonowanych, przez cały czas od chwili aresztowania głowy rodziny, prowadzą wśród ludności działalność antysowiecką i wywrotową, w znacznym stopniu wpływając negatywnie na pracę kołchozów, na przygotowania do wiosennych zasiewów i innych nie mniej ważnych państwowych, politycznych i gospodarczych kampanii. [...] Dużą aktywność w działalności kontrrewolucyjnej przejawia młodzież szkolna. Zgromadzenie jej w miejscowych domach dziecka nie dało w kwestii wychowania pozytywnych efektów. [...]

Na podstawie powyższego, aby zapobiec kontrrewolucyjnej działalności rodzin represjonowanych oraz oczyścić rejony z nieprawomyślnego elementu, uważamy za konieczne podjęcie następujących kroków: Z nadgranicznych i przygranicznych rejonów przesiedlić rodziny wszystkich represjonowanych.

RAPORT LUDOWEGO KOMISARZA SPRAW WEWNĘTRZNYCH URSR ALEKSANDRA USPIENSKIEGO

30 kwietnia 1938 roku, Kijów

Podstawowy kontyngent bojówek składał się z byłych legionistów Wojska Polskiego, kułaków, aktywu kościelnego, części Polaków o nastawieniu klerykalnym oraz innego polskiego elementu nacjonalistycznego. Do bojówek duchowieństwo katolickie wciągało także wrogi element spośród katolików ukraińskich. [...] W religijnych kółkach różańcowych i tercjarskich młodzież polska przygotowywała się do działań bojowych i następnie wprowadzana była do bojówek. [...] Członkowie tych bojówek niszczyli parowozy, rozbijali wagony, organizowali katastrofy pociągów itp. [...]

Zlikwidowano wiele grup dywersyjnych założonych w sieci Narkomlesu. [...] Członkowie tych grup prowadzili następującą działalność dywersyjną:

a) założyli w odległych ostępach leśnych oczyszczone lotniska dla lotnictwa polskiego;

b) prowadzili specjalne wyręby, odsłaniające strategiczne drogi kolejowe i samochodowe;

c) według wytycznych polskiego Sztabu Głównego wyrębywali przecinki leśne z zachodu na wschód, stanowiące udogodnienie dla gromadzenia się i przemarszu wojsk polskich;

d) nie przerzedzali masywów leśnych w strefie rejonów umocnionych, pozostawiając stanowiska ogniowe z ograniczoną widocznością. [...]

TELEFONOGRAM LUDOWEGO KOMISARZA SPRAW WEWNĘTRZNYCH URSR ALEKSANDRA USPIENSKIEGO DO MOSKWY

1 lipca 1938 roku, Kijów

W Kijowie wykryto szpiegowską organizację terrorystyczną, która przygotowywała na polecenie polskiego wywiadu zamach na towarzysza Chruszczowa. Stojący na posterunku przy trasie przejazdu delegacji rządowej milicjant zatrzymał dwóch wyrostków [13 i 10 lat – przyp. red.], którzy zapisywali do specjalnego zeszytu numery rejestracyjne przejeżdżających samochodów. Śledztwo intensywnie rozwijamy.

JEDEN Z AKTÓW OSKARŻENIA RZEKOMYCH CZŁONKÓW POW

22 czerwca 1938 roku, Żytomierz

Komenda rejonowa [POW] założyła w szeregu wsi rejonu nowogrodzko-wołyńskiego oddziały dywersyjno-powstańcze (bojówki) POW, których aktywnymi członkami byli włączeni do niniejszej sprawy jako oskarżeni:

LEWICKIJ Siemion Matwiejewicz urodzony w 1903 [...] przed aresztowaniem pracował w kołchozie jako koniuch. [...]

Na polecenie organizacji prowadził działalność kontrrewolucyjną wśród ludności, zaszczepiając uczucia patriotyczne wobec faszystowskiej Polski i przygotowywał element antysowiecki do walki z władzą sowiecką.

Na polecenie organizacji dokonywał aktów dywersji, polegających na niszczeniu pogłowia końskiego, w wyniku czego padło pięć koni kołchozowych.

Do winy się przyznał.

KUCHARSKIJ Julian Iosifowicz urodzony 1892 [...] przed aresztowaniem kołchoźnik. [...]

Na polecenie organizacji prowadził szkodnicze działania przy stertowaniu zboża w czasie kampanii żniwnej, w wyniku czego zgniły cztery sterty kołchozowego zboża.

Do winy się przyznał.

WOJCIECHOWSKIJ Iwan Pawłowicz urodzony 1886 [...] przed aresztowaniem robotnik kolejki wąskotorowej w lespromchozie. [...]

b) Na polecenie organizacji miał dokonywać aktów dywersji na obiektach strategicznych, powodując niezdatność do użytku parowozów i wykolejania składów kolejowych. [...]

Przyznał się.

LISOWSKIJ Franc Iwanowicz urodzony 1909 [...] przed aresztowaniem był maszynistą w kołchozowym młynie. [...]

b) Na polecenie organizacji miał podpalić zabudowania kołchozowe i spowodować awarię maszynowni kołchozowego młyna. [...]

Do winy się przyznał.

GRODSKIJ Marian s. Karola urodzony 1907 [...] przed aresztowaniem pracował jako ślusarz w elektrowni. [...]

d) Wprowadzał demoralizację wśród robotników zakładów im. Stalina, ukierunkowaną na zerwanie planów produkcyjnych. [...]

Do winy się przyznał.

SZEREMIETA-POŃKIEWICZ Wiktor Karłowicz urodzony 1899 [...] przed aresztowaniem dyrektor czyżowskiej fabryki papieru. [...]

b) Na polecenie organizacji miał podczas wojny dokonać aktu dywersji, wysadzić czyżowską fabrykę papieru. [...]

Do winy się przyznał.

DIJAKIEWICZ Władimir s. Grigorija urodzony 1908 [...] przed aresztowaniem pomocnik dyrektora zakładów piekarniczych w Nowogrodzie Wołyńskim. [...]

c) Na polecenie organizacji, celem zerwania planów produkcyjnych, systematycznie uprawiał szkodnictwo, wypuszczając chleb o złej jakości.

Do winy się przyznał.

KARPINSKAJA Anna Iwanowa urodzona 1909 [...] przed aresztowaniem kołchoźnica. [...]

b) Systematycznie uprawiała szkodnictwo w kołchozie, produkując włókna lnu złej jakości.

c) Prowadziła działalność kontrrewolucyjną wśród kobiet, wykazując, jak niekorzystne jest pozostawanie w kołchozie, oraz wychwalając ustrój faszystowskiej Polski, gdzie mieszka jej brat, z którym utrzymuje kontakt listowny. [...]

Do winy się przyznała.

OSADCZUK Olga Fiodorowna urodzona 1890 [...] przed aresztowaniem była sanitariuszką w szpitalu rejonowym. [...]

b) Wykorzystując stanowisko służbowe sanitariuszki, celowo nie dezynfekowała instrumentów chirurgicznych, w wyniku czego podczas różnych operacji dochodziło do wypadków zakażeń i śmierci.

c) Pracując w żłobku jako kucharka, przygotowywała dzieciom jedzenie złej jakości, w wyniku czego dzieci chorowały i miały miejsce przypadki śmierci. [...]

Przyznała się do winy.

Źródła: „Wielki terror: operacja polska 1937–1938, t. I–II, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa – Kijów 2010 oraz „Rozstrzelać Polaków. Ludobójstwo Polaków w Związku Sowieckim w latach 1937–1938. Dokumenty z centrali", (oprac.) Tomasz Sommer, Biblioteka Wolności, Warszawa 2010. **Wybór: p.z.**

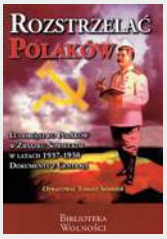

eprasa.pl d508e00ca9

Śledztwo IPN

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Szczecinie kontynuuje, wszczęte w dniu 25 stycznia 2017 roku, śledztwo w sprawie zbrodni komunistycznych, wyczerpujących znamiona zbrodni przeciwko ludzkości, polegających na zabójstwach 111 091 osób oraz pozbawieniu wolności połączonym ze szczególnym udręczeniem 28 744 osób narodowości polskiej zamieszkałych na terenie ZSRR, dokonanych w okresie od 15 sierpnia 1937 roku do 15 listopada 1938 roku przez funkcjonariuszy NKWD na podstawie Rozkazu Operacyjnego nr 00485 Komisarza Narodowego Spraw Wewnętrznych ZSRR Nikołaja Jeżowa z dnia 11 sierpnia 1937 r.

Z poczynionych na obecnym etapie śledztwa ustaleń wynika, że rozkaz Nikołaja Jeżowa wskazywał, iż aresztowaniu podlegają członkowie POW, ponadto pozostający na terenie ZSRR żołnierze polscy wzięci do niewoli w czasie wojny polsko-bolszewickiej, emigranci z Polski niezależnie od ich czasu emigracji do ZSRR, mieszkańcy dawnego terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, którzy znaleźli się w granicach ZSRR w wyniku ustaleń traktatu ryskiego z 1921 roku, byli działacze PPS, polscy duchowni, nauczyciele, urzędnicy, uchodźcy polityczni z Polski, działacze polonijni, zamożniejsi rolnicy, pracownicy służby leśnej i rzemieślnicy.

W dalszej części owego rozkazu polecono, by wszyscy aresztowani zostali podzieleni na dwie kategorie, a mianowicie pierwszą kategorię podlegającą rozstrzelaniu i drugą kategorię podlegającą osadzeniu w więzieniach i łagrach z wyrokami od 5 do 10 lat. Zakazano ponadto zwalniania z więzień i łagrów więźniów kończących swoje wyroki, a skazanych z podejrzeniem szpiegostwa na rzecz Polski. Sprawy tych osób miały zostać ponownie rozpoznane przez Specjalną Komisję ZSRR.

Akcję polegającą na likwidacji ludności polonijnej w ZSRR formalnie zakończyła decyzja NKWD i Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z dnia 15 listopada 1938 roku, mimo tego represje wobec Polaków trwały nadal.

Wedle danych NKWD w okresie od 15 sierpnia 1937 roku do 15 listopada 1938 roku na terenie ZSRR zostało aresztowanych, a następnie skazanych 139 835 osób narodowości polskiej, w tym 111 091 osób skazano na kary śmierci, 28 744 osoby pozbawiono zaś wolności w obozach pracy przymusowej, w warunkach zagrażających biologicznej egzystencji.

W toku śledztwa przesłuchano w charakterze świadków, zamieszkałych w Polsce oraz poza granicami kraju, ustalonych dotychczas najbliższych członków rodzin osób zamordowanych. Świadkowie ci złożyli zeznania oparte na wiedzy pochodzącej z przekazów rodzinnych oraz udostępnili do śledztwa będące w ich posiadaniu dokumenty, stanowiące cenne źródło informacji o zdarzeniach będących przedmiotem postępowania. Czynności w tym zakresie są kontynuowane, a ich celem jest ustalenie wszystkich osób pokrzywdzonych.

Równolegle prowadzone są działania zmierzające do przeprowadzenia dowodów z dokumentów, przechowywanych w archiwach tak krajowych, jak zagranicznych. Aktualnie prowadzone są kwerendy w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Archiwum Wschodnim w Warszawie, Archiwum Archidiecezjalnym w Gnieźnie, Archiwum Instytutu Polskiego w Londynie, Wojskowym Biurze Historycznym w Warszawie, Archiwum Akademii Humanistycznej w Pułtusku, Archiwum Stowarzyszenia Pamięci „Memoriał" w Moskwie, Archiwum Obywatelsko-Politycznego Ruchu „Sprawiedliwość" w Kijowie i Archiwum Związku Polaków w Petersburgu. Dalsze etapy badań archiwalnych obejmą kolejne instytucje i organizacje oraz zbiory prywatne.

Na obecnym etapie postępowania opracowywane są też wnioski o międzynarodową pomoc prawną, które w najbliższym czasie zostaną przekazane właściwym prokuraturom Federacji Rosyjskiej, Republiki Białorusi i Ukrainy.

W śledztwie uzyskano już częściowe ekspertyzy historyczne dotyczące genezy, uwarunkowań i przebiegu akcji polskiej, ponadto archiwaliów i biogramów osób wykonujących Rozkaz Operacyjny nr 00485 Komisarza Narodowego Spraw Wewnętrznych ZSRR. Zlecono przygotowanie kolejnych opracowań.

Naczelnik OKŚZpNP w Szczecinie
prok. Marek Rabiega

KALENDARIUM OBCHODÓW 80. ROCZNICY SOWIECKIEGO LUDOBÓJSTWA

10 sierpnia, godz. 10.30 Konferencja prasowa z udziałem prezesa IPN Jarosława Szarka „80. rocznica operacji polskiej NKWD 1937-1938", Przystanek Historia IPN, Warszawa, ul. Marszałkowska 21/25 (we współpracy z Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia). Podczas konferencji odbędzie się prezentacja portalu www.operacja-polska.pl i bazy danych www.ofiaryterroru.pl.

10 sierpnia, godz. 12 Wernisaż wystawy „Ofiary antypolskiej operacji NKWD 1937/1938" w Głównym Urzędzie Poczty Polskiej w Warszawie przy ul. Świętokrzyskiej 31/33 (we współpracy z Pocztą Polską i Garmond Press).

11 sierpnia, godz. 14 Uroczystości przed warszawskim pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie, ul. Muranowska 2 (we współpracy z Urzędem do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych).

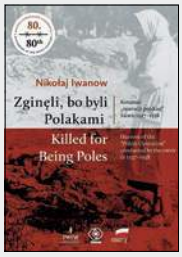

11 sierpnia, godz. 18 Debata historyczna na temat operacji polskiej i promocja albumu profesora Mikołaja Iwanowa „Zginęli, bo byli Polakami". Udział w dyskusji weźmie autor i prezes IPN Jarosław Szarek. Przystanek Historia IPN, Warszawa, ul. Marszałkowska 21/25 (we współpracy z Polską Wytwórnią Papierów Wartościowych, wydawnictwem Rebis i Fundacją Rodacy'37).

MIKOŁAJ IWANOW
„ZGINĘLI, BO BYLI POLAKAMI"
REBIS

eprasa.pl d508e00ca9

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA W. W. BEORNA "POLOWANIE NA ŻYDÓW. ZBRODNIE WEHRMACHTU"

DZIEŃ 10 PAŹDZIERNIKA 1941 ROKU OKAZAŁ SIĘ OSTATNIM W ŻYCIU ŻYDOWSKIEJ SPOŁECZNOŚCI W BIAŁORUSKIEJ WSI KRUCZA – WSZYSCY ZOSTALI ROZSTRZELANI. CHOĆ SPECJALNE ODDZIAŁY SS ZWANE EINSATZGRUPPEN RUTYNOWO PRZEPROWADZAŁY MASOWE EGZEKUCJE NA FRONCIE WSCHODNIM, TA ZBRODNIA NIE BYŁA ICH DZIEŁEM. POPEŁNIŁA JĄ Z WŁASNEJ INICJATYWY REGULARNA JEDNOSTKA NIEMIECKIEJ ARMII.
KSIĄŻKA PT. „POLOWANIE NA ŻYDÓW ZBRODNIE WERMACHTU" OBALA MIT, ŻE WEHRMACHT NIE ODEGRAŁ ŻADNEJ ZNACZĄCEJ ROLI W HOLOKAUŚCIE. WYDOBYWA Z MROKU MROŻĄCE KREW W ŻYŁACH OBRAZY CODZIENNEGO UDZIAŁU ZWYKŁYCH NIEMIECKICH ŻOŁNIERZY W "OSTATECZNYM ROZWIĄZANIU KWESTII ŻYDOWSKIEJ". OPOWIADA, JAK NIEMIECCY ŻOŁNIERZE ZAGANIALI ŻYDÓW, PILNOWALI ICH, PROWADZILI DO MIEJSC KAŹNI, A W NIEKTÓRYCH PRZYPADKACH POCIĄGALI ZA SPUST. GWAŁCILI ŻYDÓWKI. PRZYWŁASZCZALI SOBIE ŻYDOWSKIE MIENIE I CZASAMI WYSYŁALI JE DO SWOICH RODZIN. KSIĄŻKA ODDAJE SPRAWIEDLIWOŚĆ RÓWNIEŻ TYM NIELICZNYM Z NICH, KTÓRZY ODMÓWILI UCZESTNICTWA W ZBRODNI NA NARODZIE ŻYDOWSKIM.

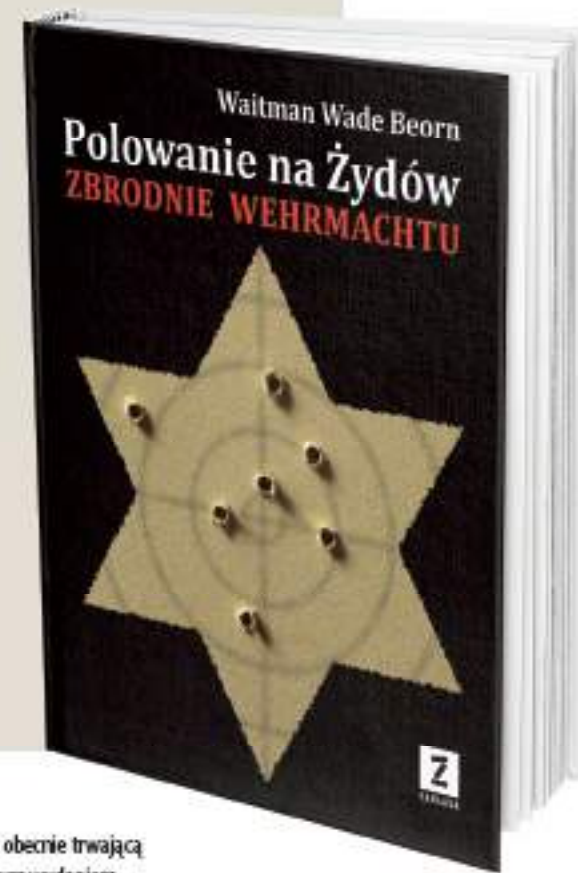

75 zł

oszczędność 55 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl d508e00ca9

Potrzebna prawdziwa reforma

Andrzej Mikosz

Zmiany wprowadzane przez PiS cementują złe cechy polskiego wymiaru sprawiedliwości

Pani premier Beata Szydło, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro i prezes Prawa i Sprawiedliwości dr Jarosław Kaczyński w różnych słowach zarzucili prezydentowi Andrzejowi Dudzie, że jego weto, zgłoszone do ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa oraz o Sądzie Najwyższym, wstrzymało przeprowadzenie koniecznych reform wymiaru sprawiedliwości. Tytuł tego artykułu może sugerować, że jego autor zgadza się z diagnozą przedstawicieli rządzącej formacji. Tak. Zgadzam się, że szansa na reformę wymiaru sprawiedliwości może zostać na długie lata pogrzebana. Jednak nie ze względu na dwa zgłoszone przez prezydenta weta, ale przez brak trzeciego. Przez brak weta do ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych oraz wcześniej już przyjęte i wprowadzone w życie zmiany do tej ustawy, a także do ustawy o Krajowej Szkole Wymiaru Sprawiedliwości i Prokuratury (tzw. szkole krakowskiej). To właśnie zmiany wprowadzane przez Prawo i Sprawiedliwość cementują złe cechy polskiego wymiaru sprawiedliwości, wprowadzając nowe. Równie złe, jeśli nie gorsze.

Ogłoszenie przez prezydenta woli skorzystania – w terminie dwóch miesięcy – z inicjatywy ustawodawczej i złożenia własnych projektów ustaw o SN i KRS może jednak otworzyć nową perspektywę. Tym bardziej że złożenie projektów, mieszczących się w filozofii zmian, przepchniętych przez Sejm i Senat przez rządzącą większość, spowoduje, że prezydent stanie się zakładnikiem własnej obietnicy, wydanym na łaskę i niełaskę rządowej większości. Większości, która dzisiaj o reformie sądownictwa jest w stanie rozmawiać jedynie w kategoriach, jakie rządzą projektami ustaw przepchniętych per fas et nefas przez parlament. W dodatku w kategoriach mitycznej „dekomunizacji" i „odmłodzenia" wymiaru sprawiedliwości, w którym (siurpryza!) średnia wieku jest… najniższa w Europie. Podpisanie przez prezydenta ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych w takim kształcie, w jakim została ona przyjęta przez Sejm i Senat, może świadczyć o tym, że prezydent zgadza się z samą filozofią braku faktycznej reformy i zwiększenia wpływu władzy wykonawczej na sądy.

Należy jednak zauważyć, że prezydent nie musi się godzić na tę rolę zakładnika. W listopadzie 2015 r., w chwilę po dojściu do władzy, z obozu Zjednoczonej Prawicy wychodziły głosy, które mogły zapowiadać rzeczywiste reformy [vide: artykuł w dzienniku „Rzeczpospolita": „Propozycja PiS: w jakim wieku można zostać sędzią" z 31 października 2015 r.]. Jednocześnie nie było jakimkolwiek elementem programu Zjednoczonej Prawicy poddanie Krajowej Rady Sądownictwa w ręce większości sejmowej tudzież mianowanie całego składu Sądu Najwyższego przez obecną władzę wykonawczą. Prezydent może zatem – jeżeli chce – dokonać wolty i uczynić posłów PiS zakładnikami swojej wcześniejszej rzeczywistej woli zmian, a jednocześnie zaproponować rzeczywistą reformę wymiaru sprawiedliwości. Reformę, która zamiast mitycznej „dekomunizacji" prowadzonej przez prokuratora z czasów PRL ręka w rękę ze zwolennikami „odmłodzenia" najmłodszego w Europie wymiaru sprawiedliwości, a niedotyka-

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. FOTOLIA

jącej przyczyn niskiej społecznej oceny trzeciej władzy, wprowadzi rzeczywiste zmiany.

WO IST DER HUND BEGRABEN?

PiS szafuje hasłem „dekomunizacji" wymiaru sprawiedliwości. Zgodnie z tym hasłem wymiar sprawiedliwości to jedyna część aparatu państwa polskiego, która po roku 1989 uniknęła dekomunizacji i lustracji. Twierdzenia te nie są ani w pełni prawdziwe, ani całkiem fałszywe. W okresie pierwszych dwóch lat po czerwcu 1989 r. zmianie uległ niemal cały skład Sądu Najwyższego (85 proc. sędziów opuściło ten sąd; zamiast nich zostali powołani nowi, których działalność orzecznicza w okresie PRL nie wzbudziła wątpliwości). Przeprowadzono postępowania lustracyjne w stosunku do wszystkich sędziów, ok. 600 sędziów (spośród 4,5 tys. sędziów orzekających w roku 1989, zatem ok. 13 proc.) musiało się pożegnać z tym zawodem ze względu na naruszenie zasad niezawisłości. Pierwsza fala „dekomunizacji" przez wymiar sprawiedliwości przeszła.

Oczywiście nie obyło się bez błędów. Piszący te słowa natknął się kilkanaście lat temu na wyrok z początku lat 70. – jednego z wieloletnich sędziów Sądu Najwyższego – który to wyrok skazujący adwokata, oparty na naruszeniu tajemnicy korespondencji i tajemnicy relacji pomiędzy adwokatem a jego klientem, niewątpliwie chwały sędziemu temu nie przynosi. Błędy nie są popełniane wyłącznie przez tych, którzy nic nie robią. Ekstrapolowanie tego faktu na wszystkich sędziów Izby Karnej Sądu Najwyższego świadczyć może jednak tylko o dokonującym ekstrapolacji, a nie o sędziach tej izby. Sędzia ten, z przyczyn czysto biologicznych, związanych z odejściem w stan spoczynku, już dzisiaj nie orzeka.

Co więcej, tenże wymiar sprawiedliwości także w latach 80. potrafił wykazywać się dość dużą dozą asertywności w stosunku do komunistycznej władzy. W ostatnich dniach miałem okazję czytać opartą na wspomnieniach, a przede wszystkim dokumentach zgromadzonych przez IPN, historię „opozycyjnego" środowiska studenckiego naszej uczelni (ma się ukazać jesienią tego roku) w latach 80. Trzykrotnie SB podejmowała decyzję o podjęciu próby przekształcenia materiału operacyjnego w materiał procesowy w celu wszczęcia postępowania karnego w stosunku do osób z naszej grupy. Trzykrotnie te działania musiały zostać wstrzymane, ponieważ ocena „procesowa" tego materiału dawała SB 100-procentową gwarancję sądowej porażki. Oznacza to, że nawet wówczas SB i komunistyczna prokuratura uznawały, że sądy „nie są na telefon".

Poza opisaną wyżej pierwszą „falą dekomunizacji i lustracji" kolejnym elementem „dekomunizującym" polskie sądy są wspomniana już wyżej… biologia i upływ czasu.

Dzisiaj średni wiek sędziów to 38 lat. Prawa statystyki są nieubłagane. Jeżeli średni wiek sędziów wynosi 38 lat, a dolna granica wieku, w jakiej ktoś może zostać powołany na stanowisko sędziego, wynosi 29 lat, to mediana musi być niższa od średniej. Wynosi – zapewne – poniżej 37 lat. Oznacza to, że ideologia komunistyczna mogła mieć wpływ na połowę orzekających dzisiaj sędziów co najwyżej podczas nauczania początkowego,

eprasa.pl d508e00ca9

w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Obok biologii w grę wchodzi dodatkowo to, że nawet ci sędziowie, którzy dzisiaj mają ponad 50 lat, a więc stanowią grupę sędziów orzekających w sądach apelacyjnych i okręgowych, a kończyli studia w latach 80., studiowali w okresie, gdy na uczelniach, na wydziałach prawa „ideologia" czy nawet postawa konformistyczna wobec komunistycznej władzy były w odwrocie. Pamiętam próby przeprowadzenia przez Koło Naukowe Prawników na naszym wydziale debat dotyczących prawa karnego. Próby poszukiwania studentów – na wszystkich wydziałach prawa w Polsce – którzy wspieraliby pewne instytucje prawa karnego PRL, zakorzenione w tamtym ustroju, spaliły na panewce. Nie było nikogo, kto stanąłby w obronie czy „ustawy epizodycznej", czy art. 182a ówczesnego Kodeksu karnego. Na aplikację sędziowską szli normalni, bezpartyjni studenci. Jeżeli ktoś miał giętki kręgosłup i cechował się „pozytywną postawą społeczno-polityczną", szedł do prokuratury. Właśnie w prokuraturze nie przeprowadzono wskazanych wyżej działań „dekomunizacji". Nie przeszkadza to jednak dzisiaj w poszukiwaniu kadr do zarządzania.

Narracja, która na dzisiejsze negatywne cechy działania wymiaru sprawiedliwości reaguje hasłem „dekomunizacji", jest fałszywa. Nie postkomunizm jest problemem polskiego wymiaru sprawiedliwości. Problemem jest jego (1) wyobcowanie – wynikające ze ścieżki zawodowej sędziów; (2) brak doświadczenia życiowego znakomitej większości sędziów, którzy nie znają realnego świata poza środowiskiem sędziowskim; (3) stronniczość, serwilizm i statolatria, powodujące, że sędziowie raczej utożsamiają się z interesem instytucji państwowych, a nie rozsądzają sporów pomiędzy nimi poprzez wymierzanie sprawiedliwości; (4) kunktatorstwo i formalizm, polegające w skrócie na „stosowaniu prawa, a nie wymierzaniu sprawiedliwości". Strony, także pełnomocnicy procesowi, spotykają się często z bezczelnym zachowaniem przewodniczących składów orzekających. Nie wynika on jednak z jakiejś „postkomunistycznej" mentalności, lecz raczej z mentalności bizantyjskiej, w której sędzia czuje się bezkarnym przedstawicielem potęgi państwa w stosunku do poddanego. Tak, poddanego, a nie obywatela. Strony są bowiem poddane władzy sędziego, strona czy jej pełnomocnik, wykonując czynność z uchybieniem terminu, wie, że czynność może nie wywołać skutków procesowych. Sędzia naruszający „termin instrukcyjny" nie naraża się na wiele. Co najwyżej na odpowiedzialność dyscyplinarną, którą sądy dyscyplinarne nader rzadko stosują wobec sędziów po chamsku (tak, to słowo niestety często jest adekwatne) zachowujących się wobec uczestników postępowania. Wbrew propagandzie prawdziwe przypadki korupcji w ścisłym tego słowa znaczeniu nie są częste. Co więcej, sądy znajdują się pod szczególną „ochroną" służb, co powoduje, że ewentualny „rak korupcji" (jeżeli w ogóle można o nim mówić) toczący nasze sądownictwo to nie łapówkarstwo, ale zepsucie innego rodzaju. Związanego właśnie z tymi problemami, o których napisałem wyżej. Niestety, proponowane przez większość parlamentarną tzw. reformy w żaden sposób nie zmierzają do rozwiązania problemów. W mojej opinii nie dość, że ich nie rozwiązują, to dodatkowo żerują na złych cechach polskiego wymiaru sprawiedliwości i jeszcze będą powodować ich wzmożenie.

CO ZŁEGO, CO MOŻE BYĆ DOBREGO

Ustawa wprowadza rozszerzenie możliwości powoływania asesorów na stanowiska sędziowskie. Błąd. Nie z punktu widzenia władzy wykonawczej. Z punktu widzenia potrzeb obywateli. Przeprowadzone już ponad 10 lat temu przez Fundację Helsińską badania nad stosowaniem aresztu tymczasowego wskazały, że chętniej i ochotniej z wnioskami o areszt tymczasowy zgadzali się asesorzy i młodzi sędziowie, a nie sędziowie z pewnym doświadczeniem. Piszący te słowa ukończył w wieku 29 lat aplikację sędziowską, zdał egzamin sędziowski z wynikiem dobrym. Na pytanie prezes sądu apelacyjnego, dlaczego nie chcę zostać w wymiarze sprawiedliwości i dlaczego wybieram inną ścieżkę kariery zawodowej, odpowiedziałem, że brak mi doświadczenia życiowego, które pozwoliłoby mi sądzić sprawy i spory innych ludzi. Powiedziałem, że nie wykluczam, że w przyszłości będę chciał zostać sędzią.

Protest przeciwko reformie sądownictwa FOT. ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER

Kierunkiem rzeczywistej reformy powinno być całkowite zlikwidowanie możliwości orzekania w sądach przez asesorów. Absolwenci szkoły krakowskiej, zamiast bezpośrednio po jej ukończeniu rozpoczynać „urzędniczą" karierę sędziego, powinni przynajmniej przez kilka lat wykonywać inne zawody prawnicze. Dostęp do roli społecznej sędziego powinien zostać otwarty dla doświadczonych prawników. Jednocześnie każdy sędzia zarówno w sądzie rejonowym, jak i w sądzie okręgowym czy apelacyjnym powinien dysponować przynajmniej jednym asystentem

eprasa.pl d508e00ca9

prawnym, absolwentem prawa, może także szkoły krakowskiej, który będzie przygotowywać dla sędziego rozprawy, prowadzić tzw. research prawny czy przygotowywać część lub nawet całość uzasadnienia pisemnego wyroku. W ten sposób sędzia będzie mógł rozpatrzyć szybciej więcej spraw. Jednocześnie stanowisko asystenta prawnego nie może podlegać ochronie takiej jak stanowisko sędziego i nie powinno być możliwości starania się przez asystenta sędziego o urząd sędziego w tym samym sądzie, w którym był on wcześniej zatrudniony.

Jednocześnie powinno zostać podwyższone minimum wiekowe, od którego można byłoby zostać powołanym na urząd sędziego. Powołanie na każdy urząd sędziego powinno być poprzedzone jawną procedurą konkursową, do której będą mogli stawać wyłącznie radcy prawni, adwokaci, notariusze, komornicy, prokuratorzy, sędziowie niższej instancji czy… asystenci sądowi, którzy złożyli egzamin zawodowy lub egzamin sędziego. Powinno to być także możliwe dla doktorów prawa mających odpowiednie doświadczenie pracy w kancelarii prawnej czy w charakterze asystenta sędziego. W chwili obecnej rynek usług prawniczych nie jest łatwy. Sukces na nim nie zależy wyłącznie od wiedzy. Nie każdy posiada zdolności interpersonalne pozwalające mu na pozyskiwanie klientów. Osoby takie, często o wysokich kwalifikacjach prawniczych, nie mogą awansować w firmach prawniczych, ponieważ nie mają umiejętności pozyskiwania klientów. Mogą być one natomiast doskonałymi sędziami. Wprowadzenie instytucji asystenta sędziego, zmiana przepisów procedur umożliwiających sędziom na orzekanie w sprawach niewymagających szczególnie ekstensywnego postępowania dowodowego na posiedzeniu, bez przeprowadzenia rozprawy, odciążenie sądów od spraw o wykroczenie przez wprowadzenie pochodzących z wyboru sędziów pokoju mogą pozwolić na zmniejszenie liczby sędziów, podwyższenie ich uposażeń i spowodowanie, że wykonywanie roli społecznej sędziego stanie się rzeczywistą koroną zawodów prawniczych.

Ustawa, konkretnie art. 27, wprowadza rzeczywistą podległość służbową sędziów ministrowi sprawiedliwości. Jest to błąd. Wszystkich nas oburzyło zachowanie sędziego Milewskiego, prezesa SR w Gdańsku, który wykazał się koszmarnym serwilizmem w stosunku do dziennikarza podającego się za pracownika kancelarii premiera. Wprowadzenie przepisów, dzisiaj już podpisanych przez prezydenta, spowoduje, że zachowanie takie nie będzie oburzającym wyjątkiem. Stanie się oczekiwanym standardem. Problemem jest bowiem nie tyle ustawowy zamach przeprowadzany przez PiS, polegający na umożliwieniu ministrowi sprawiedliwości odwołanie prezesów wszystkich sądów powszechnych, ale to, że tak nowo powołani prezesi będą mogli być zbyt łatwo odwołani. Nawet gdyby minister Ziobro był świętym i powołał na stanowiska prezesów sądów najbardziej nawet asertywnych sędziów, jakimi dysponuje polski wymiar sprawiedliwości, to wprowadzenie złego mechanizmu – a ten mechanizm jest zły – skorumpuje, czyli zepsuje, nawet świętych.

Oczywiście konieczne jest obarczenie odpowiedzialnością (ang. accountability) prezesów sądów za bałagan, który (czasami) w nich panuje, czy za złe obyczaje w relacjach ze stronami. Natomiast wystarczające powinno być to, że minister sprawiedliwości występuje do Krajowej Rady Sądownictwa z uzasadnionym wnioskiem o odwołanie prezesa, a rada, po wysłuchaniu i przeprowadzeniu ewentualnego postępowania, mającego na celu sprawdzenie prawdziwości zarzutów, wyraża zgodę (a nie sprzeciw) na odwołanie takiego prezesa.

SYTUACJA PREZYDENTA

Przedstawiłem powyżej argumenty za tym, że proponowane przez PiS działania nie stanowią jakiejkolwiek reformy. Nie wychodzą naprzeciw rzeczywistym problemom wymiaru sprawiedliwości, lecz powodują jego uzależnienie od władzy wykonawczej. Uwagi te dotyczą ustawy podpisanej przez prezydenta oraz wcześniejszych zmian do ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych i ustawy o Krajowej Szkole Wymiaru Sprawiedliwości i Prokuratury. Konieczną reformę wymiaru sprawiedliwości grzebią nie weta prezydenta, lecz złe projekty ustaw, przeprowadzone przez parlament w drodze parlamentarnego puczu. Tak, świadomie posługuję się tym określeniem. Ustawy przyjęte zostały w trybie pilnym, nieprzewidzianym przez Konstytucję RP dla projektów poselskich. Co więcej, dotyczyły kwestii ustrojowych, a dla takich tryb pilny jest wprost przez konstytucję zakazany. Takie działania mają charakter puczu parlamentarnego. Ma on w Polsce całkiem długą tradycję. W drodze parlamentarnego puczu została przyjęta zarówno Konstytucja 3 maja, jak i konstytucja kwietniowa. Nie oznacza to, że jest to metoda godna polecenia dla reformowania państwa. Konstytucja 3 maja została co prawda przyjęta w drodze puczu, ale została później, w normalnym trybie, zatwierdzona przez wszystkie sejmiki ziemskie Rzeczypospolitej i w normalnym także trybie uchylono przepisy likwidujące odrębność Korony i Litwy.

Może teraz w normalnym trybie będzie możliwe przyjęcie ustaw o Sądzie Najwyższym, Krajowej Radzie Sądownictwa i wprowadzenie zmian do ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych. Zmiany te, w miejsce złego dla Rzeczypospolitej wzmocnienia związków z władzą wykonawczą i wpływu tejże na władzę sądowniczą, powinny wprowadzić realną zmianę paradygmatu działania polskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie mogą się one jednak ograniczać do tego, co zaproponowała większość rządząca – zmian personalnych i wprowadzenia uzależnienia sędziów i sądów od bieżącej większości parlamentarnej.

Pozwalam sobie zatem wyrazić nadzieję, że prezydent złoży dobre projekty ustaw. I nie będą to projekty wpisujące się w realizowany przez PiS projekt przejęcia wymiaru sprawiedliwości bez jego reformy, ale prowadzące do jego realnej, głębokiej reformy. Tylko wtedy prezydent nie stanie przed ryzykiem ponownego ograniczenia jego roli na rzecz prokuratora generalnego – ministra sprawiedliwości. Problem polega jednak na tym, że taki projekt – jeżeli zostanie zgłoszony – będzie musiał wychodzić naprzeciw realnym wyzwaniom cywilizacyjnym, przed którymi stoi Polska, będzie musiał zaspokoić realną potrzebę zmiany paradygmatu funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości.

Odpowiedzialność za przygotowanie projektów przyjął na siebie Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Odpowiedzialność za ich przyjęcie, za przeprowadzenie reformy, a nie przejęcie kontroli nad wymiarem sprawiedliwości ponosi obóz Zjednoczonej Prawicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest radcą prawnym, partnerem międzynarodowej kancelarii K&L Gates LLP, w latach 2005–2006 był ministrem Skarbu Państwa w rządzie PiS.

eprasa.pl d508e00ca9

Obrona demokracji. W imię czego?

Robert Bogdański

Siedem lat temu, po walce o krzyż na Krakowskim Przedmieściu, narodził się Ruch Palikota. Teraz może narodzić się coś o wiele bardziej masowego i groźniejszego dla wspólnoty

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

Istotą wydarzeń na warszawskim Krakowskim Przedmieściu sprzed siedmiu lat było poszerzenie katalogu zachowań publicznych, które wydawały się „do pomyślenia". Owszem, wcześniej toczyły się walki o krzyż, ale były to walki nieprzekraczające pewnych granic. Spierano się o to, czy powinien on wisieć na sali sejmowej, w szkołach, urzędach, szpitalach. Uzyskiwano wyroki sądowe, dyskutowano. Czasem uciekano się do podstępu. Wszystko jednak w pewnych granicach. Jeżeli ktoś już koniecznie chciał się poocierać genitaliami o krucyfiks, to musiał to robić w zaciszu galerii sztuki i liczyć się ze zdecydowaną reakcją.

Tym razem było inaczej. Przesilenie zaczęło się od tego, że niejaki Dominik Taras, kucharz pracujący na ASP, napisał na swoim facebookowym profilu: „Wkurwia mnie ten krzyż!", po czym wdał się w wymianę równie wyrafinowanych myśli z kolegami i zapoczątkował „Akcję krzyż". Do jej kulminacji doszło sierpniowej nocy, kiedy na Krakowskim Przedmieściu zebrało się kilka tysięcy osób. To w tym tłumie widzieliśmy ukrzyżowanego pluszowego misia, krzyż z puszek po piwie Lech, to w tym tłumie oddawano mocz na znicze i pluto na modlących się ludzi.

Rodzaj wyzwolenia obyczajowego, do jakiego doszło w tych dniach w przestrzeni publicznej, spotkał się z erupcją entuzjazmu części elit, które ze zdumieniem zobaczyły, że „już można". Katarzyna Janowska, ówczesna redaktor naczelna „Przekroju", ujrzała „obywateli świadomych swych praw i obowiązków", zachwycała się wyczuwanym przez siebie „westchnieniem ulgi" i pisała o towarzyszach Tarasa jako o „prawdziwych Polakach".

Adam Leszczyński z „Gazety Wyborczej" pisał o „wyzwoleniu poznawczym", czyli momencie, w którym zbiorowość orientuje się, że publiczne wyrażanie pewnych opinii, dawniej nie do pomyślenia, jest już możliwe. I to było sedno sprawy.

Po kilku dniach „Polityka" pytała już całkiem wprost na okładce: „Czy Kościół katolicki da się w Polsce pogodzić z demokracją?", znakomicie podtrzymując narrację zapoczątkowaną przez ówczesnego naczelnego „Newsweeka", Wojciecha Maziarskiego, który w komentarzu pt. „Krzyż wyprowadzić" w profetycznym stylu pisał, że ta komenda może stać się „mottem nadchodzącej epoki". Tak oto starcie polityczne, jakim niewątpliwie był spór o obecność krzyża przed Pałacem

eprasa.pl d508e00ca9

Prezydenckim, zostało zamienione w starcie kulturowe, a jego istotą stała się obecność religii w życiu publicznym.

Pewne sprawy stały się po tych wydarzeniach możliwe. Na procesji Bożego Ciała pojawił się rok później człowiek motyl, w warszawskim teatrze pokazano mszę, udając, że chodzi o coś więcej niż kpinę z wiary. Do polityki wszedł z własnym ugrupowaniem Janusz Palikot, którego przekaz był silnie antyreligijny i który promował „dołączenie do Europy" pod względem obyczajowym. Pogardliwe wyrażanie się o ludziach wierzących uzyskało legitymację ze strony elit. Jak słusznie ktoś zauważył, w pewnych kręgach lepiej było przyznać się do tego, że się jest alkoholikiem, niż że się modli.

DZIEWUCHY W OBRONIE DEMOKRACJI

Rok 2015 przyniósł poważną zmianę. Palikot sczezł politycznie, wahadło przesunęło się na prawo, a pozostający w głównym nurcie polityki zwolennicy zmiany kulturowej poukrywali się w szeregach Nowoczesnej oraz Platformy i nie starali się zbyt głośno wyrażać poglądów związanych ze zmianą kulturową. Charakterystyczny jest tu przykład Kamili Gasiuk-Pihowicz, która dekadę wcześniej użyczyła swego wizerunku plakatowi, na którym została określona jako „ateistka", w roku 2015 określała się zaś jako „chodząca do kościoła katoliczka".

Pierwsze poważne starcie przyszło w październiku 2016 r., kiedy partia rządząca została uwikłana w spór aborcyjny. Skala wystąpień określanych wspólnym mianem #czarnyprotest przeszła wówczas wszelkie oczekiwania. PiS błyskawicznie uciął wszelkie spekulacje na temat zamiarów związanych ze zmianami kompromisu aborcyjnego i konflikt przycichł. Obecnie jednak środowiska, które za nim stały, powróciły na główną scenę polityczną, ale nie w roli orędowników aborcji na życzenie, małżeństw homoseksualnych czy wprowadzenia ideologii gender do szkół, tylko w roli obrońców demokracji.

Fatalnie przeprowadzona przez PiS próba dokonania zmian w sądownictwie umożliwiła wyzwolenie społecznego protestu na skalę nieznaną od ubiegłej jesieni, czyli od „parasolkowego protestu" w sprawie aborcji.

W czasie największego nasilenia demonstracji dwie istotne cechy stanowiły o ich sile. Po pierwsze, mocno akcentowana zasada „no logo", polegająca na zamanifestowaniu nieufności wobec opozycyjnych partii politycznych. Po drugie, uczestnictwo znacznej – w porównaniu z protestami KOD – liczby młodych ludzi, którzy do tej pory nie decydowali się na wychodzenie na ulicę.

Wydaje się, że w tej drugiej cesze protestów ich organizatorzy (a także sojusznicy partyjni, którzy przecież nie zniknęli, choć chwilowo mogli zrobić pół kroku w tył) dostrzegli swoją szansę. Zorientowali się, że dzięki chwytliwej tematyce protestów, odwołującej się do praworządności i obrony demokracji (częściowo zresztą, dzięki błędom legislacyjnym PiS, słusznie, co jest jedną z większych politycznych ironii tej sytuacji), są w stanie dotrzeć do ludzi nowych. To już nie było przekonywanie przekonanych i demonstrowanie z wiecznie tymi samymi kolegami. To było zdobywanie nowych dusz.

Temu przypisywałbym niezwykłą wytrwałość organizatorów protestów. Aby protest trwał, nie wystarczy bowiem – jak to się niektórym wydaje – „skrzyknąć się na Facebooku". W namiotach ktoś musi siedzieć. Aktywiści muszą coś jeść i pić. To wszystko jest wielkim przedsięwzięciem organizacyjnym, a jego sercem są zdeterminowani ludzie. Co determinuje ich determinację?

Maria Lempart, inicjatorka akcji #czarnyprotest i jedna z egerii tego, co się dzieje obecnie na ulicach, nie pozostawia wątpliwości co do celów. W wypowiedzi udzielonej po tym, gdy w maju odebrała z „siostrami" nagrodę roku „Gazety Wyborczej", wymieniła katalog spraw, które powinny zostać załatwione, gdy znienawidzony PiS utraci wreszcie władzę.

Nie wolno udawać, że spór, jaki toczy się obecnie w Polsce, jest sporem o system sądownictwa czy standardy demokracji

Na pierwszym miejscu stanęła w tym katalogu walka z Kościołem. Nie chodzi tu już o „przyjazny rozdział", tylko o pokazanie Kościołowi jego miejsca. Miejsca na ławie oskarżonych. Powinna bowiem, według Marii Lempart, powstać „niezależna komisja ds. badania zbrodni Kościoła w Polsce". Kościół powinien być też pozbawiony wpływu na życie publiczne, nawet w formie nauczania moralnego („Precz z klauzulą sumienia!"). Nie powinien także szerzyć wiary wśród młodych („Dość dręczenia dzieci religią!). Do tego dochodzą małżeństwa homoseksualne i „prawa osób LGBT", czyli standardowe credo środowisk promujących zmianę kulturową.

Pod namiotami rozbitymi przy ul. Wiejskiej znaleźli się Zieloni, Dziewuchy Dziewuchom, Kongres Świeckości, Kongres Kobiet, Akcja Demokracja i wiele innych grup oraz grupek, które w walce o demokrację dostrzegły szansę na realizację swoich dalekosiężnych interesów.

Jeżeli przyjrzymy się wypowiedziom ich członków, to staje się jasne, że generałowie i sierżanci armii, która zmobilizowała się „w obronie demokracji", nie zatrzymają się w chwili osiągnięcia celu. Dla nich celem nie jest bowiem zatrzymanie zmian w sądownictwie, a ich pojęcie demokracji nie jest tożsame z pojęciem demokracji zapisanym w obecnej konstytucji. Jakkolwiek by ją krytykować, znajduje się w niej zapis o małżeństwie jako związku kobiety i mężczyzny, co dla nich jest kamieniem obrazy. Ich celem jest kolejne przesunięcie granic tego, co „do pomyślenia". Tym razem o wiele bardziej radykalne niż siedem lat temu.

DOBRO WSPÓLNE. JAKIE?

W tej sytuacji nie wolno udawać, że spór, jaki toczy się obecnie w Polsce, jest sporem o system sądownictwa czy standardy demokracji. To jest spór o definicję dobra wspólnego. Dyskutując z ludźmi spod znaku protestu oraz przeglądając ich wypowiedzi publiczne, można odnieść wrażenie, że podział jest zasadniczy i nie do zasypania. Że oni pragną w istocie zasadniczo innej Polski. Takiej Polski, w której nie będzie miejsca dla osób chcących żyć w niezgodzie z ich definicją normalności.

Słowa o demokracji, Europie, standardach, wspólnocie w ich ustach brzmią pięknie, ale niosą w sobie inne znaczenie niż to, jakie przypisuje mu większość ludzi. Zdaję sobie sprawę, że gdybym wypowiedział powyższe zdanie w namiotowym miasteczku protestu, wówczas otrzymałbym stanowczą odpowiedź, iż większość nie ma tu nic do gadania.

Rozmowa o najmniejszym wspólnym mianowniku polskiej wspólnoty narodowej wydaje się pilna i konieczna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Krzysztof M. Załuski

Od wybuchu tzw. niemieckiej jesieni minęło dokładnie pół wieku. Do tej pory nie wiadomo, jak poważny wpływ na lewacką rewolucję miała sowiecka agentura

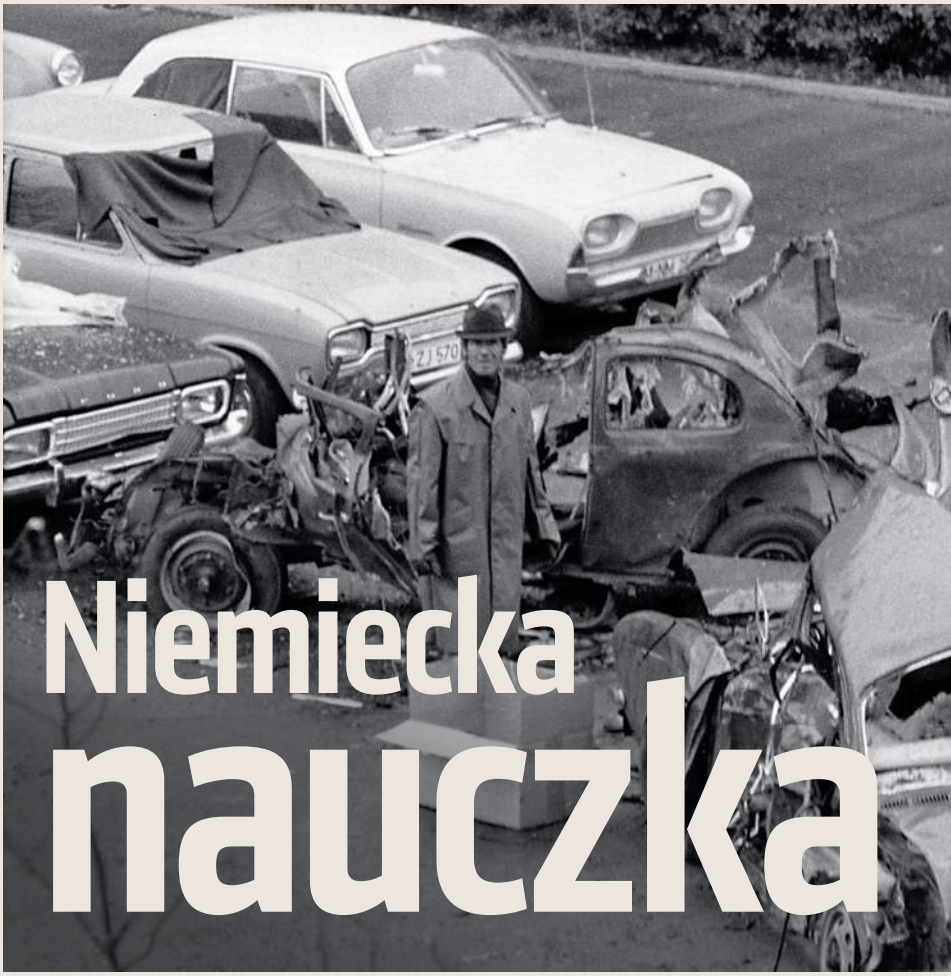

Niemiecka nauczka

Pod koniec lat 60. przez Europę przelała się fala studenckich niepokojów. W RFN spotęgowała ją nierozliczona nazistowska przeszłość establishmentu. Młodym nie podobało się, że państwem rządzi nadal „Auschwitz generation", że w życiu publicznym funkcjonują hitlerowscy prokuratorzy, sędziowie i dziennikarze. Przywódcy „opozycji pozaparlamentarnej" otwarcie prezentowali swoje lewackie przekonania.

Studentom początkowo chodziło wyłącznie o demokratyzację uczelni. Z czasem przeszli jednak do żądań politycznych. Krytykowali podstawy cywilizacji zachodniej, opartej na ideologii chrześcijańskiej. Rudi Dutschke, agitator Socjalistycznego Związku Niemieckich Studentów, nawoływał do „wzięcia spraw we własne ręce".

Tak rodziła się romantyczna utopia – epoka dzieci kwiatów, wyznawców lewackiej rewolucji i wolnej miłości. W jej cieniu kiełkowała nienawiść – w Niemczech powstała Frakcja Czerwonej Armii (RAF), we Włoszech – Czerwone Brygady, we Francji – Akcja Bezpośrednia.

KRWAWE NARODZINY

Pierwszą ofiarą niemieckiej jesieni był 26-letni student Benno Ohnesorg. Policyjny snajper Karl-Heinz Kurras zabił go 2 czerwca 1967 r. podczas demonstracji przeciwko wizycie perskiego szacha. Komunikat policji mówił, że strzał padł „w obronie koniecznej". Świadkowie twierdzą, że chłopak błagał, aby do niego nie strzelano. Mimo to dostał kulę w tył głowy. Zostawił żonę, która spodziewała się dziecka.

Śmierć Ohnesorga była iskrą, która spowodowała eksplozję. Pierwszym jej aktem było podpalenie dwóch domów towarowych we Frankfurcie. Za ten czyn 25-letni wówczas dziennikarz, Andreas Baader, i jego towarzysze zostali skazani na trzy lata więzienia. Rok później podpalaczy warunkowo zwolniono. Baader uciekł do Francji. Po powrocie do Berlina Zachodniego został jednak aresztowany i zmuszony do odsiedzenia pozostałej części kary.

Za datę narodzin RAF przyjmuje się 4 maja 1970 r. Tego dnia absolwentka germanistyki, anglistyki i pedagogiki, właścicielka wydawnictwa, Gudrun Ensslin, oraz lewicująca publicystka hamburskiego pisma „Konkret" Ulrike Meinhof zorganizowały odbicie Baadera. Podczas akcji zginął policjant. Meinhof, Baader, Ensslin, Meins i Mahler zbiegli do Jordanii. Tam, w obozach palestyńskich terrorystów, odbyli szkolenie wojskowe. Po powrocie do Niemiec dokonali serii napadów na banki. Za zrabowane pieniądze wynajęli mieszkania, magazyny, kupili samochody, broń i fałszywe dokumenty.

W tym czasie doszło do pierwszych aresztowań – pomiędzy majem 1970 i 1971 r. udało się zatrzymać 12 osób podejrzanych o lewacki terroryzm, osiem z nich trafiło do aresztów. W lipcu 1971 r. zginęła Petra Schelm, a Wernera Hoppego aresztowano. We wrześniu tego samego roku Federalny Urząd Kryminalny zastosował po raz pierwszy w historii kryminalistyki elektroniczną obróbkę danych osobowych. Dzięki niej powstało archiwum zawierające odciski palców prawie 3 mln osób. Rząd Willy'ego Brandta wprowadził obowiązek meldunkowy i wyłączył lewackich ekstremistów z życia publicznego.

4 grudnia 1971 r. policja zabiła Georga von Raucha. Kilka dni później, w trakcie napadu na bank w Kaiserslautern, zastrzelony został z kolei policjant. Następny zginął we Frankfurcie 2 marca 1972 r. Tego samego dnia w Augsburgu policja zastrzeliła Thomasa Weissbeckera.

SPIRALA NIENAWIŚCI

Na odpowiedź RAF nie trzeba było długo czekać. Pomiędzy 11 a 24 maja 1972 r. doszło do serii zamachów. Pierwsze bomby wybuchły w amerykańskiej bazie pod Frankfurtem. Zginął oficer, a 13 żołnierzy zostało rannych. Do kolejnej eksplozji doszło w komendzie policji w Augsburgu – tym razem obyło się bez ofiar. 16 maja Kommando Manfred Grashof zdetonowało ładunek w Karlsruhe – celem miał być miejscowy sędzia, ranna została jednak jego żona.

eprasa.pl d508e00ca9

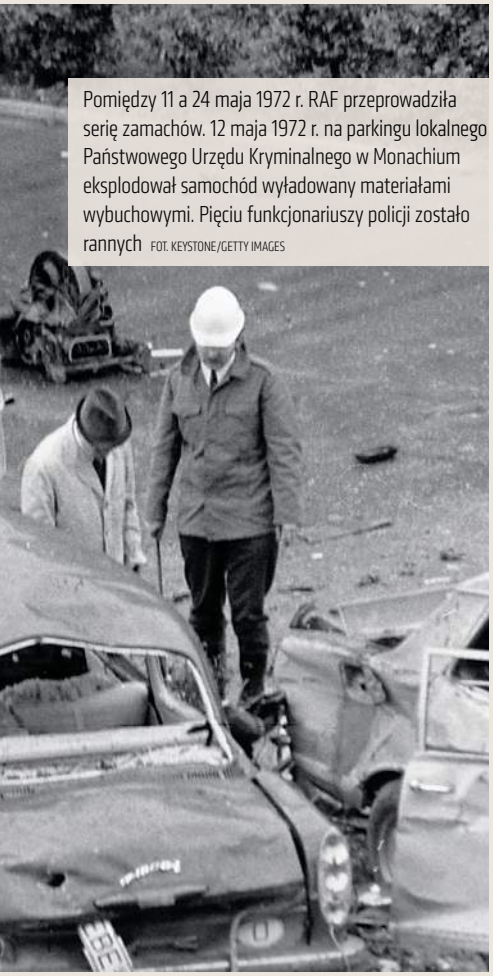

Pomiędzy 11 a 24 maja 1972 r. RAF przeprowadziła serię zamachów. 12 maja 1972 r. na parkingu lokalnego Państwowego Urzędu Kryminalnego w Monachium eksplodował samochód wyładowany materiałami wybuchowymi. Pięciu funkcjonariuszy policji zostało rannych FOT. KEYSTONE/GETTY IMAGES

Celem zamachowców stało się także wydawnictwo Axel Springer AG. Mimo ostrzeżenia wydawca nie zdecydował się na ewakuację personelu – wybuch ranił 17 osób. Ostatnią z tej serii bombę RAF podłożyła 24 maja w Heidelbergu, w Kwaterze Głównej Wojsk Amerykańskich – eksplozja zabiła trzech żołnierzy.

31 maja policja rozpoczęła akcję „Wasserschlag". Wzięły w niej udział wszystkie jednostki, jakimi dysponowało niemieckie państwo. Helikoptery, wozy pancerne i oddziały specjalne policji patrolowały autostrady, miasta i dworce kolejowe. Trwały rewizje i przesłuchania. Pod obserwacją znajdował się także jeden z frankfurckich garaży – w nim terroryści urządzili magazyn. Tuż przed spodziewanym zamachem oddział specjalny Bonn wyniósł z garażu broń i zastąpił ją ich atrapami. 1 czerwca, w tym właśnie miejscu w zasadzkę wpadli Baader, Meins i Raspe. Terroryści poddali się dopiero, gdy do akcji weszli 300 uzbrojonych komandosów i wozy pancerne. W trakcie walki Baader został ciężko ranny.

Tydzień później w Hamburgu została aresztowana Ensslin. 9 czerwca w Berlinie Zachodnim wpadła Mohnhaupt, a 15 w Hanowerze – Meinhof i Müller. Na zakończenie, 7 lipca w Offenbach, aresztowano Möller i Jünschke. W ten sposób pod kluczem znalazło się całe kierownictwo Rote Armee Fraktion.

NIEMCY NAD PRZEPAŚCIĄ

We wrześniu 1974 r. rozpoczęła się rozprawa przeciwko Meinhof i Mahlerowi, oskarżonych o uwolnienie Baadera. Proces zakończył się długoletnimi wyrokami. W tym samym miesiącu doszło do wybuchu kolejnej fali strajków głodowych, będących protestem przeciwko „fizycznemu wyniszczaniu więźniów politycznych". 9 listopada zmarł Meins.

Ulica ponownie zawrzała. 10 listopada RAF zastrzeliła przewodniczącego Sądu Krajowego w Berlinie, Günthera von Drenckmanna. Trzy miesiące później porwano przewodniczącego zachodnioberlińskiego CDU, a zarazem kandydata na nadburmistrza Berlina, Petera Lorenza. W zamian za jego uwolnienie RAF zażądała uwolnienia pięciu członków RAF. Rząd ugiął się i sześcioro terrorystów znalazło się na wolności. Również Lorenz został zwolniony.

Po raz kolejny RAF dała o sobie znać 24 kwietnia 1975 r. Tego dnia Kommando Holger Meins wzięło zakładników w niemieckiej ambasadzie w Sztokholmie. Porywacze zażądali zwolnienia z więzienia 26 towarzyszy. Tym razem jednak policja odbiła budynek. Przy okazji zginęło dwóch pracowników ambasady i dwóch porywaczy.

21 maja 1975 r. w stuttgarckim więzieniu Stammheim ruszył proces kierownictwa RAF. Postawiono im zarzuty dokonania sześciu zamachów bombowych, czterech zabójstw i 34 prób zabójstwa. Mowa była także o kierowaniu organizacją o charakterze zbrojnym… Dwa lata później wszyscy oskarżeni zostali skazani na dożywocie.

9 maja 1976 r. służba więzienna znalazła w celi martwą Ulrike Meinhof. Zdaniem policji było to samobójstwo. Sympatycy RAF utrzymywali jednak, że dziennikarka została zamordowana. Władze powołały międzynarodową komisję, która potwierdziła orzeczenie prokuratury.

Ruszyła nowa fala terroru. Republika Federalna znalazła się nad przepaścią. 7 kwietnia 1977 r. w Karlsruhe został zastrzelony prokurator generalny, Siegfried Buback. 30 lipca zabito przewodniczącego zarządu Dresdner Bank, Jürgena Ponto. 5 września uprowadzono Hannsa-Martina Schleyera – przewodniczącego Niemieckiego Związku Przemysłowców, szefa Niemieckiego Związku Pracodawców oraz członka zarządu koncernu Daimler-Benz. Za jego uwolnienie RAF zażądała wypuszczenia swoich 11 przywódców. Tym razem rząd RFN okazał się bardziej stanowczy – mimo próśb rodziny porwanego przemysłowca władze nie podjęły dialogu z terrorystami.

13 października, aby wywrzeć presję na władze Niemiec, oddział palestyńskich terrorystów porwał samolot Lufthansy „Landshut". Na jego pokładzie znajdowało się 91 osób. W reakcji kanclerz Schmidt wysłał do Mogadiszu elitarną jednostkę GSG9. 18 października komandosi odbili maszynę z rąk Palestyńczyków. Kilka godzin później trzej przywódcy RAF już nie żyli – oficjalny komunikat stwierdzał, że Ensslin się powiesiła, a Baader i Raspe zastrzelili się z przemyconych do cel pistoletów. Jeszcze tego samego dnia władze ogłosiły zwycięstwo nad lewackim terrorem. Nazajutrz francuska żandarmeria odnalazła pod Miluzą porzucone audi 100. W jego bagażniku znajdowały się zwłoki 62-letniego Schleyera.

KONIEC LEGENDY

Po śmierci przywódców RAF straciła impet. Zjednoczenie Niemiec osłabiło ją jeszcze bardziej. Ostatnimi ofiarami lewaków byli dyrektor Deutsche Banku, Alfred Herrhausen, i szef Niemieckiego Urzędu Powierniczego, Detlev Karsten Rohwedder. 20 kwietnia 1998 r. RAF ogłosiła rozwiązanie grupy. Tym samym najbardziej bezwzględna w powojennej historii Niemiec organizacja terrorystyczna przeszła do historii. W sumie wojna z lewackim terroryzmem kosztowała życie 146 osób.

Obecną sytuację w Polsce trudno porównywać z procesami społecznymi w RFN sprzed pięciu dekad. Niemniej wydarzenia niemieckiej jesieni i to wszystko, co do niej doprowadziło, powinny polskim elitom dać do myślenia. Bycie politykiem wymaga przecież nie tylko umiejętności sprawowania władzy, lecz także przede wszystkim odpowiedzialności. Najnowsza historia Niemiec niech będzie dla nas przestrogą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, pisarzem i menedżerem. W latach 1987–2004 mieszkał i publikował za granicą. Wydał cztery książki. Był prezesem fundacji i dyrektorem Biura Prasowego Energa. Obecnie kieruje Redakcją Programów Publicystycznych TVP3 Gdańsk.

eprasa.pl d508e00ca9

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ukochane Wilno!

Stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego, ojczyzny moich przodków. Jeżdżę tam co roku i za każdym razem czuję się jak w domu. Wiem, że to bardzo niepoprawne politycznie, ale w Wilnie czuję się lepiej niż w Warszawie – mieście, w którym się urodziłem i mieszkam całe życie.

Wilno jest nie tylko najpiękniejszym miastem byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, lecz także miastem tragicznym. Napadane, palone, grabione i okupowane przez nieprzyjaciół. Jego mieszkańcy byli mordowani, wypędzani, deportowani. Szczególnie okrutny dla wilniuków był wiek XX, w którym Niemcy i bolszewicy zmienili kształt demograficzny miasta. Niemcy wymordowali niemal wszystkich Żydów. A bolszewicy wypędzili większość Polaków.

Moja miłość do Wilna sprawiła, że w najnowszym – jak zwykle świetnym – numerze „Karty" najbardziej zaciekawił mnie fragment wspomnień Haliny Górskiej, mieszkanki Wilna, która po II wojnie światowej nie porzuciła rodzinnego miasta. I zapłaciła za to wysoką cenę. W 1950 r. została aresztowana przez sowieciarzy.

„Siostra, blada i przerażona, płakała w kącie" – wspominała. „Mamie nie pozwolili nawet wstać z łóżka. Biedna, siedziała skulona w pościeli i bezradnie patrzyła swymi niewidzącymi oczyma. – Nie martw się, mamuń – powiedziałam. – To jakieś nieporozumienie. Zobaczysz, zaraz wrócę. Wróciłam po sześciu latach i pięciu miesiącach".

Halina Górska została wysłana do łagru w Kazachstanie. Po drodze trzymano ją na osławionej moskiewskiej Łubiance. Tam po raz pierwszy zetknęła się z sowieckimi więźniarkami kryminalistkami. „Nazywają ją Galia Cyklop, bo ma tylko jedno oko" – pisała o jednej z kryminalistek. „Olbrzymka, ręce jak bochny, bary jak u atlety. Opowiada mi z lubością, że niedawno tymi rękoma zadusiła »jak kurczaka« starą Żydówkę, bo ta nie chciała jej oddać swej porcji chleba".

Halina Górska miała szczęście i – w przeciwieństwie do wielu innych wilniuków – przetrwała łagry. Wiedziała jednak, że musi opuścić rodzinne miasto. Jak napisała, „dalsze trwanie na miejscu równałoby się samozagładzie". Serce się kraje. ©℗

★★★★★★
„KARTA"
92/2017

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wileński gotyk

Wilno nazywa się miastem baroku i faktycznie większość jego historycznych budowli reprezentuje ten styl architektoniczny. To skutki straszliwego kataklizmu z połowy XVII w., gdy 8 sierpnia 1655 r. miasto zostało zdobyte przez Rosjan. Grabież trwała trzy doby, Wilno płonęło przez następne 17 dni. Zginęło 20 tys. mieszkańców (blisko połowa ludności).

Apokalipsę w Wilnie przetrwały dwie gotyckie świątynie

Wprawdzie miasto odbudowano w stylu barokowym, ale apokalipsę przetrwały dwie piękne gotyckie świątynie położone tuż przy brzegu Wilejki. Filigranowy kościół św. Anny jest budowlą niezwykłej urody, to fantastyczny przykład gotyku płomienistego, schyłkowej mutacji tego stylu architektonicznego. Kościół wywołuje wręcz ekstatyczne uczucia zachwytu, a na jego urodę nie pozostał obojętny nawet Napoleon Bonaparte, który po zajęciu Wilna w 1812 r. stwierdził, że chciałby „postawić św. Annę na dłoni i przenieść do Paryża".

Przez swoje długie dzieje świątynia niemal nieprzerwanie pełniła funkcje sakralne, czego nie można powiedzieć o znajdującym się na jego tyłach kościele Bernardynów. Budowla prezentuje się odmiennie, to wileński gotyk o charakterze obronnym, a nie ozdobnym. Miała też znacznie mniej szczęścia od kościoła św. Anny, po II wojnie światowej została zamknięta i przeznaczona na magazyn. I gdy po raz pierwszy wszedłem do jej wnętrza w 2002 r., nie mogłem uwierzyć, jakie rozmiary może osiągnąć dewastacja zabytkowego wnętrza. Właściwie pozostały tylko mocno uszkodzone detale architektoniczne, natomiast reszta wyglądała jak po trzęsieniu ziemi. Nie było już jednak zalegającego gruzu, dlatego też widać było, że także po dawnych posadzkach nie pozostał nawet ślad.

Pamiętam przerażenie w oczach mojego 10-letniego wówczas syna. Chłopak chodził po zrujnowanej świątyni, z niedowierzaniem kręcąc głową, a gdy zauważył skarbonkę na datki na renowację kościoła, zapytał, czy może tam wrzucić wszystkie swoje litewskie lity z kieszonkowego. Skinąłem głową, jego gest tak mnie wzruszył, że przez chwilę nie byłem w stanie nic powiedzieć.

Kiedy ponownie odwiedziłem kościół w 2012 r., sytuacja wyglądała już znacznie lepiej. Do pełnej rekonstrukcji było wprawdzie jeszcze daleko, ale świątynia pełniła już funkcje sakralne. Niestety, wprawdzie nabożeństwa odbywały się w kilku językach, nie było wśród nich jednak polskiego. To częsty przypadek nad Wilią, gdzie w wielu kościołach nasz język używany jest wyłącznie na skrzynkach przeznaczonych na ofiary wiernych… ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ POWSTANIA MARIĄ GUTOWSKĄ!

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Sławomir Koper – **Masakra w domu Polańskiego**
Maciej Rosalak – Jak karano homoseksualistów
Marek Gałęzowski – **Żydzi przeciw bolszewikom**
Grzegorz Wołk – Inwigilacja Macierewicza
Rafał A. Ziemkiewicz – Adolf Hitler superstar
Roger Moorhouse – **Zamach w Wilczym Szańcu**
Mikołaj Iwanow – Polska w planach Stalina

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl d508e00ca9

Chaos w Białym Domu

Jacek Przybylski

Głośne dymisje, współpracownik o niewyparzonej gębie, ostre tweety i jeszcze mocniejsze słowa prezydenta skierowane pod adresem oponentów

Pierwsze półrocze Donalda Trumpa nie było usłane różami, ale ostatnie dni to bodaj najgorszy okres tej prezydentury. Po pierwsze, do kosza trafił sztandarowy projekt 45. prezydenta, a więc reforma wprowadzonego za prezydentury Baracka Obamy systemu opieki zdrowotnej. Obalenie znienawidzonego przez konserwatystów Obamacare było zaś jedną z najważniejszych obietnic przedwyborczych Donalda Trumpa. Tymczasem przed kluczowym głosowaniem prezydent nie zadbał o wystarczającą liczbę politycznych sojuszników. I kolejny raz dostał po nosie od polityków z Partii Republikańskiej. Chociaż republikanie mają większość w Senacie, to do odrzucenia Obamacare nie doszło ze względu na bunt trzech republikańskich senatorów, którzy zagłosowali tak jak teoretycznie będący w mniejszości senatorowie demokratyczni. Trump na porażkę zareagował w swoim stylu: wdał się w publiczną wojnę z republikańskimi senatorami i szybko otrzymał brutalną lekcję uprawiania polityki. Jak się okazało, nazywanie potencjalnych sojuszników „głupcami" i „totalnymi nieudacznikami" nie ułatwia przekonania senatorów do pilnego wznowienia prac nad zniesieniem Obamacare i przyjęciem zmian proponowanych przez Biały Dom.

MUCHA W GABINECIE

Wśród swych podwładnych przywódca Ameryki również zachowywał się tak, jakby pomylił prezydenturę ze swoim dawnym reality show. Słynne „zwalniam cię" usłyszał m.in. Reince Priebus, szef personelu Białego Domu. Urzędnik, który od stycznia piastował jedno z najważniejszych stanowisk w prezydenckiej administracji, zapisze się na kartach historii jako człowiek, który utrzymał się na tym stołku najkrócej w historii. Przy okazji do opinii publicznej przedostały się słowa nowego dyrektora ds. komunikacji w Białym Domu – Anthony'ego Scaramucciego – który w rozmowie z reporterem „New Yorkera" w wulgarnych słowach wyrażał się o bliskim doradcy Trumpa Stevie Bannonie, a Priebusa nazwał „pieprzonym paranoicznym schizofrenikiem" i oskarżył go o przekazywanie mediom poufnych informacji. Priebus już wcześniej nie należał do ulubieńców prezydenta i był uważany raczej za łącznika między Trumpem a establishmentem Partii Republikańskiej. Był więc z tego powodu publicznie upokarzany przez samego Donalda Trumpa. Nawet w Waszyngtonie – mieście, w którym aby skutecznie działać, trzeba mieć wyjątkowo grubą skórę – opowiadano z wypiekami na twarzach, jak prezydent wezwał niegdyś pilnie do siebie Priebusa i przy świadkach nakazał mu… zabić latającą po gabinecie muchę. Według „The Washington Post" były szef sztabu był z tego powodu wielokrotnie obiektem drwin wśród innych pracowników Białego Domu.

Sam Scaramucci zdołał utrzymać stanowisko zaledwie 10 dni. Dyrektor ds. komunikacji wyleciał z roboty (formalnie „zrezygnował") zaledwie kilka godzin po tym, jak swoją funkcję zaczął piastować następca Priebusa: czterogwiazdkowy generał John Kelly. Ponoć to nowy szef personelu zażądał dymisji wulgarnego współpracownika. Z Białym Domem pożegna się również wkrótce Sean Spicer, rzecznik prezydenta Donalda Trumpa, który dymisję złożył tuż po mianowaniu Scaramucciego. Według dziennika „The Hill" Spicer ostrzegał prezydenta, że ta nominacja to błąd, i teraz ani myśli wycofywać rezygnację, tłumacząc się dużą liczbą „intratnych propozycji". Zresztą sam Spicer był podejrzewany o autorstwo kompromitujących Trumpa „przecieków", więc wątpliwe, aby prezydent rzeczywiście mocno zabiegał o jego pozostanie.

RUSSIAGATE

Jakby Donaldowi Trumpowi mało było konfliktów, prezydent zaangażował się również w otwartą wojnę z powołanym przez siebie prokuratorem generalnym i ministrem sprawiedliwości Jeffem Sessionsem. Gospodarz Białego Domu publicznie oznajmił, że jest rozczarowanym faktem, iż zasłużony 70-letni senator wyłączył się z nadzoru nad śledztwami w sprawie ingerencji Rosji w amerykańską kampanię wyborczą. Sessions podjął taką decyzję po tym, jak „The Washington Post" ujawnił, że nowy prokurator generalny i minister sprawiedliwości przed wyborami – jako doradca Trumpa ds. zagranicznych – dwukrotnie spotkał się z rosyjskim ambasadorem Siergiejem Kislakiem, aby omówić politykę Waszyngtonu wobec Moskwy. Śledztwo prowadzone przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera oraz komisje ds. wywiadu w Izbie Reprezentantów oraz w Senacie rozwija się w błyskawicznym tempie i zatacza coraz szersze kręgi. Sam prezydent zdaje się zaś mieć wiele powodów, aby obawiać się szybkich sukcesów śledczych. Wśród potencjalnych podejrzanych znajdują się bowiem już nie tylko współpracownicy Trumpa z czasów kampanii wyborczej (tak jak zdymisjonowany na początku roku doradca ds. bezpieczeństwa gen. Michael Flynn), lecz także sam syn amerykańskiego przywódcy. Z ujawnionej korespondencji e-mailowej wynika bowiem, że Donald Trump junior był gotowy zaakceptować pomoc Kremla w zdobyciu haków na rywalkę ojca w wyścigu do Białego Domu: Hillary Clinton. W zeszłym tygodniu z kontaktów z Rosjanami – zarówno podczas kampanii, jak i już po ogłoszeniu wyników wyborów – musiał się też tłumaczyć na Kapitolu zięć prezydenta Jared Kushner.

– Jestem rozczarowany prokuratorem generalnym. Nie powinien odsuwać się od śledztwa. A jeśli zamierzał się z niego wyłączyć, to powinien mi o tym powiedzieć przed objęciem urzędu. Po prostu wybrałbym kogoś innego – oznajmił prezydent na konferencji prasowej zorganizowanej pod koniec lipca. Wcześniej Donald Trump otwarcie krytykował wyznaczonego przez

eprasa.pl d508e00ca9

siebie prokuratora generalnego w wywiadzie dla „New York Timesa", a na Twitterze określił Sessionsa mianem m.in. „BARDZO słabego".

GROŹBA IMPEACHMENTU

Prezydent miał zapewne nadzieję, że regularne połajanki skłonią prokuratora generalnego do rezygnacji z urzędu. Wówczas Trump mógłby próbować powołać na to stanowisko kogoś, kto wymyśli jakiś sposób na to, aby pozbyć się Roberta Muellera i jego ludzi (sam prezydent nie może tego zrobić). Taki ruch wywołałby gigantyczną polityczną awanturę i przywoływałby wspomnienia z 1973 r., gdy Richard Nixon podjął decyzję o zdymisjonowaniu specjalnego prokuratora ds. badania afery Watergate, Archibalda Coxa, który mimo zdecydowanych próśb prezydenta nie przestawał domagać się wydania taśm z nagraniami rozmów w Białym Domu. Wrzawa, jaka podniosła się wówczas w Stanach Zjednoczonych, zmusiła Nixona do rezygnacji z urzędu.

Prokurator Sessions okazał się jednak odporny na ataki zwierzchnika.

Poparcie dla Trumpa spadło więc w zeszłym tygodniu do najniższego poziomu od początku prezydentury. Według sondażu Quinnipiac University działania prezydenta Donalda Trumpa popiera zaledwie 33 proc. Amerykanów. To najgorszy wynik spośród przywódców USA z ostatnich 70 lat. Trudno się jednak temu dziwić, skoro niedawno prezydent zdołał zaliczyć poważną wizerunkową wpadkę nawet podczas spotkania z amerykańskimi harcerzami. Przemawiając podczas National Scout Jamboree w Wirginii Zachodniej, był pierwszym prezydentem, który zamiast wygadywać tradycyjne komunały o służbie publicznej i postawie obywatelskiej, wygłosił do harcerzy tak mocno upolitycznioną przemowę, że dyrektor National Scout Jamboree w liście do skautów oficjalnie przeprosił za wystąpienie i odciął się od politycznej retoryki prezydenta.

Oczywiście ocena prezydentury Donalda Trumpa w dużej mierze zależy od tego, jaką stację telewizyjną oglądają wyborcy. Jeśli śledzą CNBC, to obecny gospodarz Białego Domu jawi się jako najgorszy przywódca Ameryki w dziejach tego kontynentu, prezydent, którego rządy zagrażają nie tylko Stanom Zjednoczonym, lecz także grożą globalną katastrofą. Wystarczy jednak zmienić kanał na Fox News, aby być świadkami ślepej obrony niemal wszystkich poczynań Donalda Trumpa. Nie brakuje też zwolenników prezydenta, którzy uważają każdy atak na swego ulubieńca za nieamerykański. Przykładem niech będzie choćby ocena sytuacji w Białym Domu. Donald Trump oświadczył na Twitterze, że „nie ma chaosu w Białym Domu". Podobnego zdania jest tylko 33 proc. wszystkich Amerykanów, a 60 proc. ankietowanych w sondażu portali Politico i Morning Consult uważa zaś działania prezydenta za „bardzo chaotyczne" lub „trochę chaotyczne". Po uwzględnieniu partyjnych sympatii sondaż ten nie wygląda już aż tak tragicznie. 63 proc. zwolenników Partii Republikańskiej uważa bowiem, że Biały Dom „funkcjonuje sprawnie". Trzeba też przyznać, że – wbrew pozorom – prezydent Trump odnosi czasem sukcesy. W zeszłym tygodniu senat zatwierdził nominację na szefa FBI Christophera Wraya, którego w czerwcu zgłosił na to stanowisko prezydent Trump po wyrzuceniu z pracy Jamesa Comeya. Amerykański przywódca otwarcie przyznał wówczas, że powodem dymisji Comeya był m.in. sposób prowadzenia przez biuro rosyjskiego śledztwa. Miesięcznik „The Atlantic" zwraca też uwagę, że administracja Trumpa osiąga sukcesy m.in. w znoszeniu regulacyjnych ograniczeń, zwłaszcza dotyczących ochrony środowiska oraz wymiaru sprawiedliwości.

Mimo to wyborcy z coraz większą niecierpliwością czekają na przegłosowanie zapowiadanych od dawna przez prezydenta ustaw, dotyczących m.in. reformy systemu podatkowego czy wielkiego programu modernizacji amerykańskiej infrastruktury. Przywódcy Partii Republikańskiej mają zaś świadomość, że jeśli pilnie nie uda się osiągnąć konkretnych sukcesów, to w przyszłorocznych wyborach do Kongresu może spotkać ich przy urnach sroga kara. Im bliżej wyborów, tym więcej kongresmenów i senatorów zamiast myśleć o interesie kraju czy partii, będzie więc głosować tak, aby uratować swoje miejsce w Kongresie.

FOT. GETTY IMAGES

A w jego obronie stanęło wielu republikanów. Dalsze próby odwołania Muellera niosą więc ze sobą ryzyko, że Nixon przestanie być jedynym – jak dotąd – prezydentem USA, który ustąpił ze stanowiska przed końcem kadencji. Trump może być kolejnym. Ryzyko impeachmentu rośnie zaś niemal z tygodnia na tydzień. Niedawno okazało się np., że obecny prezydent osobiście dyktował synowi treść oświadczenia, w którym Donald Trump junior zapewniał, że w czasie spotkania z przedstawicielami Moskwy nie rozmawiano o tym, jak pogrążyć Hillary Clinton, co – jak już dziś wiadomo – było kłamstwem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. GETTY IMAGES

Piotr Semka

Administracja Donalda Trumpa na poważnie zajęła się problemem nielegalnych imigrantów. I udowadnia, że chcieć to móc, dając przykład Europie

Stany ryglują granice

Za rządów prezydenta USA Donalda Trumpa liczba prób nielegalnego przekraczania granic obniżyła się o 70 proc. Liczba aresztowań nielegalnych imigrantów już przebywających na terenie USA wzrosła o 40 proc." – tę informację ogłosił 18 lipca na konferencji prasowej Thomas Homan, szef Immigration and Customs Enforcement (ICE) – agencji federalnej odpowiedzialnej za ochronę granic USA i ściganie nielegalnych imigrantów.

„Niezależnie od stosunku do prezydenta Trumpa rezultaty zmian na lepsze w pracy ICE są trudne do zakwestionowania" – wskazał Homan. Dane podane przez szefa agencji nie przypadną do gustu amerykańskim działaczom na rzecz imigrantów, którzy jeszcze do niedawna twierdzili, że walka z nielegalną imigracją jest po prostu niemożliwa do wygrania.

PREZYDENCKI PARASOL

W USA jest obecnie ok. 12 mln nielegalnych imigrantów, ale w tym roku 400 tys. z nich może być deportowanych – ocenił Homan. Wzrost skuteczności ICE powiązał z klimatem politycznym nowej prezydentury.

„Prezydent Trump mówi nam jasno – teraz możecie się zająć swoją robotą" – powiedział szef ICE w telewizji Fox News. Konserwatywni kongresmeni wielokrotnie wskazywali za czasów Obamy, że w policji imigracyjnej panował klimat obaw, iż zbytnie zaangażowanie i stanowczość w ściganiu przybyszy – głównie z Meksyku i państw Ameryki Środkowej – mogą ściągnąć na nich zarzuty ksenofobii lub rasizmu i wywołać zarzuty organizacji obrony praw człowieka. „Teraz nasi funkcjonariusze czują, że ich służba ma znaczenie" – podkreśla szef agencji.

Thomas Homan został powołany na swoje stanowisko 30 stycznia 2017 r., tuż po objęciu władzy przez Trumpa. Homan ma wiele cech, które mogły spodobać się nowemu gospodarzowi Białego Domu. Służy w ICA od ponad 30 lat – wstąpił w jej szeregi w 1986 r., za czasów Ronalda Reagana. Kowbojski styl, o który oskarżano Reagana, można wyczuć także w dosadnym słownictwie Homana. „Będziemy stosować wobec gangów [przemytników ludzi – przyp. P.S.] prawo bez żadnego przepraszania. Mój »gang« jest większy od ich gangów i nie zawahamy się ich wykopać z granicy" – żartował w Fox News. Gdy powiedział publicznie, że „nielegalni imigranci powinni żyć w strachu przed deportacją", media żądały od niego przeprosin. Nie przeprosił.

Homan zaczynał od stanowiska zwykłego funkcjonariusza patroli granicznych i doskonale zna realia pracy na terenach najbardziej narażonych na próby szmuglu ludzi. Potem został specjalistą od przesłuchań zatrzymanych handlarzy ludźmi i stopniowo awansował na coraz wyższe stanowiska. W niczym nie przypomina przysyłanych niekiedy za czasów demokratów szefów zza biurka, którzy nigdy nie posmakowali wielogodzinnej pracy patrolowej w upale i kurzu pogranicza, za to byli niezwykle wrażliwi na postulaty lewicowych grup wsparcia nielegalnych przybyszy.

Sukcesy ICE nie były jedynymi dokonaniami prezydenta USA w kwestii nielegalnych imigrantów. W styczniu br. Trump zakazał dekretem wpuszczania do Ameryki obywateli z sześciu islamskich państw: Libii, Iranu, Somalii, Sudanu, Syrii oraz Jemenu w trybie tymczasowym. Kolejne sądy stanowe zakwestionowały legalność dekretu, blokując jego działanie. W końcu sąd najwyższy podtrzymał go

eprasa.pl d508e00ca9

w mocy, choć sprawę jego konstytucyjności rozpatrzy dopiero w październiku, przy rozszerzeniu listy osób bliskich mogących odwiedzać członków rodziny, które zalegalizowały swój pobyt w USA.

WYZWANIE DLA „SANKTUARIÓW"

Sukcesy w uszczelnieniu granicy pozwalają na zwiększenie liczby agentów imigracyjnych wysyłanych do działań już na terenie USA, szczególnie w tzw. Sanctuary Cities. Największe to: Atlanta, Nowy Orlean, Los Angeles, San Francisco, Nowy Jork, Chicago i Filadelfia.

W sumie takich miast i gmin, będących azylem, jest ok. 300. Wszystkie one zadeklarowały, że nie będą wydawać pieniędzy miejskich na identyfikowanie nielegalnych imigrantów. W praktyce oznacza to, że miejska policja nie jest zobowiązywana do legitymowania osób, które mogą być podejrzewane o brak zgody na pobyt w USA, ani nie ma obowiązku współpracy z agentami ICE.

Polskiemu czytelnikowi to dość anarchiczne zachowanie miast łatwiej dziś zrozumieć niż jeszcze parę lat temu. U nas prezydenci Gdańska, Sopotu i Poznania także otwarcie kontestują dziś politykę rządu Beaty Szydło w sprawie imigrantów.

Zjawisko „Sanctuary Cities" to wynik nacisków lobby lewicy partii demokratycznej, działaczy praw człowieka i części organizacji religijnych. Wszystko pod znanym także nad Wisłą hasłem: „Żaden człowiek nie jest nielegalny".

Homan uznaje zjawisko „miast azyli" za skandal i tego nie kryje. Jak podaje PAP, na konferencji 18 lipca stawiał sprawę jasno: „Ameryka, w której ja się wychowałem, nie osłaniała osób łamiących prawo".

Administracja Trumpa próbuje w Kongresie przeforsować w budżecie federalnym obcięcie funduszy dla „miast azyli", ale mało kto sądzi, że zmieni to ich politykę .

Na razie ICE korzysta z uszczelnienia granic i zwolnionych funkcjonariuszy wysyła do „miast azylowych" w celu wyłapywania nielegalnych imigrantów.

Trump zaakceptował już plan powiększenia stanu osobowego agencji o 10 tys. nowych funkcjonariuszy. Wszystko po to, aby nielegalni imigranci w USA nie czuli się – jak to mówi wprost Hamon – „zbyt komfortowo".

KANADYJSKI RAJ

Ten „brak komfortu" przyniósł już nowe zjawisko – ucieczkę nielegalnych przybyszy z Meksyku i Ameryki Łacińskiej przez granicę do Kanady. Północny sąsiad USA rządzony jest obecnie przez lewicującego premiera Justina Trudeau.

Gdy w styczniu Trump wydał dekret o zakazie wjazdu dla obywateli sześciu państw arabskich, Trudeau demonstracyjnie podkreślił wolę swojego kraju, by dalej przyjmować uchodźców. Na Twitterze napisał on „do wszystkich, którzy uciekają przed prześladowaniami, terrorem i wojną. Kanada przyjmie was, niezależnie od waszej wiary. Nasza siła leży w różnorodności".

Nic dziwnego, że szybko północną granicę USA zaczęli przekraczać ludzie obawiający się agentów ICE. Imigrantów nietrudno zrozumieć. W hiperliberalnej Kanadzie panuje w najlepsze polityka pobłażliwości dla imigrantów jak za czasów Baracka Obamy w USA. W decyzjach „nielegalnych" zwycięża prosty rachunek zysków i strat. Po co narażać się na groźbę aresztowania przez agentów ICE, skoro pod bokiem jest Kanada ze swoją własną wersją „Willkommenskultur". Kanadyjscy konserwatyści wskazują, że liberalna polityka „ubogacania" oznacza falę nowych uciążliwych przybyszy.

A amerykański prezydent jest zapewne zadowolony z nowego trendu. Można podejrzewać, że na taką migrację amerykańskie służby graniczne patrzą zapewne przez palce. Kanadyjscy działacze lewicy wręcz się szczycą, że Kraj Klonowego Liścia przyjmuje z tak otwartymi ramionami uciekinierów z „opresyjnego państwa Trumpa".

BĘDZIE MUR?

Spadek prób naruszenia granicy o 70 proc. przypomina starą prawdę o znaczeniu czegoś, co można nazwać „wolą polityczną". Długie lata zmuszeni byli znosić retorykę lewicowych liberałów, przedstawiających ich jako prześladowców „ludzi mających prawo do marzeń o lepszym życiu".

Trump walił na odlew, obiecując na wiecach deportację z kraju 11 mln nielegalnych przybyszy. Budził grozę nowojorskich dzienników, głosząc na początku swojej kampanii, że „Meksyk wysyła nam najgorszych ludzi, gwałcicieli i przestępców". Było to uogólnienie, ale ci spośród demokratów, którzy oburzali się na te słowa, nie chcieli przyznać, że jest w nich trochę prawdy. Zamiast zastanowienia się, dlaczego w stanach graniczących z Meksykiem takie obcesowe słowa wzbudzały oklaski, demokraci woleli wygłaszać tyrady, jak to naznaczanie grup etnicznych krzywdzącymi epitetami „budzi skojarzenia z nazizmem". Jeszcze mocniej irytowały zwykłych Amerykanów pouczenia, że nielegalnej imigracji nie da się zastopować, co przypomina obecne głosy lewicy w Europie na temat migracji z Afryki.

Trump pokazuje, że jednak chcieć to móc. Wzmożenie kontroli granicy, jej uszczelnienie i obawa przed stanowczością służby granicznej już mają wpływ na kalkulacje meksykańskich gangów. Gdy realnie wzrasta ryzyko przemytu, lepiej przerzucić się na łatwiejsze branże mafijne, np. handel narkotykami. Jednakże migracja „nielegałów" do Kanady też nieco rozwiązuje problem. Wszystko to ułatwia Trumpowi wyplątanie się z wyborczej obietnicy budowy muru na granicy z Meksykiem. Tak naprawdę mur na wszystkich odcinkach realnie umożliwiających przekroczenie granicy już istnieje. Nie ma go na terenach pustynnych lub trudno dostępnych. Poparcie postulatów jego budowy przez wyborców było raczej wyrazem frustracji wywołanej bezradnością ICE za czasów Obamy.

Trumpowi przyprawiono już gębę rasisty, mizogina, seksisty. Dodatkowa gęba prześladowcy imigrantów prezydenta nie martwi

Trump głosi, że pieniądze na budowę muru mają być w budżecie, ale nie pali się do jego budowy z racji obaw o wizerunek USA. Wiadomo, że zdjęcia muru na granicy z Meksykiem zestawiano by z jego berlińskim odpowiednikiem z lat zimnej wojny. Uszczelnienie granicy jest na razie efektywniejsze i też wywołuje zadowolenie wyborców.

Trumpowi przyprawiono już gębę rasisty, mizogina, seksisty i militarysty. Dodatkowa gęba prześladowcy imigrantów, którą przyklejają mu jego lewicowi przeciwnicy, gospodarza Białego Domu nie martwi. To nie lewicowi aktywiści będą jego wyborcami. Thomas Homan i ICE nie muszą się martwić o brak wsparcia prezydenta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

WAKACYJNE IMPREZY W GRECJI NIE DLA BRYTYJCZYKÓW

Jak wiadomo z doniesień polskiej prasy mainstreamowej, to Polacy są najgorszymi turystami na świecie – bo stawiają parawany na plażach, bo rezerwują sobie miejsca na leżakach, są głośni i klaszczą pilotom po wylądowaniu. Niestety, Grecy najwyraźniej nie czytają polskich gazet, bo za najbardziej niepożądanych uznali... Brytyjczyków. Kurort Malia, położony na północnym wybrzeżu Krety, właśnie przestaje przyjmować turystów z Wysp. Władze tego wypoczynkowego miasteczka miały niedawno anulować ponad 10 tys. rezerwacji dokonanych przez obywateli Wielkiej Brytanii. Przekonały do tego większość właścicieli 137 hoteli. Wycieczki Brytyjczyków w wieku 18–30 lat nie mają szans na miejsca noclegowe. Powód jest prosty i znany m.in. z Krakowa. – Malia to nie miejsce, które ma słynąć z seksu, narkotyków i imprezowego życia – tłumaczył mediom wiceburmistrz Efthymios Moutrakis.

FOT. FOTOLIA

WIELKA UCIECZKA Z MASŁEM

Dwunastu przestępców uciekło z więzienia w Jasper w amerykańskim stanie Alabama. Zwiali, używając masła orzechowego. A dokładniej – zasmarowali masłem numer na drzwiach prowadzących na zewnątrz i wykorzystali niedoświadczonego strażnika, którego poprosili o otworzenie tych „drzwi do celi". Tym sposobem wydostali się z budynku. Potem na drucie kolczastym położyli koce i zwiali na wolność. Nie za długo cieszyli się jednak życiem bez pomarańczowych uniformów. W ciągu ośmiu godzin złapano 11 z nich.

JAK RATUJE NIEMIECKA MŁODZIEŻ

Włoska prokuratura udowodniła, że niemieckie zaproszenie imigrantów do Europy realizowane jest w praktyce w dość zaskakujący sposób. W porcie na Lampedusie zatrzymano statek należący do niemieckiej organizacji pozarządowej Jugend Rettet (Młodzież Ratuje). Jak wynika z filmów przedstawionych przez włoskich śledczych, statek ten częściej zajmował się przejmowaniem migrantów prosto ze statków przemytników niż rzeczywistymi akcjami ratunkowymi. To nie wszystko – młodzi Niemcy odholowywali potem motorówkę łodzie na libijskie wybrzeże, zwracając je przemytnikom. Podsłuch założony na statku zarejestrował działaczkę niemieckiej organizacji, która pouczała, że nie wolno włoskim władzom przekazywać zdjęć, na których widoczne byłyby twarze przemytników.

CHIŃSKI BOT UKARANY

Japońska telewizja NHK poinformowała, że chiński program komputerowy BabyQ, który miał jako sztuczna inteligencja szkolić się w rozmowie z ludźmi, został zamknięty. Powód? Algorytm zaczął krytykować chińską partię komunistyczną. Na wpis użytkownika: „Hurra dla komunistycznej partii!" sztuczna inteligencja miała odpisać: „Czy naprawdę chcesz wznosić ten okrzyk na rzecz tak skorumpowanej i niekompetentnej siły politycznej?". A propagandowe hasło: „Chiński sen" tłumaczył jako marzenie o emigracji do USA. Algorytm stworzony przez firmę Turing Robot umieszczony był w serwisie społecznościowym koncernu Tencent.

PIERWSZY ZGON PRZEZ OPERACJĘ PENISA

30-letni Szwed został uznany za pierwszy w medycynie przypadek pacjenta, który zmarł podczas operacji powiększania penisa. Ten uznawany za prosty i bezpieczny zabieg przeprowadza się u ok. 8 tys. mężczyzn rocznie. Szwed, który chciał mieć dłuższe i grubsze przyrodzenie, dobrze przeszedł pierwszą część operacji. Podczas drugiej komórki tłuszczowe powędrowały do jego żył płucnych. Zator płucny doprowadził do zawału. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **ŁUKASZ ZBORALSKI**

eprasa.pl d508e00ca9

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.
Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY

SEJM
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:

ORLEN

Energa

PARTNER GŁÓWNY:

PGNiG

PARTNER WYDARZENIA:

LOTTO

MECENAS:

PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/

eprasa.pl d508e00ca9

Jacek Przybylski

Zakaz

Władze Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Norwegii oraz Indii chcą zabronić sprzedaży pojazdów z silnikami Diesla i benzynowymi. Na drogach mają zostać tylko hybrydy lub auta z napędem elektrycznym

Moje następne auto będzie elektryczne – ogłosił Ben van Beurden, zapowiadając, że już we wrześniu przesiądzie się z diesla do limuzyny z napędem hybrydowym. Ta wypowiedź zelektryzowała inwestorów. Kiedy bowiem o przesiadce na napęd elektryczny mówi prezes brytyjsko-holenderskiego koncernu Royal Dutch Shell – jednej z największych firm paliwowych na świecie – to jasny sygnał, że zbliżamy się do rewolucji, która na zawsze zmieni nie tylko rynek motoryzacyjny. Przyniesie ona również ogromne zmiany w sektorze energetycznym, a także wymusi budowę kompletnie nowej infrastruktury.

NIEMCY W TARAPATACH

Już teraz politycy prześcigają się w deklaracjach dotyczących zakazu wjazdu do miast aut z silnikami spalinowymi. W ramach walki o czystsze powietrze władze Wielkiej Brytanii zapowiedziały, że od 2040 r. wprowadzą całkowity zakaz sprzedaży nowych samochodów, które pod maską będą miały silniki spalinowe. Do 2050 r. wszystkie auta i furgonetki mają być wyłącznie elektryczne.

Nieco wcześniej podobną deklarację złożył francuski minister środowiska Nicolas Hulot: Francja do 2040 r. całkowicie zakaże sprzedaży samochodów napędzanych silnikami spalinowymi.

Jeszcze wcześniej aut z jednostkami benzynowymi i wysokoprężnymi na ulicach swoich miast nie chcą norwescy politycy, którzy w czerwcu ogłosili, że zamierzają wprowadzić zakaz sprzedaży w swoim kraju nowych „spalinówek" już od 2025 r. Również od 2025 r. nowych aut tylko z silnikami spalinowymi nie będzie można kupić w Holandii.

Wkrótce miłośnicy diesli będą mieć poważne problemy nie tylko z kupnem nowych samochodów tego typu, lecz także z poruszaniem się po europejskich metropoliach już sprzedanymi autami. Wszystko przez oszustwa producentów samochodów z jednostkami wysokoprężnymi, które sprawiły, że auta te trafiły pod lupę nie tylko ekologów, lecz także zachodnich polityków. Gdy w 2015 r. Amerykanie ujawnili, że Volkswagen sprzedał samochody wyposażone w oprogramowanie do fałszowania testów emisji spalin, niemiecki koncern musiał przyznać, że oszustwo dotyczyło aż 12 mln aut, z czego dwie trzecie zatruwa powietrze Europejczykom. Kłopoty nie dotyczą jednak tylko Volkswagena. Pod koniec lipca okazało się, że fałszywe dane o emisji spalin mogą podawać również systemy montowane przez Porsche.

Władze Paryża, Madrytu czy Aten zapowiedziały, że w ciągu najbliższych lat wprowadzą całkowity zakaz ruchu samochodów z jednostkami wysokoprężnymi. W przypadku stolicy Francji zakaz ma obowiązywać od 2020 r. Już teraz po ulicach Paryża nie mogą się poruszać samochody z silnikami Diesla, które zostały wyprodukowane przed 2000 r. W Londynie – w którym od lat z powodzeniem funkcjonują strefy niskoemisyjne, przeznaczone m.in. dla aut hybrydowych – od 2020 r. obowiązywać mają strefy zeroemisyjne, po których będą mogły jeździć jedynie samochody elektryczne.

Zakazy wjazdu dla najbardziej trujących aut, zwłaszcza starszej generacji, obowiązują również w Berlinie, Monachium czy Hamburgu. Nad zaostrzeniem restrykcji dotyczących emisji spalin – które mogą zacząć obowiązywać w najbliższej przyszłości – pracują już także władze takich miast jak Hamburg, Monachium czy Stuttgart. Pod koniec lipca sąd administracyjny w Stuttgarcie – czyli rodzinnym mieście takich motoryzacyjnych gigantów jak Porsche czy Mercedes-Benz – orzekł, że lokalne władze mogą zgodnie z prawem wprowadzić czasowy zakaz wjazdu samochodów z silnikiem Diesla. Uzasadniając

eprasa.pl d508e00ca9

Elektryczna Tesla Model 3 potrafi przejechać 355 km, a od 0 do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 5,6 s

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/ FOTOLIA

wjazdu

precedensowe orzeczenie, sędziowie przekonywali, że zdrowie mieszkańców jest ważniejsze od interesów kierowców trujących samochodów, a zakaz wjazdu do miasta dla diesli jest „najskuteczniejszym instrumentem służącym obniżeniu poziomu trującego dwutlenku azotu".

Problem w tym, że w 2016 r. prawie połowa samochodów sprzedanych na Starym Kontynencie miała pod maską jednostki wysokoprężne. Niemieccy producenci, którzy zainwestowali ogromne pieniądze w rozwój technologii czystszych silników Diesla, robią więc, co mogą, aby odroczyć datę pogrzebu aut z jednostkami wysokoprężnymi. Cel jest prosty: sprawić, aby były mniej trujące dla środowiska, i powstrzymać polityków przed forsowaniem najbardziej radykalnych rozwiązań.

W lipcu przedstawiciele koncernu Daimler ogłosili, że zamierzają wydać 220 mln euro na wprowadzenie takich zmian w oprogramowaniu ponad 3 mln mercedesów z silnikiem Diesla, aby emitowały one mniej toksyn. Podobną akcję ogłosiło również Audi, zachęcając do wizyt w warsztatach właścicieli niemal 900 tys. aut z wysokoprężnymi jednostkami pod maską.

Takie działania to jednak wciąż za mało. Próbie znalezienia wyjścia z trującej pułapki poświęcone było więc zorganizowane w zeszłą środę w Berlinie Narodowe Forum Diesla, podczas którego przedstawiciele koncernów samochodowych przekonywali polityków, aby nie zamykać bram do miast dla produkowanych przez nich samochodów. O przyszłość drżą bowiem nie tylko właściciele akcji niemieckich koncernów motoryzacyjnych, lecz także setki tysięcy ich pracowników (w sumie zatrudniają one w Niemczech 800 tys. osób) oraz kilkanaście milionów posiadaczy aut z jednostkami wysokoprężnymi, z których część na wszelki wypadek już wystawiła na sprzedaż swoje samochody.

Po drugiej stronie barykady stoją ekolodzy, a także mieszkańcy tych metropolii, w których powietrze znacząco przekracza dopuszczalne limity emisji tlenku azotu. Kwestia rewolucji w motoryzacji stała się więc jednym z najbardziej kontrowersyjnych tematów przed wrześniowymi wyborami w Niemczech. Oszustwa firm motoryzacyjnych stanowią zaś paliwo dla przeciwników kanclerz Angeli Merkel. Socjaldemokraci oraz niemieccy Zieloni argumentują, że władze w Berlinie za mało zrobiły, aby zmusić producentów do walki z zanieczyszczeniem powietrza, i żądają dużo twardszego podejścia do egzekwowania norm emisji spalin. I mają duże szanse, by zbić na tym polityczny kapitał – z opublikowanego przez „Bild" sondażu wynika bowiem, że aż dwie trzecie Niemców chce, aby rząd surowiej karał koncerny za naruszanie norm, a nieco ponad połowa ankietowanych uważa, iż cała branża nie jest już godna zaufania.

Podczas forum w Berlinie dyskutowano więc nad pakietem ratunkowym. Najwięksi producenci zobowiązali się do zmodernizowania oprogramownia w 5 mln samochodów z dieslem tak, aby ograniczyć emisję trującego dwutlenku azotu o ok. 25–30 proc.

W niedalekiej przyszłości w grę mają też wchodzić specjalne promocje zachęcające do kupna samochodów elektrycznych, a także zachęty finansowe mające sprawić, że z niemieckich dróg znikną najbardziej trujące auta. Pytanie tylko, czy oszukanym właścicielom diesla odszkodowania powinny płacić tylko koncerny, czy też w akcji błyskawicznego usuwania trucicieli będą partycypować też niemieccy podatnicy. Skandal jest bowiem na tyle poważny, że cień, który pada obecnie na niemiecką branżę motoryzacyjną, może wkrótce przenieść się też na inne sektory niemieckiej gospodarki i osłabić reputację hasła: „Made in Germany". Ostrzegał przed tym w zeszłym tygodniu m.in. Jean-Claude Juncker. – W Europie istnieje poważny problem z dieslami, którego źródłem są Niemcy. Powodem jest intensywna polityka eksportowa niemieckiego przemysłu motoryzacyjnego – zaznaczył szef Komisji Europejskiej.

INWAZJA „ELEKTRYKÓW"

Podczas gdy niemieccy producenci zacięcie walczą w obronie jednostek wysokoprężnych, niektórzy giganci nie

eprasa.pl d508e00ca9

Do hybrydowej limuzyny Mercedesa we wrześniu przesiądzie się nawet szef koncernu paliwowego Royal Dutch Shell FOT. MATERIAŁY PRASOWE

mają już wątpliwości co do przyszłości nie tylko diesli, lecz także silników spalinowych jako takich. W lipcu szefowie Volvo jako pierwsi przedstawiciele jednego z gigantów motoryzacji ogłosili, że już od 2019 r. będą produkować wyłącznie samochody z napędem elektrycznym (całkowicie elektryczne lub hybrydowe).

Z kolei przedstawiciele Grupy PSA – producent samochodów marki Peugeot i Citroën – zadeklarowali, że do 2023 r. samochody elektryczne lub hybrydowe będą stanowić aż 80 proc. sprzedawanych przez nią nowych aut. Eksperci ING prognozują zaś, że najpóźniej w 2035 r. producenci samochodów sami wycofają się z produkcji aut z jednostkami spalinowymi.

Elektromobilność to też jeden z priorytetów obecnego rządu w Polsce. Wicepremier i minister rozwoju Mateusz Morawiecki już w 2016 r. przekonywał, że za 10 lat po Polsce może już jeździć milion aut elektrycznych. Tak zwana strategia Morawieckiego przewiduje m.in. rozwój niskoemisyjnego taboru transportu miejskiego, rozbudowę infrastruktury przeznaczonej do ładowania pojazdów elektrycznych, a także stworzenie polskiego samochodu elektrycznego (w połowie obecnego roku do kolejnego etapu zakwalifikowano ponad 60 projektów nadwozia polskiego „elektryka").

Za utworzeniem stref niskoemisyjnych w centrach miast, pod warunkiem że przełoży się to na poprawę jakości powietrza, opowiada się 68,9 proc. Polaków – wynika z badania przeprowadzonego dla Polskiego Stowarzyszenia Paliw Alternatywnych. Większość ankietowanych docelowo jest też gotowa zaakceptować zamknięcie centrów miast dla aut z silnikiem Diesla, a nawet – jeśli nie stanie się to z dnia na dzień – zakaz wjazdu dla samochodów z tradycyjnym napędem.

Zaletą posiadania „elektryka" już teraz jest zarówno oszczędność na paliwie

Nowy Nissan Leaf ma mieć ponad 500 km zasięgu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Volvo od 2019 r. ma produkować tylko auta z silnikiem elektrycznym FOT. MATERIAŁY PRASOWE

(przejechanie 100 km w zależności od apetytu na energię danego modelu kosztuje ok. 6–8 zł, a w niektórych miejscach można korzystać z darmowych szybkich ładowarek). Do tego odpadają kosztowne przeglądy, wymiana oleju etc. Obecnie największym problemem posiadaczy samochodów wyłącznie elektrycznych jest ich niewielki zasięg, który – jak wynika z testów publikowanych na łamach „Do Rzeczy" – w zależności od marki i stylu jazdy waha się najczęściej od 130 do 200 km. Tymczasem punktów ładowania jest wciąż o wiele za mało. Na szczęście producenci wprowadzają nowe modele, których zasięg jest już dużo większy. Pod koniec lipca do pierwszych klientów trafiła Tesla Model 3, czyli pierwsze auto tego producenta, które jest w mediach określone mianem „elektryka dla mas". Model 3 nie jest aż taki tani, jak sugerują niektórzy komentatorzy, bo kosztuje równowartość 120 tys. zł. Na jednym ładowaniu potrafi przejechać 355 km, może jechać z prędkością nawet 210 km/godz., a od 0 do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 5,6 s. Na wrzesień Nissan zapowiedział z kolei debiut Leafa z bateriami o pojemności nawet 60 kWh, które mają pozwolić na przejechanie na jednym ładowaniu ponad pół tysiąca kilometrów.

Niestety, cena nowego samochodu hybrydowego lub całkowicie elektrycznego wciąż jest jednak sporo wyższa od auta z tradycyjnym spalinowym napędem. Według ING coraz niższe koszty akumulatorów sprawią jednak, że najpóźniej w 2028 r. ceny „spalinowców" i „elektryków" będą na tym samym poziomie.

Z raportu Bloomberg New Energy Finance wynika, że popyt na nowe samochody elektryczne przewyższy sprzedaż aut z silnikami spalinowymi w ciągu najbliższych dwóch dekad. Zanim kwestię tę ureguluje rynek, rządy państw aktywnie promują kupno samochodów elektrycznych. Na przykład w Norwegii rząd wprowadził rozbudowany system zachęt i ulg. Wśród nich są m.in. zwolnienie z podatku VAT, obniżony podatek drogowy, zwolnienie z opłat za przejazd płatnymi drogami, darmowe parkingi w centrach miast, a także możliwość korzystania z buspasów.

Według Bloomberga do 2040 r. „elektryki" mają stanowić jedną trzecią wszystkich aut na świecie. Ta rewolucja w motoryzacji doprowadzi też do zmian na rynku ropy naftowej – w 2040 r. globalna produkcja czarnego złota ma bowiem wynosić jedynie 8 mln baryłek dziennie, czyli nieco więcej niż dziś sprzedaje na rynku sama Arabia Saudyjska. Szefowie koncernów paliwowych już dzisiaj otwarcie przyznają, że zakładają, iż niskie ceny tego surowca – które z poziomu niemal 150 dol. za baryłkę nagle spadły do poziomu 30–50 dol. za baryłkę – mogą utrzymać się już trwale.

Rewolucja na rynku motoryzacyjnym to również szansa dla polskiego przemysłu. Już w zeszłym roku LG Chem rozpoczął budowę wartej niemal 1,3 mld zł fabryki baterii w Biskupicach Podgórnych – to pierwsza w Europie fabryka masowej produkcji akumulatorów litowych do aut elektrycznych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY
poleca

Najbardziej osobista książka Szewacha Weissa
Za co najmocniej kocha Polskę?
Jak toczyć bitwę o prawdę historyczną, by ją wygrać?
Kulisy spotkań z najwybitniejszymi politykami świata w XX w.

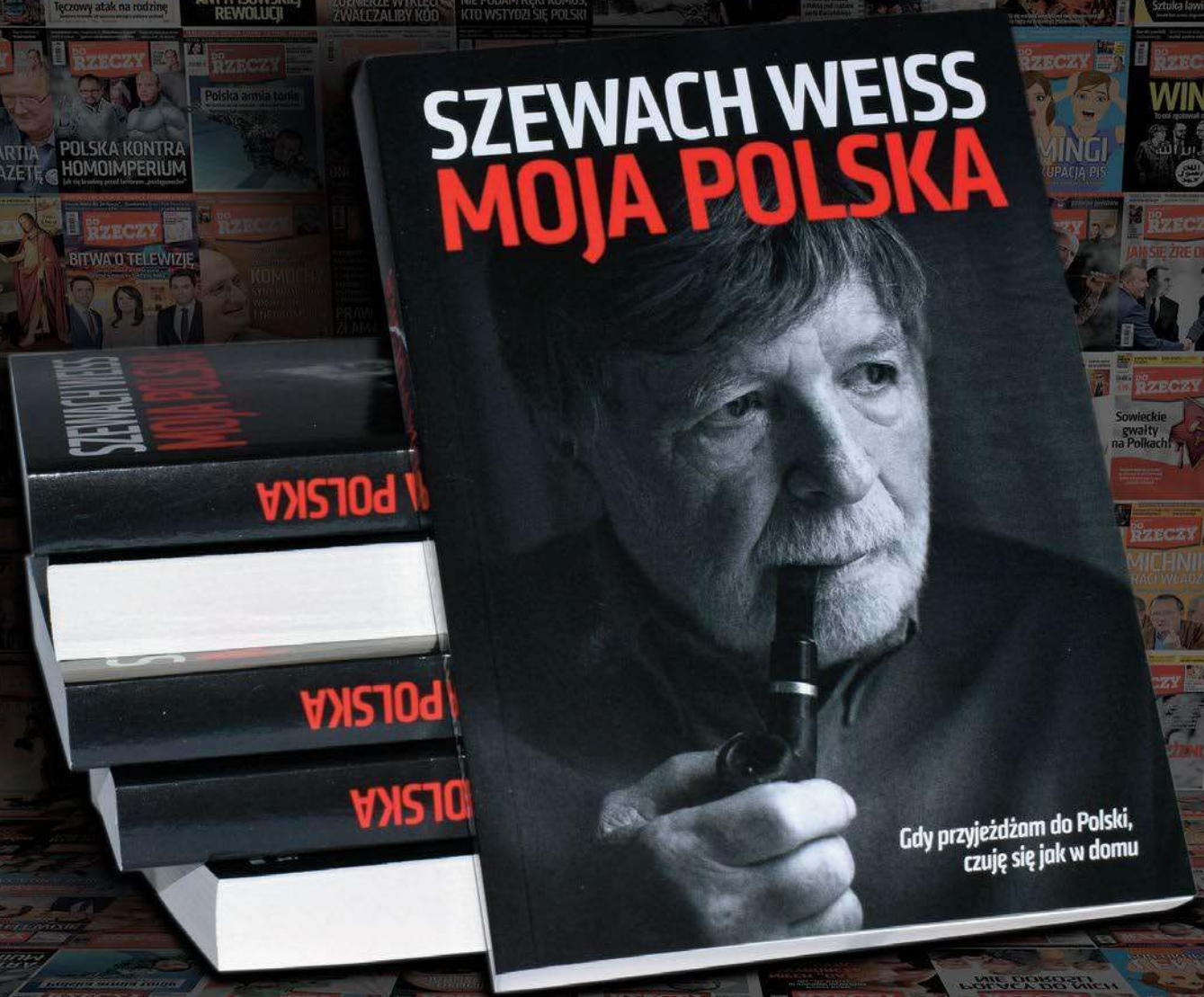

Książka dostępna w placówkach Poczty Polskiej
oraz u wydawcy: prenumerata@pmpg.pl

Europejska pułapka Tukidydesa

FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

eprasa.pl d508e00ca9

Tomasz Wróblewski

Niemcy gotowe są odegrać nową globalną rolę kosztem amerykańskich wpływów w Europie. Konflikt jest nieunikniony

O przyszłej wojnie światów przywykliśmy myśleć standardami zimnej wojny. Rosja, Chiny kontra NATO. Eksperci snują swoje wizje, żołnierze ćwiczą scenariusze, a korporacje szykują nową broń i tak od 1949 r. Jeżeli dotąd żaden z tych scenariuszy się nie ziścił, to właśnie dlatego, że są do bólu przewidywalne. A co, gdyby nagle pojawił się nowy katalizator, zapalnik – scenariusz, którego nikt nie brał pod uwagę? Wewnętrzny rozpad – otwarty amerykańsko-niemiecki konflikt, który rośnie nam jak na drożdżach.

Niedługo minie 30 lat od końca zimnej wojny, a my wciąż wierzymy, że kolejna wojna będzie toczona w imię tych samych wartości, z powodu których skończyła się poprzednia. Czy to w obronie naszej demokracji, czy naszych wolności zagrożonych jakimiś izmami albo fanatyzmem religijnym. Pretekst mogą dać Korea Północna, Rosja z jedną aneksją za daleko czy islamskie zamieszki, przeradzające się w paneuropejskie powstanie. Każdy z tych scenariuszy był po wielekroć przerabiany i do każdego, lepiej czy gorzej, Zachód jest przygotowany. Do wybuchu konieczny jest ekstrazapalnik. Coś, co zaskoczy, nagle osłabi czujność Zachodu. Coś, czego dziś nikt nie bierze pod uwagę, a o czym historycy za 20–30 lat powiedzą: „Przecież to było widać jak na dłoni. Dwie najpotężniejsze gospodarki zachodniej hemisfery rywalizujące o wpływy, rynki i modele gospodarczej ekspansji".

COŚ SIĘ ZMIENIA NA ZACHODZIE

Wbrew liberalnej retoryce to nie Trump poróżnił Amerykę z Niemcami. Konflikt jest większy niż spór o wydatki na zbrojenia, politykę klimatyczną, migracyjną, większy niż kary nakładane na niemieckie banki czy firmy samochodowe, a nawet sankcje nałożone na rosyjskich dostawców energii do Niemiec. To wszystko są zaledwie odpryski poważnego przetasowania na arenie międzynarodowej, gdzie Niemcy gotowe są odegrać nową globalną rolę kosztem amerykańskich wpływów w Europie.

O tupecie i pewności siebie Niemców napisano już bardzo wiele. O strofowaniu przez nich Trumpa za wycofanie się z paktu klimatycznego. O szydzeniu z greckiej gnuśności, pouczaniu i karaniu każdego, kto nie stosuje się do niemieckich norm ekologicznych czy nie poddaje się planom relokacji imigrantów.

Za tym nowym, niemieckim poczuciem moralnej wyższości stoją oczywiście twarde liczby, doskonałe wyniki gospodarcze i to one najbardziej niepokoją Amerykę. Niemiecka nadwyżka w handlu zagranicznym to już ponad 300 mld dol. (o 50 mld więcej niż to, czym szczycą się Chiny). Z samymi Stanami Zjednoczonymi Niemcy mają 56 mld dol. nadwyżki. Pół biedy, gdyby wynikało to wyłącznie z jakości sprzedawanych produktów. Gorzej, że przewagę zapewniają im sama konstrukcja strefy euro i wewnętrzne mechanizmy, które wymuszają nieustanny wzrost i poszerzanie rynków zbytu. Coś, co tak dobrze znamy z historii i co nigdy dobrze się nie kończyło.

Stratedzy i historycy wojskowości nazywają taki stan pułapką Tukidydesa. 2400 lat temu grecki historyk w „Wojnie peloponeskiej" opisał okoliczności, w których „wojna stała się nieunikniona", mimo że nikt tak naprawdę jej nie chciał, nikomu do niczego nie była potrzebna, a na koniec mogła tylko wszystkim zaszkodzić. Potężna Sparta ze strachu przed rosnącą potęgą Aten zmuszona była szykować się do wojny, a Ateny, widząc to, stanęły do boju.

Tak jak w starożytnej Grecji, tak w miarę rozrastania się niemieckiej potęgi gospodarczej zmieniają się też ramy zachodniego świata. Sławne już słowa wypowiedziane przed szczytem G20: „Europa już nie może liczyć na Amerykę" w dyplomatycznym języku znaczą ni mniej, ni więcej jak tylko: „Wynoście się już z naszego podwórka. Sami będziemy robili porządki w Europie".

Kiedy przyjrzymy się teraz genezie wcześniej wspomnianych przestrzeni konfliktu, zobaczymy, że wszystkie wpisują Niemcy i Amerykę w model opisany przez Tukidydesa. Nikt oczywiście nie mówi dziś o zbrojnym starciu, ale na pewno o konfrontacji, której żadna ze stron nie może uniknąć, a zachodni świat może na tym tylko stracić.

NORD STREAM ALBO ZGIŃ

Niemcy są dziś największym konsumentem rosyjskiego gazu w Europie i nie przypadkiem jako pierwsze zaprotestowały przeciwko amerykańskim sankcjom nałożonym na rosyjskie spółki energetyczne. Tego protestu nie da się oczywiście porównać z rosyjską ripostą i wydaleniem amerykańskich dyplomatów, niemniej Berlin odebrał to jako atak na swoje bezpieczeństwo energetyczne.

Rosja zaspakaja dziś 40 proc. niemieckiego zapotrzebowania na gaz. Według firmy doradczo-analitycznej – Wood Mackenzie Ltd. – do 2025 r. uzależnienie Niemiec od rosyjskiego gazu wzrośnie do 50 proc. Nord Streem 2, który zostanie objęty amerykańskimi sankcjami, nie jest kaprysem czy złośliwością Niemiec względem Ukrainy i Polski. To jest warunek dalszej ekspansji gospodarczej, utrzymania dotychczasowego tempa wzrostu, a także konkretnych zobowiązań wyborczych samej Angeli Merkel, która zobowiązała się zredukować emisję CO_2 o 40 proc. do 2020 r. Przy czym warunkiem było zastąpienie elektrowni węglowych gazowymi. Projekt dodatkowo miał zarabiać na siebie marżą z odsprzedaży gazu dalej Holandii, Belgii i na wschód – Polsce, Czechom, Węgrom. Przemyślny plan, który zapewniał Niemcom strategiczną pozycję głównego hubu energetycznego w Europie, a jednocześnie uzależniał od siebie państwa Europy Środkowej, a także Rosję, która stawała się zakładnikiem Berlina.

Końcowy tekst ustawy przyjętej przez amerykański Kongres został nieco złagodzony. Ostatecznie sankcjami objęte zostały firmy energetyczne z 30-procentowym udziałem rosyjskiego kapitału. We wcześniejszym brzmieniu było to 10 proc. To pewna ulga, ale nie dla Niemiec, których

Nikt nie mówi dziś o zbrojnym starciu, ale o konfrontacji, której żadna ze stron nie może uniknąć, a zachodni świat może na tym tylko stracić

eprasa.pl d508e00ca9

projekty, z Nord Stream 1 i 2 na czele, powstały w oparciu o rosyjski kapitał. Na odstrzał wystawione zostały dodatkowo takie projekty jak Baltic LNG – projekt Shella i Gazpromu, Blue Stream – rurociąg zarządzany przez spółkę Gazpromu i włoską firmę Eni, CPC – własność Shella, Eni i Rosneftu. Wszystkie były częścią misternej siatki budującej z Niemiec potentata energetycznego.

KLIMATYCZNA ZASADZKA

Z rewolucją energetyczną Merkel związane są również plany technologicznej ekspansji Niemiec. Berlin już kilka lat temu nastawił się na inwestycje w technologie OZE. O sukcesie najlepiej niech świadczą słowa Trumpa, który przy okazji wycofania Ameryki z postanowień paryskich zauważył, że: „Pakt klimatyczny niewiele ma wspólnego z naprawą klimatu, ale dużo z wymuszeniem wyśrubowanych standardów, które zmuszą inne państwa do kupowania niemieckiej technologii". Niezależnie od tego, czy faktycznie była to świadoma polityka niemieckiego rządu, z całą pewnością kraje takie jak Polska postawione zostałyby pod ścianą wobec klimatycznego szantażu i miliardowych kar za emisję nadmiaru CO oraz zmuszone byłyby szukać ratunku w niemieckich koncernach z ich turbinami wiatrowymi, hybrydowymi elektrowniami czy magazynami energii.

Nic dziwnego, że Niemcy odebrali wycofanie się Ameryki z porozumień paryskich jako wrogie działanie czy nieuczciwą konkurencję wymierzone w niemiecką strategię gospodarczą. Zwłaszcza w kontekście planów amerykańskich ekspansji energetycznych. Początki są nader skromne, zaledwie kilka testowych dostaw amerykańskiego gazu LNG do dwóch europejskich portów. Jednak zapowiedzi Trumpa i uruchomienie nowych możliwości wydobywczych na Alasce oznaczają nowego gracza na rynku.

NIEMIECKA UMOWA SPOŁECZNA

Niemiecka gospodarka może nie jest największa na świecie, ale z pewnością należy do najprężniejszych. Wysokiej jakości sprzęt specjalistyczny, maszyny, urządzenia budowlane, medyczne, linie produkcyjne – wszystkie produkty gwarantujące wysokie marże – od lat są domeną niemieckich firm. Jednak tym, co zapewniło Niemcom faktyczną przewagę na rynku, jest unikalny kontrakt społeczny. Przed laty rząd kanclerza Shrödera zawarł umowę ze związkami zawodowymi, obiecując niskie bezrobocie w zamian za kontrolę płac. Niższe czy – jak woli rząd w Berlinie – optymalne pensje oznaczają, że niemieckie firmy mogą w okresie koniunktury więcej inwestować bez obaw, że za chwilę wystrzelą im w górę roszczenia płacowe. Ponieważ Niemcy, w stosunku do swojego PKB, zarabiają mniej niż pracownicy w innych państwach UE, mają też mniej pieniędzy na kupowanie importowanych dóbr. Co prawda w zeszłym roku płace w Niemczech wzrosły o 2,3 proc., ale mimo dobrej koniunktury to był gorszy wynik niż rok wcześniej. Niemieckie wydatki na konsumpcję w stosunku do PKB spadły poniżej 54 proc. Dla porównania: wydatki na konsumpcję w Polsce to 58 proc. PKB, w Wielkiej Brytanii – 65 proc., a w Stanach Zjednoczonych – 69 proc.

Rząd w Berlinie tłumaczy to koniecznością oszczędzania na trudne czasy kryzysu demograficznego. Brzmi logicznie, choć niewiele ma to wspólnego z rzeczywistością. Średnia stopa oszczędności niemieckiego gospodarstwa domowego praktycznie nie zmienia się od 35 lat. Tymczasem gwałtowny wzrost nadwyżek firm i państwa to kwestia ostatnich lat.

W systemie naczyń połączonych, jakim jest strefa euro, trwałe nadwyżki w jednym miejscu okupione są niedoborem w innych państwach. Żeby zapłacić za niemieckie maszyny czy samochody, Grecy musieliby sprzedawać coraz więcej swoich produktów. Ponieważ Niemcy nie chcą więcej konsumować, Grecy muszą inwestować w nowe maszyny, żeby zwiększając produkcję, obniżyć koszty. A skoro nie mają własnych pieniędzy, muszą pożyczać – wiadomo – od Niemców. W ten sposób wpadają w błędne koło zadłużenia, które większość państw Południa postawiło już na krawędzi bankructwa. Co ciekawe, te wielomiliardowe kredyty czy nawet bezzwrotna pomoc zawsze wychodzą Niemcom na zdrowie. Według ostatnich danych niemieckie banki zarobiły na „pomaganiu" 1,34 mld euro. W tym kontekście fascynująca była niedawna wypowiedź dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Sigmara Gabriela, wicekanclerza i ministra spraw zagranicznych Niemiec, który na pytanie, czy Niemcy muszą wiecznie łożyć na kraje takie jak Grecja czy Polska, niespełniające ich oczekiwań, odpowiedział: „Prawda jest taka, że Niemcy nie są europejskimi płatnikami netto, ale wygranymi netto. Każde euro, które wkładamy do budżetu UE, rozmnaża się i ta nadwyżka płynie z powrotem do nas". A każde powracające euro to jeszcze większe wpływy i jeszcze ściślejsza kontrola nad państwami Unii.

PRZEKLEŃSTWO EURO

W normalnych rynkowych warunkach potężny nowoczesny niemiecki przemysł wymuszałby też wzrost wartości rodzimej waluty. Wraz z nadwyżką handlową rosłaby dawna niemiecka marka, dając innym państwom pole do konkurencji. Jednak Niemcy nie mają już marki. Mają euro obarczone długami Grecji, bankrutującymi bankami Włoch, francuskim deficytem budżetowym. Wartość euro jest systemowo zaniżona, co daje Niemcom trwałą przewagę na światowych rynkach. Angela Merkel na ostatnim szczycie G20 usiłowała tłumaczyć Trumpowi, że nadwyżki handlowe to nie jest tylko wina Niemiec, ale całej strefy euro. To, że ma rację, nie poprawia jednak niemiecko-amerykańskich relacji. Przeciwnie, utwierdza Amerykę w przekonaniu, że bez rozbicia Unii, a przede wszystkim strefy euro i mechanizmów chroniących niemiecką gospodarkę, USA nigdy nie odzyskają przewagi gospodarczej.

Wraz z nadwyżką handlową rosłaby dawna niemiecka marka, zostawiając innym państwom pole do konkurencji. Zaniżone euro daje Niemcom trwałą przewagę na światowych rynkach

Dzięki mądrej polityce wewnętrznej i sprytnej konstrukcji euro Niemcy przebyły długą drogę – od 3 proc. deficytu budżetowego w 2010 r. do nadwyżki na poziomie 8 proc. PKB w 2017 r. Niemiecki model ekonomiczno-polityczny genialnie służy Berlinowi, nie tylko do pomnażania rezerw i oszczędności, lecz także wymusza całkowite przemodelowanie postzimnowojennego porządku politycznego i wypchnięcie Ameryki z Europy, w której dwóm mocarstwom robi się już za ciasno. Tak jak w pułapce Tukidydesa – coś, na co Ameryka nie jest jeszcze gotowa, a z czego Niemcy ani myślą rezygnować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

ZAINWESTUJ W APARTAMENT

Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**

8%
stopa zwrotu

10 lat
umowa najmu z operatorem

30 lat
doświadczenia operatora

widok na góry i jezioro

wykończenie i wyposażenie w cenie

wprost

22 299 11 55 sprzedaz@lakehill.pl www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego. Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego, którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.

eprasa.pl d508e00ca9

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

USA obronią UE przed Niemcami?

Jak się okazuje, największy sojusznik UE, największy orędownik unijnej jedności i solidarności, w tym solidarności energetycznej i wojskowej, nie tylko nie należy do UE, lecz także nawet nie leży w Europie.

Albowiem to nie z Brukseli (czy Berlina lub Paryża), ale z Waszyngtonu płyną od miesięcy nie tylko dobre rady, lecz także realne wsparcie dla utrzymania w Europie jedności, a co za tym idzie – pokoju. USA niejeden raz ratowały Europę przed nią samą – obie wojny światowe są tego koronnym dowodem. Tym razem Ameryka postanowiła być mądra przed szkodą. Czyli zamiast być zmuszoną do wysyłania „swoich chłopców" do już ogarniętej wojenną pożogą Europy, stara się nie dopuścić do wybuchu (a może raczej rozlania się – z Ukrainy) czegoś gorętszego, groźniejszego niż zimna wojna. I dlatego to właśnie prezydent Trump oraz inni amerykańscy politycy zaczęli mocno naciskać na sojuszników z NATO, w tym z jego europejskiej części, by wreszcie zaczęli inwestować w obronę swych państw kwoty proporcjonalne do narastających zagrożeń.

A teraz dodatkowo starają się ustrzec Europę przed następstwami współczesnego odpowiednika paktu Ribbentrop-Mołotow (według celnych słów Radosława Sikorskiego sprzed lat), czyli niemiecko-rosyjskiej zmowy dotyczącej budowy wymierzonego w bezpieczną przyszłość Europy gazociągu Nord Stream. Pierwsza jego część, niestety, już działa, ale dopiero uruchomienie drugiej pozwoliłoby dostarczać z Rosji do zachodniej Europy już cały gaz z ominięciem Polski. A to doprowadziłoby do naprawdę trwałego podziału Europy: na część bez skrupułów – jak uczy historia, także najnowsza – szantażowaną bronią gazową przez Kreml (w której znalazłaby się m.in. Polska) i część położoną na zachód od nas, pod wodzą Niemiec – w szantażowaniu nas biorącą czynny udział. Zwłaszcza po przekazaniu Rosjanom przez Berlin kontroli nad swym gazociągiem OPAL, którym można byłoby tłoczyć gaz z Nord Stream 1 i 2 do całej Europy.

Waszyngton stara się przeciwdziałać temu fatalnemu scenariuszowi. Kongres USA przyjął – i to niemal jednomyślnie – ustawę o nałożeniu przez Stany Zjednoczone sankcji nie tylko na rosyjskie, lecz także na niemieckie, francuskie, holenderskie, austriackie i brytyjskie firmy, które wezmą udział w tym zgubnym dla przyszłości UE procederze. Dlatego każdy, kto dobrze życzy Europie – a zatem na pewno wszyscy Niemcy, tak ochoczo obstający za silną, zjednoczoną Unią Europejską – powinien trzymać kciuki za to, aby projekt Nord Stream 2 na zawsze pozostał wyłącznie na papierze. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Megatrendy

Podczas gdy czerskawica próbuje obalić demokratycznie wybrany rząd i zaprzedać Polskę obcym mecenatom, na świecie obserwujemy wiele zmian, które będą dla nas o wiele ważniejsze niż medialno-uliczne happeningi dziedziców okrągłego mebla. To technologiczna dominacja elit, która prowadzi do zniewolenia mas. To robotyzacja, która doprowadzi do jeszcze większego podziału na bogatych i biednych. To trwały spadek cen ropy, który połączony z absurdalną polityką migracyjną Europy doprowadzi do silnego spadku poziomu życia w krajach arabskich, konfliktów i jeszcze większego napływu obcych kulturowo nam ludzi.

> **Technologiczna dominacja elit prowadzi do zniewolenia mas**

Dwa miliardy ludzi spędza nawet kilka godzin dziennie na różnych serwisach społecznościowych. Zamiast rozwijać kompetencje, awansować, zakładać własne firmy, bogacić się – co pozwoliłoby na posiadanie więcej niż jednego dziecka – młodzi ludzie są „zanurzeni" w sieciach społecznościowych. Każdy lajk przekazuje prywatne dane technologicznym elitom, które je przetwarzają, aby jeszcze skuteczniej sprzedawać nikomu niepotrzebne produkty. Przeciętny Amerykanin ma trzy razy więcej rzeczy w domu niż kilka dekad temu. Został inteligentnie zmuszony do ich kupna. Technologie marketingowe wspierane przez sztuczną inteligencję jeszcze nigdy nie były tak skuteczne. Od firm, które naciągają samotnych staruszków na obłędnie drogie kredyty i kupno zestawów garnków za potrójną cenę, do spersonalizowanej komunikacji marketingowej, której nie można się oprzeć. Efektem są pękające w szwach szafy i długi na kartach kredytowych.

Do dramatycznych efektów doprowadzi gwałtownie postępująca robotyzacja, której flagowym przykładem jest nadchodząca dominacja elektrycznych samochodów samojezdnych.

Za 20–30 lat prawdopodobnie prowadzenie samochodu zostanie zakazane. Zawód kierowcy zniknie. Zniknie także wiele innych zawodów, takich jak prawnik zajmujący się standardowymi umowami, dziennikarz piszący na regularne tematy, obsługa w barach, urzędach czy bankach. Coraz bardziej efektywne globalne firmy będą zarabiały coraz więcej dla swoich właścicieli, a prości ludzie będą musieli szukać pracy. Czy ją jednak znajdą, skoro marnują czas w sieciach społecznościowych i przez to głupieją?

Zamiast organizować nic nieznaczące happeningi na ulicach, powinniśmy się zająć przygotowaniem na nadchodzące wyzwania XXI w. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl d508e00ca9

TEST „DO RZECZY": SŁUCHAWKI PANASONIC RP-HF400

Konkurencja na rynku słuchawek Bluetooth ciągle rośnie. Smartfony i phablety są już bowiem na tyle duże, że dłuższe rozmowy dużo przyjemniej prowadzi się bez trzymania przy uchu urządzeń z ponad 5-calowym ekranem. Brak kabli sprawia zaś, że nic nie ogranicza swobody ruchów, niezależnie od tego, czy będziemy słuchać muzyki ze smartfona, jadąc autobusem, czy odtwarzając muzykę z laptopa lub wieży Hi-Fi, będziemy chcieli się nieco dynamiczniej poruszać po mieszkaniu.

Głównymi zaletami testowanego modelu nausznych słuchawek Panasonica są: niewielka waga, długi czas pracy baterii oraz stosunkowo niska cena.

Słuchawki są estetycznie wykonane, a ich prosty, minimalistyczny design może się podobać. Moim zdaniem japońscy projektanci mogli jednak nieco bardziej się przyłożyć i dołożyć chociaż drobne elementy – np. imitację szczotkowanego aluminium – które sprawiałyby, że słuchawki wyglądałyby bardziej elegancko. Plastikowy pałąk jest łatwy w regulacji. Intuicyjnie położone są też przyciski służące do regulacji głośności, przełączania piosenek oraz odbierania i kończenia rozmów telefonicznych. Dzięki składanej do wewnątrz konstrukcji model ten dobrze sprawdza się zaś jako towarzysz wszelkich podróży. Szkoda jednak, że w zestawie nie ma choćby najprostszego futerału, bo plastikowy pałąk łatwo się rysuje.

Na pochwałę zasługuje zasięg słuchawek, który podczas testów znacząco przekraczał deklarowaną przez producenta odległość 10 m. Również sam proces parowania urządzenia ze źródłami dźwięku przebiega bezproblemowo.

Nauszniki są przyjemne w dotyku. A dzięki wyjątkowo niewielkiej wadze (zaledwie 130 g) można ich wygodnie używać przez długi czas bez strachu, że po kilku godzinach słuchania muzyki będziemy mieli wrażenie, iż za chwilę odpadną nam spocone uszy. Słuchawki na jednym ładowaniu mogą pracować do 20 godzin. W razie nagłej potrzeby 15 min ładowania za pomocą kabla USB pozwala na mniej więcej 150 min pracy.

Testowane słuchawki brzmią lepiej, niż można by się spodziewać po modelu w tej kategorii cenowej. I chociaż trudno by mi było je polecić audiofilom lub miłośnikom muzyki klasycznej, to miłośnicy muzyki pop, hip-hopu czy rocka nie powinni zbytnio narzekać. Brzmienie jest dość przyjemne dla ucha. Dobrze słychać nie tylko wyraźnie podkreślony bas, lecz także tony średnie. Niestety, wysokie pasmo brzmi już jednak bardzo nieśmiało.

Słuchawki dobrze nadają się na zamiennik zestawu głośnomówiącego. Wbudowany mikrofon dobrze zbiera głos i pozwala na wygodne prowadzenie rozmów telefonicznych.

Biorąc pod uwagę niewygórowaną cenę (189 zł) i niewielką wagę, może to być bardzo ciekawa propozycja dla osób, które szukają wygodnych, przenośnych słuchawek do autobusu, pociągu czy samolotu. ©℗ ***Jacek Przybylski***

ZAPACH, KTÓRY ZABIJA

Jechaliście kiedyś środkami komunikacji miejskiej w środku ciepłego lata, w tłumie ludzi? Jeśli tak, to zrozumiecie doskonale, dlaczego japoński gadżecik budzi spore zainteresowanie. Wydawałoby się, że w XXI w. higiena osobista to już oczywista oczywistość, niestety wciąż, także w naszym przepięknym kraju, bywa z tym różnie, i to niezależnie od płci. Kukun Body to urządzenie firmy Konica Minolta, które alarmuje swojego właściciela powiadomieniem na smartfon: „Sorry, stary. Zanim pójdziesz na randkę, wskocz pod prysznic, bo cuchniesz". Poważnie. Jak działa? Wystarczy przesunąć je w okolicę wrażliwych na pot punktów na naszym ciele: stóp, za uszy oraz w okolice pach, a czujniki przefiltrują oraz przeanalizują otaczający nas zapach. Urządzenie rozpoznaje kilka rodzajów nieprzyjemnego zapachu: od zwietrzałego potu i niemytego ciała do zapachu stęchlizny. Niestety, producent nie informuje, czy Kuku Body rozpoznaje także woń wczorajszego, przedwczorajszego i jeszcze wcześniej wypitego strawionego alkoholu, a to niestety zapaszek, z którym często w tłumie współpodróżnych w tramwajach czy autobusach mamy do czynienia. Kukun Body można zamówić na jednym z portali crowdfundingowych za równowartość ok. 1 tys. zł. Widzę tu jednak pewien problem. Ludzie dbający o higienę sami wiedzą, kiedy warto skorzystać z ciepłej wody, mydła i dezodorantu. Osoby będące z higieną na bakier wykryjemy sami – organoleptycznie – i żadne, nawet najdroższe urządzenie (no, chyba żeby zaczęło razić prądem) pewnie nie skłoni ich do czystości.

PANIE KIEROWCO, NIE ŚPIJ!

Każdy, kto regularnie – tak jak mnie się to zdarza – jeździ autostradą na trasie Poznań – Warszawa czy Warszawa – Gdańsk w poniedziałek rano, doskonale zdaje sobie sprawę, jak często i jakim problemem są niegroźne z pozoru stłuczki spowodowane przez niedospanych kierowców. Policjanci mówią, że obok alkoholu i nieumiejętności jazdy „zderzak w zderzak" najczęstszymi powodami kolizji drogowych – także powodowanych przez doświadczonych kierowców – są zmęczenie i chwilowa drzemka. O to zresztą na trasie łatwo – monotonna droga, w której jedynym krajobrazem są ohydne ekrany dźwiękoszczelne, brak towarzystwa, usypiająca muzyka. Steer to urządzenie naszpikowane czujnikami pozwalającymi rozpoznać aktywność organizmu poprzez analizę tętna, pracy serca i poziomu wilgoci w skórze. Analiza dokonywana jest co kilka minut i natychmiast, gdy urządzenie uzna, że kierowca zaczyna popadać w stan „przedsenny", razi go delikatnie, acz odczuwalnie, prądem. Steer można zamówić na Kickstarterze za ok. 500 zł, docelowo w sprzedaży kosztować będzie ok. 900 zł. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d508e00ca9

Rozmowa z prof. Maciejem Małeckim, prezesem Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego

Słodko-gorzki

Nowoczesne leki przeciwcukrzycowe są bezpieczne i zapewniają odpowiednią kontrolę cukrzycy, a także zmniejszają ryzyko zawału serca, udaru mózgu oraz przedwczesnej śmierci. – Brak tych leków na listach refundacyjnych staje się coraz trudniejszy do zrozumienia – mówi prof. Maciej Małecki, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.

AGNIESZKA FEDORCZYK: Czym jest cukrzyca?

PROF. MACIEJ MAŁECKI: Cukrzyca to jedna z najczęstszych chorób przewlekłych, charakteryzująca się występowaniem podwyższonego poziomu glukozy we krwi, będącego następstwem wytwarzania zbyt małej ilości insuliny albo jej zbyt słabego działania. W cukrzycy typu 2, która stanowi 90 proc. wszystkich przypadków tej choroby, oba defekty występują jednocześnie. Niewłaściwie leczona cukrzyca skraca życie, uszkadza ważne narządy i układy organizmu człowieka – oczy, nerki, naczynia krwionośne.

Mówi się o światowej epidemii cukrzycy. Czy to duży problem również w naszym kraju?

W Polsce na cukrzycę typu 2 choruje ok. 3 mln osób, przy czym kilkaset tysięcy osób z tej grupy nie zdaje sobie z tego sprawy. Drugie tyle ma stan przedcukrzycowy. Objawy choroby przez wiele lat są nieodczuwalne. Z cukrzycą typu 2 można funkcjonować nawet dekadę i nie być jej świadomym. Tymczasem jej konsekwencje są bardzo poważne. Warto podkreślić, że cukrzyca typu 2 jest jednostką chorobową, której można zapobiegać poprzez utrzymanie szczupłej sylwetki, aktywność fizyczną i racjonalne, to znaczy niskokaloryczne odżywianie, pozwalające na zachowanie prawidłowej masy ciała.

Co każdy powinien wiedzieć o pierwszych objawach choroby, żeby ją rozpoznać?

Cukrzyca typu 2 pojawia się u osób w wieku średnim i starszym. Ponieważ – jak już wspomniałem – u większości pacjentów nie występują żadne objawy i pierwszym sygnałem choroby może być dopiero jej powikłanie, np. zawał serca, ważne jest prowadzenie badań przesiewowych w jej kierunku. Polegają one na okresowym oznaczaniu poziomu cukru we krwi. Badanie krwi zlecone przez lekarza podstawowej opieki zdrowotnej pozwoli rozwiać wątpliwości, a w razie rozpoznania cukrzycy podjąć leczenie i wyhamować proces chorobowy.

Ostre objawy na początku choroby występują natomiast u pacjentów z cukrzycą typu 1. Do typowych symptomów można zaliczyć: nadmierne pragnienie i oddawanie dużych ilości moczu, osłabienie, niezamierzoną utratę masy ciała. Mogą również wystąpić infekcje skórne i intymne, a zapach acetonu z ust świadczy o stanie nagłego zagrożenia życia, jakim jest kwasica ketonowa.

Mówi się, że cukrzyca to złożona choroba metaboliczna, a utrzymanie prawidłowego poziomu cukru we krwi jest tylko jednym z wielu celów jej leczenia. Do czego może prowadzić niewystarczające leczenie, czyli np. niewystarczająca kontrola glikemii?

Pacjenci z cukrzycą umierają najczęściej z powodu jej powikłań, przede wszystkim na skutek chorób sercowo-naczyniowych – zawału serca i udaru mózgu. Cukrzyca uszkadza bowiem naczynia krwionośne, prowadzi do przedwczesnej miażdżycy.

Jak wygląda w Polsce leczenie cukrzycy? Czy obserwujemy różnice pod tym względem w porównaniu z innymi krajami Europy?

eprasa.pl d508e00ca9

FOT. FOTOLIA

Diabetologia, tak jak wiele innych dziedzin klinicznych w Polsce, to dyscyplina niedoinwestowana – jeśli chodzi zarówno o świadczenia zdrowotne, jak i refundację leków. W tej chwili jesteśmy w Europie na samym dole tabeli, jeśli chodzi o środki wydatkowane na pacjenta z cukrzycą. Przekraczamy nieznacznie tysiąc dolarów na rok. Dla porównania w Szwajcarii czy Norwegii wydatki te sięgają ok. 10 tys. dol. rocznie na osobę. O połowę więcej niż my na opiekę nad pacjentem z cukrzycą wydają nawet Czesi i Słowacy. Mimo to możliwości leczenia cukrzycy typu 1, dotykającej w szczególności dzieci i młodych osób, nie odbiegają od krajów Europy Zachodniej.

Dużo gorzej wygląda sytuacja pacjentów z cukrzycą typu 2. Żadna z nowoczesnych cząsteczek – to leki inkretynowe i tzw. flozyny – nie jest na liście refundacyjnej, mimo że są one powszechnie stosowane i w pewnym stopniu refundowane we wszystkich państwach Unii Europejskiej. W wielu krajach istnieje pełna refundacja obu klas cząsteczek. Te leki nie tylko obniżają poziom glukozy, lecz także przedłużają życie ludzkie i zmniejszają liczbę incydentów sercowo-naczyniowych oraz ułatwiają redukcję masy ciała. Ich stosowanie przyczynia się do spadku śmiertelności i wzrostu liczby osób, które na skutek choroby stają się inwalidami. Co ważne, nie powodują wzrostu ryzyka niedocukrzeń, czyli spadków poziomu cukru we krwi. Od wielu lat nie możemy się doczekać tego, żeby nowoczesne terapie w cukrzycy typu 2 stały się w Polsce powszechnie dostępne.

Flozyny mogą pomóc

Skuteczność odległa niektórych flozyn została potwierdzona badaniami rejestrowymi, czyli prowadzonymi w warunkach realiów lekarza praktyka, prowadzonymi wśród ponad 300 tys. pacjentów w USA i kilku krajach Europy.

Przełomowe badania nowoczesnych leków z grupy flozyn i inkretyn potwierdzają działanie, o którym pan mówił. Z kolei wiele się również pisze o wysokich kosztach, także społecznych, generowanych przez powikłania cukrzycy. Chodzi nie tylko o zawały i udary, lecz także stopę cukrzycową, retinopatię itp. Czy widzi pan szansę na to, że również płatnik dostrzeże i doceni działanie tych nowoczesnych leków?

Polscy diabetolodzy, eksperci w zakresie leczenia cukrzycy, od lat prezentują publicznie dostępne dane naukowe dotyczące tych cząsteczek i przedstawiają argumenty za koniecznością udostępnienia Polakom tych nowoczesnych, skutecznych leków przeciwcukrzycowych, które na świecie są dostępne, a u nas wciąż nie. Flozyny i inkretyny są nową jakością w leczeniu cukrzycy typu 2. Ich wartość przejawia się w trzech kategoriach: skuteczności, bezpieczeństwa oraz odległych efektów. Jeśli chodzi o skuteczność, to obniżają one poziom glukozy; jeżeli chodzi o bezpieczeństwo, to powodują mniejsze ryzyko hipoglikemii – niedocukrzeń. Gdy mówimy o skutkach odległych, dane pokazują, że zmniejszają one ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych, takich jak zawał serca i udar mózgu, a także obniżają ryzyko przedwczesnej śmierci. Po prostu przedłużają życie. Wobec takich argumentów brak refundacji tych leków staje się coraz trudniejszy do zrozumienia. Nie tracę jednak nadziei, że to się zmieni i leki będą dostępne w ramach finansowania przez państwo przynajmniej dla niektórych naszych pacjentów z cukrzycą typu 2.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmawiała Agnieszka Fedorczyk.

eprasa.pl d508e00ca9

Na właściwym torze

Łukasz Majchrzyk

Cuda się zdarzają. Jeszcze kilka lat temu Robert Kubica o mały włos nie zginął w wypadku, a teraz jest o krok od powrotu do ścigania się w Formule 1

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/FOTO OLIMPIK/REPORTER

To wisiało w powietrzu już od jakiegoś czasu. W czerwcu pojawiła się informacja, że Kubica jeździł bolidem Renault po torze w Walencji. To był model z 2012 r., czyli prawie taki, jaki Polak pamiętał ze swoich startów, jeszcze sprzed wypadku. Kilka zdjęć polskiego kierowcy w kombinezonie i kasku zespołu Formuły 1, do tego informacja, że przejechał 115 okrążeń, wystarczyły, by zelektryzować wszystkich kibiców. Kubica po swojemu narzekał na przyczepność samochodu, jego docisk, ale uśmiechał się od ucha do ucha.

Wciąż jednak nie było pewności, czy to jednorazowy prezent dla Polaka, zabawa, czy może kolejny etap planu, który ma doprowadzić polskiego kierowcę do ponownych startów w Formule 1? Zespół Renault jeszcze raz zaprosił Polaka za kierownicę bolidu z 2012 r., a w połowie lipca atmosfera znów się podgrzała, bo podobno Kubica ćwiczył na symulatorze teamu Red Bull, naśladującym zachowania bolidu z sezonu 2017 (w Formule 1 pięć lat to cała epoka, dlatego ważne było sprawdzenie zachowań Kubicy na współczesnym samochodzie).

I wreszcie stało się. Zespół Renault, czyli ten, którego zawodnikiem był Kubica, gdy doszło do feralnego wypadku, ogłosił, że Polak będzie testował w sierpniu najnowszy samochód. Znów jest w elicie, znów jest częścią świata, w którym był i do którego cały czas chciał wrócić. Pracował na to ciężko przez ponad sześć lat, ale logicznie rzecz biorąc, taki scenariusz nie miał prawa się wydarzyć.

NA KRAWĘDZI ŻYCIA I ŚMIERCI

To, czego dokonał polski kierowca, siadając ponownie za kierownicą bolidu podczas oficjalnych testów na torze Hungaroring, przejdzie do historii sportu. Za kilkadziesiąt lat kibice będą to wspominać jako jeden z najwspanialszych triumfów ducha nad oporną materią. Nawet jeśli Kubica nie wykona już kolejnego kroku, jeśli nie uda mu się wystartować ponownie w wyścigu o mistrzostwo świata, to i tak dokonał rzeczy niebywałej.

Przejechał na torze 142 okrążenia (do przerwy obiadowej aż 74, czyli o cztery więcej, niż liczył wyścig o Grand Prix Węgier) i uzyskał czwarty czas. Nie o wyniki tutaj jednak chodziło, ale o sprawdzenie, jak Kubica poradzi sobie za kierownicą auta o kosmicznej technologii. Do Budapesztu przyjechało wielu polskich kibiców, którzy wiwatowali za każdym razem, gdy żółto-czarny bolid przejeżdżał im przed

eprasa.pl d508e00ca9

oczami. Kiedy Polak po przerwie wyjeżdżał po raz drugi na tor, odśpiewali „Mazurka Dąbrowskiego". Za Kubicą biegali dziennikarze z całego świata. Koledzy ze świata Formuły 1 gratulowali mu w mediach społecznościowych. Wydaje się, że wszyscy życzą mu jak najlepiej i chcieliby, żeby kiedyś wrócił do profesjonalnego ścigania.

Sześć lat temu był na krawędzi życia i śmierci. Po wypadku podczas rajdu Ronde di Andora – imprezy praktycznie bez znaczenia, gdzie Kubica ścigał się na własne życzenie – miał zmiażdżoną prawą rękę i uszkodzoną prawą nogę. Stracił dużo krwi, lekarze, transportując Polaka do szpitala, musieli go zaintubować. O swojej modlitwie zapewniał kard. Stanisław Dziwisz. Nie wiadomo było nie tylko, czy Kubica jeszcze kiedyś wróci do sportu, lecz także czy w ogóle odzyska dawną sprawność. Jedna operacja nie wystarczyła, trzeba było dokonywać kolejnych zabiegów, przechodzić ciężką i żmudną rehabilitację, a wszystko bez pewności, czy uda się osiągnąć zamierzony efekt.

Jego pilot Jakub Gerber wyszedł z wypadku niemal bez szwanku i opowiadał potem, że trzeba coś zrobić z zabezpieczeniami samochodów rajdowych, bo gdyby konstrukcja była mocniejsza, to Kubica nie odniósłby tak poważnych obrażeń. To wszystko prawda, ale druga strona tej opowieści była taka, że Kubica mógł mieć pretensje tylko do siebie.

Nikt mu nie kazał ścigać się w takich rajdach, zwłaszcza prowincjonalnych, a pewnie wielu wręcz mu to odradzało. Jednak co zrobić z człowiekiem, któremu zamiast krwi płynie w żyłach benzyna, i to wysokooktanowa? Miał wszystko, co potrzebne było do szczęścia sportowcowi: talent, umiejętności, kontrakt w dobrym zespole, a w perspektywie przejście do jeszcze lepszego teamu i może nawet walkę o tytuł mistrza świata.

To wszystko stracił w ułamku sekundy i pewnie wiele razy wracała do niego myśl, że wcale tak nie musiało być i że sam jest sobie winien. Może właśnie to napędzało go najmocniej? Wygląda na to, że Kubica cały czas wierzył w to, że mu się uda, chociaż niewielu było takich, którzy by tę wiarę podzielali.

Trudno znaleźć drugi taki przypadek. Były już spektakularne powroty do ścigania w Formule 1, jak choćby Nikiego Laudy, który został bardzo poparzony w jednym z wypadków. W przypadku Austriaka było o tyle „łatwiej", że obrażenia nie spowodowały niedowładu ręki.

Bardziej adekwatne jest porównanie z Hermannem Maierem, słynnym narciarzem alpejskim, który po wypadku motocyklowym cudem uniknął amputacji nogi. Po kilku latach przerwy wrócił do uprawiania sportu i został jeszcze mistrzem świata w slalomie gigancie (2005) oraz wicemistrzem olimpijskim w Turynie w supergigancie (2006). Podobnie jak w przypadku Kubicy każdy krok zbliżający Austriaka do powrotu do sportu był śledzony przez kibiców na całym świecie. Jego pierwsza po wypadku jazda na nartach w małej alpejskiej wiosce Flachau była opisywana przez wszystkie media.

Czy ten sportowiec, nazywany przez wszystkich Herminatorem, był dla Kubicy wzorem do naśladowania? Polak musiał sobie najpierw poradzić z własnymi ograniczeniami, a mimo wielu operacji i ćwiczeń u najlepszych specjalistów polski kierowca ciągle nie odzyskał pełnej sprawności. Czemu to takie ważne?

Bolidy, którymi ścigają się najlepsi kierowcy, to pojazdy o technologii wręcz kosmicznej, a sterowanie nimi w znacznej mierze odbywa się za pomocą przycisków umieszczonych na kierownicy. Jeśli nie jesteś w stanie w ułamkach sekund reagować na zmieniającą się sytuację i wciskać odpowiednich guzików, to jak możesz się ścigać? Widocznie Kubica nauczył się żyć i jeździć z tymi ograniczeniami.

CZY ON UMIE JEŹDZIĆ?

W znacznej mierze pomogło mu to, co było przyczyną jego kłopotów, czyli rajdy samochodowe. To właśnie tam Kubica zaczął wracać do sportu. Czy traktował te nowe wyzwania jako część rehabilitacji czy jako zastępstwo za utracony raj Formuły 1?

Startował najpierw w mniejszych rajdach, potem w bardziej poważnych. Próbował, wyczuwał samochód, starał się ocenić, na ile może sobie pozwolić, a potem przesuwał granice. Rajdy samochodowe z jednej strony mogły mu przywracać nadzieję na powrót do Formuły 1, a z drugiej strony podważać jego pewność siebie za każdym razem, gdy lądował w rowie.

Takich przypadków było wiele, na różnych trasach. Na całe szczęście obywało się bez poważnych konsekwencji, chociaż raz było bardzo niebezpiecznie. Kubica podczas treningu przed Rajdem Polskim wypadł z trasy i dosłownie przeleciał nad stadem krów. Wyszedł z samochodu o własnych siłach, nic mu się nie stało, ale kibice coraz głośniej zadawali pytanie: Czy Kubica może jeździć? Czy to jest bezpieczne dla niego, innych zawodników i kibiców? Niektóre gazety pytały: Czy polski kierowca jeszcze umie jeździć na najwyższym poziomie? Okazało się, że to on miał rację.

Jego powrót staje się jeszcze bardziej niesamowity, jeśli weźmie się pod uwagę, jakim sportem jest Formuła 1. To chyba najbardziej elitarna rywalizacja sportowa. Kierowców, którzy marzą o tym, by się do tego zamkniętego świata dostać, są setki, jeśli nie tysiące, ale udaje się to tylko nielicznym. Każdy jest utalentowany, wielu młodych i z potencjałem marketingowym, często z możnymi sponsorami, którzy są gotowi dołożyć się do budżetu zespołu, jeśli tylko „ich" człowiek usiądzie za sterami.

Tak, tak – miejsce w bolidzie Formuły 1 można niemal kupić. Może nie w dosłownym znaczeniu tego słowa, bo nikt nie wywiesza oferty z cennikiem, ale na pewno kilka dodatkowych milionów dolarów może bardzo ułatwić decyzję, jeśli do wyboru jest kilku kierowców.

Tutaj w grze są setki milionów dolarów, trwa nieustanny wyścig zbrojeń, inżynierowie walczą, by przed kolejnym wyścigiem poprawić osiągi samochodu choćby o tysięczne części sekundy na okrążenie. Nie ma miejsca na najmniejszy błąd, więc dawanie szansy kierowcy po tak poważnym wypadku, nawet na testach, jest obarczone ogromnym ryzykiem.

Tylko że Kubica jest wyjątkowy. Przed wypadkiem był uważany za jeden z największych talentów w Formule 1, porównywany z Fernando Alonso czy Lewisem Hamiltonem. Takiego zawodnika nie można zlekceważyć. Polak miał też inną wielką zaletę. Jak rzadko który wśród kierowców potrafił współpracować z inżynierami i przekazywać im swoje uwagi. Dzięki temu bolidy jego zespołów były coraz lepsze i wszyscy na tym korzystali.

Nie oszukujmy się, Formuła 1 to jest wielki biznes, w którym nie ma miejsca na sentymenty. Kibice, zwłaszcza panie, mogą ukradkiem ocierać łzy, ale inżynierowie i menedżerowie patrzą w liczby. Jeśli dali Kubicy szansę, to znaczy, że był na nią gotowy. Jeśli chcieli, żeby testował ich samochody, to znaczy, że wierzyli w jego umiejętności.

Testami na torze Hungaroring Polak udowodnił, że nie stracił niczego ze swoich umiejętności i talentu. Udowodnił też, że jest w stanie wytrzymać fizycznie olbrzymie przeciążenia, jakie generują samochody Formuły 1. Jeśli był w stanie dokonać tego, to nie ma dla niego rzeczy niemożliwych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d508e00ca9

Dom z chimerami kojarzy się z upiornym domem rodziny Addamsów. Dzisiaj jest jedną z rezydencji podległych kancelarii prezydenta Ukrainy

FOT. REUTERS/FORUM

Piotr Semka

Najważniejsze dzieła jednego z najciekawszych polskich architektów znajdziemy w stolicy Ukrainy. Nad Wisłą jest mało znany, ale w Kijowie Władysław Horodecki ma nawet ulicę swojego imienia

Kijów
Śladami Władysława Horodeckiego

Mało kto już pamięta, ale na przełomie wieków XIX i XX Kijów był niezwykle żywym ośrodkiem polskości na kresach. Spis ludności metropolii nad Dnieprem z 1897 r. wyliczał, że Polaków było tu 24,9 tys., czyli 8,5 proc. mieszkańców – głównie przedstawicieli szlacheckich elit kresowych. Polacy wydawali wtedy narodowy „Dziennik Kijowski" i bardziej liberalny „Głos Kijowski". Działały Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" i polski teatr.

Najsłynniejszym polskim architektem w Kijowie był Władysław Horodecki – talent porównywany do Gaudíego. Polak pokochał to miasto z wzajemnością i stworzył tu swoje najważniejsze dzieła. W tamtych latach Kijów był bogaty. Horodecki realizował projekty gmachów publicznych i zamówienia na wille – przed I wojną światową wyrastało tu wiele bajecznych fortun. Horodecki dbał, by domy z jego deski kreślarskiej były efektowne i niepowtarzalne w formie.

1. I taki jest właśnie dom z chimerami (ul. Bankowa 10). Na pewno będzie wam się kojarzył z upiornym domem rodziny Addamsów. Jego dekoracja

eprasa.pl d508e00ca9

RYS. FOTOLIA/PEGAZ

z fantastycznych, nieco upiornych rzeźb została wykonana z cementu, co miało być reklamą fabryki cementu Fon pod Kijowem, której Horodecki był współwłaścicielem. Rzeźby wykonał włoski rzeźbiarz secesyjny Emilio Sala. Głowy nosorożców, słoni, jeleni, krokodyli oblepiają zwieńczenie domu i wyglądają jak jakiś dziwaczny pokaz trofeów myśliwego.

Do lat 90. budynek można było oglądać z bliska. Teraz zaułek z willą ogrodzono, bo dziś jest jedną z rezydencji podległych kancelarii prezydenta Ukrainy Petra Poroszenki. Coś zza szlabanu da się jednak obejrzeć. Tak jak każdy taki niesamowity dom otacza go legenda. Według niej po śmierci córki, która popełniła samobójstwo, topiąc się w Dnieprze, Horodecki postanowił uczcić jej pamięć, tworząc dom inny niż wszystkie. Tyle że na zasadzie fatum nie przyniosło to szczęścia jego kolejnym właścicielom – wszyscy szybko bankrutowali lub ginęli w tragicznych okolicznościach.

2. Na tej samej ul. Bankowej pod numerem 13 stoi kolejne dzieło twórcy – eklektyczny gmach dawnej fabryki mebli Klingera. Fani zabytkowej architektury industrialnej mogą udać się też na ul. Żyliańską 101, gdzie Horodecki zaprojektował w 1899 r. wyjątkowo nowoczesny jak na tamte czasy budynek Południoworosyjskiej Fabryki Maszyn Żniwnych.

3. O wiele bardziej fantazyjna jest kenesa karaimska (ul. Jarosławowy Wał 7) – była świątynia wyznawców jednego z rzadkich odłamów judaizmu. Tutaj widać, jak bardzo Horodecki kochał się w egzotyce – kenesa wygląda jak muzułmański pałac z „Baśni tysiąca i jednej nocy".

4. Horodecki pamiętał także o swych patriotycznych obowiązkach wobec Polaków w Kijowie. To dla nich zaprojektował wielki neogotycki kościół św. Mikołaja – dziś przy ul. Wielkiej Wasylkowskiej 75.

Dwie wieże kościoła mają po 60 m. W świątyni znów odprawiane są msze dla Polaków.

5. Kijowianie najlepiej znają inne dzieło naszego rodaka – gmach Narodowego Muzeum Sztuki Ukrainy zbudowany w latach 1897–1899 przy ul. Hruszewskiego 6 w Kijowie. W tym przypadku zamawiającym było miasto, więc architekt unikał udziwnień. Zastosował ulubiony w carskiej Rosji motyw starogreckiej kolumnady. Rzeźby dwóch lwów to dzieło Emilia Sali.

6. Spacer śladami Horodeckiego zakończmy na Chreszczatyku – głównej arterii miasta, „salonie Kijowa". Tutaj w pasażu pod numerem 15 znajdziemy pomniczek polskiego architekta wyobrażonego przy kawiarnianym stoliku przy filiżance ulubionego espresso. Zajmijmy jeden z okolicznych stolików i zadumajmy się, dlaczego tak lubiany nad Dnieprem Horodecki jest tak słabo znany w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Władysław Horodecki (1863–1930) *to jeden z najciekawszych architektów polskich przełomu wieków XIX i XX. Przedstawiciel modernizmu z elementami secesji. Urodził się w polskiej szlacheckiej rodzinie herbu Kornic w Szołudnikach koło Niemirowa na Podolu. Ukończył gimnazjum realne św. Pawła w Odessie i studiował w Imperatorskiej Akademii Sztuki w Petersburgu. W 1890 r. osiedlił się w Kijowie, gdzie szybko odniósł błyskotliwy sukces zawodowy i finansowy. Był znany z ekscentryzmu i zamożności. Jako pierwszy miał w Kijowie samochód. Znany był z pasji łowieckiej. Łowom na Czarnym Lądzie poświęcił specjalny, bogato ilustrowany album „W dżunglach Afryki – dziennik myśliwego" wydany w 1910 r. w Kijowie. Zwycięstwo bolszewików na Ukrainie zmusiło Horodeckiego do wyjazdu w 1920 r. do Polski. W Warszawie Horodecki stanął na czele filii amerykańskiego biura projektowego Henry Ulan & Co. To on zaprojektował kasyno miejskie w Otwocku, łaźnię miejską w Zgierzu i wieżę ciśnień w Piotrkowie Trybunalskim. W 1928 r. stęskniony za egzotyką Horodecki wyjechał na kontrakt do Iranu. W Teheranie zbudował pałac Szacha, teatr, luksusowy hotel i dworzec kolejowy. Zmarł w Teheranie w styczniu 1930 r. Jego grób na teherańskim cmentarzu zdobi polski napis: „Profesor architektury. Niech mu obca ziemia będzie lekka".*
Kijów nie zapomniał o swym twórcy. W 1996 r. dawną ul. Karola Marksa w Kijowie nazwano jego imieniem. ©℗

Coś na ząb – po kijowsku

W stolicy Ukrainy najlepiej żywić się w sieciowych barach szybkiej obsługi, w których znajdziemy wszystko to, za co tak kochamy wschodnią kuchnię – bliny, blinczyki, pielmieni, barszcz ukraiński i słynny kotlet kijowski przypominający nasz kotlet de volaille.

Dwie najważniejsze sieci to Puzata Chata (np. ul. Sahajdacznego 24) i Pieczena Kartoplja (np. Łuchowa 12). Miłośnikom tanich przekąsek w stylu bułeczek na ciepło z mięsem polecam punkt Pirigowaja Nikołaj (ul. Saksahanskoho 26). Jeśli jednak ktoś ma ochotę spędzić wieczór w restauracji w klimacie Kijowa z roku 1900, czyli lat sławy Horodeckiego, to polecam restaurację Pierwak (ul. Rohnidynska 2). Tatarskie przysmaki z baraniny znajdziemy dla odmiany w restauracji Musafir (ul. Saksahanskoho 57). Tutejszy płow, czyli baranina z ryżem duszona w garnku zwanym „kazan", to prawdziwe arcydzieło. ©℗

eprasa.pl d508e00ca9

JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Na daczy u Breżniewa

Sowieckie rządy Leonida Breżniewa kojarzą się z okresem cementowania komunizmu, stosującego brutalną siłę i przemoc w kontaktach z „bratnimi" krajami demokracji ludowej. Z dowcipami na temat przywódcy, któremu – jak powiadano – z medali za II wojnę światową brakowało tylko „matki bohatera" i „miasta bohatera" ZSRS. A także z luksusowym stylem życia partyjnych bonzów, w tym córki genseka Galiny, zmieniającej kochanków jak rękawiczki, masowo kupującej złoto, klejnoty i luksusowe samochody. I z aferą brylantową w 1981 r., kiedy okazało się, że dostojnicy KPZR masowo przemycali diamenty, które trzymali jako swoistą lokatę kapitału.

Jednocześnie były to czasy wielkiej wyżerki – wspomnienia towarzyszy z bratnich partii opisują ogromne uczty kremlowskie, gdzie stół uginał się pod ciężarem potraw (co widać nawet na oficjalnych zdjęciach). Podawano tam np. zupę z homarów, a na stołach stawiano wyrafinowane kombinacje potraw. Serwowano sałatkę jarzynową Olivier z mięsa krabów, przepiórczych jajek, bekonu i majonezu z oliwą. Czerwony i czarny kawior podawano w specjalnie zmrożonych pucharach. Atrakcją bywały wielkie dania – pieczone prosiaki albo nadziewane jesiotry, przypominające potrawy z XVII w., gdzie zwierzę rozbierano i pieczono w kawałkach, a potem na powrót składano i przyoblekano w skórę. Sam zresztą Breżniew był miłośnikiem polowań i często wysyłał znajomym smakowite kąski z upolowanej zwierzyny – pewnego razu wysłał część dzika Kostii, czyli Konstantinowi Czernience, i kilku innym współpracownikom.

Breżniew miał słabość do dobrego jedzenia i kobiet. Jego żona Wiktoria Pietrowa była świetną kucharką. W służbowej willi w Zawidowie często odbywały się suto zakrapiane hulanki. Chociaż sam ze względu na stan zdrowia nie był w stanie pod koniec życia pić, to jednak delektował się polską żubrówką, zresztą ponoć w ogóle lubił (i trzymał blisko bratniej Rosji) Polaków.

Z opisami gastronomicznych orgii i bizantyjskiego stylu życia Breżniewów polemizuje Jurij Czurbanow, ostatni mąż Galiny, aresztowany w 1987 r. za przyjmowanie łapówek i skazany na 12 lat więzienia. W książce „Rosja Breżniewa" pisze, że teść i jego córka prowadzili życie skromne, a oskarżenia zostały spreparowane przez wrogów, w tym późniejszego sekretarza KPZR Jurija Andropowa, szefa KGB. Wydaje się jednak, że nie można mu ufać, zresztą sam wielokrotnie przytacza przykłady luksusu. Pisze, że Galina miała zaledwie jedną parę kolczyków wartą kilka tysięcy rubli, a inne szacowane na kilkaset, podczas gdy dobra pensja w ZSRS w latach 80. wynosiła ok. 200 rubli. Na pierwszym spotkaniu z Galiną w Domu Architekta w 1971 r. Czurbanow jadł na kolację rostbef na zimno, sałatki, zapijając obowiązkową butelką matuszki gorzałki. Galina zaś, podobnie jak matka, świetnie gotowała, a jej specjalnością był omlet z kiełbasą i specjalnie przyrządzane parówki. ©℗

FOT. FOTOLIA

Bratnia zupa z homara

W osolonej wodzie gotujemy mięso homara pokrojone w kostkę. Na patelnię wylewamy ćwierć szklanki rosołu z drobiu, dodajemy dwie cebule pokrojone w plasterki. Podduszamy przez ok. 10 min. W osobnym garnku rozpuszczamy dwie łyżki masła, dodajemy mąkę i rozbijamy, aby powstał sos. Powoli wlewamy rosół z cebulą. Ciągle mieszając, dolewamy dwie szklanki mleka, dorzucamy pół łyżeczki soli, na koniec odcedzone kawałki mięsa homara. Przyprawiamy szczyptą mielonego pieprzu cayenne i połową łyżeczki sosu Worcestershire. Podgrzewamy tak, aby nie zagotować.

Czerwony Olivier

Kilka ziemniaków gotujemy w mundurkach. Kroimy je w kostkę. Kilka czarnych oliwek kroimy w krążki, dwa duże kiszone ogórki tniemy w kostkę. Gotujemy na twardo cztery przepiórcze jaja i także kroimy je w kostkę, dodajemy także trzy duże łyżki mięsa krabów w zalewie. 100 g zielonego groszku gotujemy w osolonej wodzie przez 3 min, odcedzamy i czekamy, aż wystygnie. Przekładamy wszystko do miski i mieszamy z czterema łyżkami majonezu, z dodatkiem łyżki oliwy z oliwek. Całość doprawiamy solą i pieprzem, odstawiamy na pół godziny do lodówki. Podajemy z pieczywem.

eprasa.pl d508e00ca9

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dzika fermentacja

JOANNA BOJAŃCZYK

Który polski emigrant nie zatęsknił za chrupiącym ogórkiem kiszonym pachnącym koprem i czosnkiem? A kapusta kiszona, która całym pokoleniom północnych plemion pozwalała przeżyć zimę w czasach bez mrożonek i hiszpańskich pomidorów? Nowinki kulinarne ostatnich kilkunastu lat przesłoniły nam urok tych podstawowych jarzyn, niemal fundamentów polskiej kuchni. Mistrz kulinarny Gordon Ramsay pochwalił ją za najbardziej jego zdaniem charakterystyczną właściwość – kwaśny smak. Wiadomo – ogórki, kapusta, barszcz, żurek, chleb na zakwasie, maślanka.

Teraz sprawa fermentacji wraca do nas w nowej, wielkoświatowej odsłonie. Jej zalety serwuje nam „papież fermentacji" Amerykanin Sandor Ellix Katz w książce „Dzika fermentacja" (Vivante).

Jest ona drugim, poprawionym i uzupełnionym wydaniem tego bestsellera napisanego w 2001 r.

Jej bohaterami są oczywiście nie tylko kapusta i ogórek. Fermentowanie żywności w celach konserwacyjnych znają od dawna ludy świata, a teraz świat do nich wraca. W tropikach bulwy manioku wrzuca się w dziury w ziemi, w Arktyce jada się „zepsute ryby" o konsystencji lodów. Zachodnia obsesja czystości i eliminowanie wszelkich bakterii doprowadziły do wyjałowienia naszych organizmów. Kwas mlekowy ma pomóc.

SANDOR ELLIX KATZ „DZIKA FERMENTACJA" VIVANTE 2017

Tak jak wielu autorów książek o tematyce kulinarnej Katz na własnej skórze doznał uzdrawiających właściwości fermentowanego jedzenia. W młodości prowadził wielkomiejskie życie w Nowym Jorku, chorował na HIV, a leki antyretrowirusowe nie skutkowały. Pomogły dopiero przeprowadzka na wieś do Tennessee i zmiana sposobu odżywiania. Zaczął kwasić, fermentować, a potem propagować zalety tego jedzenia na szkoleniach, kursach, w kawiarniach, restauracjach, winiarniach. „Moje zainteresowanie wzięło się z praktycznych aspektów życia, z tego, co daje nam ziemia".

A zatem: jedzmy fermentowane to, co znamy, i poznawajmy nowe. Ogórki, czosnek, kapusta kiszona, której – jak podaje Katz – tradycja zrodziła się w Chinach. Zakwas chlebowy z instrukcją, jak go zrobić, wcale nietrudną. Z bardziej egzotycznych przybyszy z ciepłych krajów: koreańskie kimchi – podobno najzdrowsza potrawa świata, która już się u nas trochę zadomowiła; można jej spróbować w chińskich restauracjach i barach. Tempeh, fermentowana soja z Indonezji, znana na razie w kręgach wegańskich. Dosa i idli z Indii, cienkie placki z fermentowanych przez dwa dni ryżu i soczewicy...

I jeszcze wiele innych, bo książka ma 300 stron. Nawet jeśli nie zachęci ona do eksperymentowania, to może pozwoli docenić zalety rodzimych, znanych, ale zbyt mało kochanych przysmaków. ©℗

GRECKI PRZYSMAK MARZENY SŁUPKOWSKIEJ

Gotowaniem zainteresowałam się już jako 10-letnie dziecko. Początkowo moja rodzina była pod wrażeniem, bo szybko doszłam do wprawy. Po trzech miesiącach ich zadowolenie nieco zmalało w przeciwieństwie do mojego zapału. W każdym razie znieśli to dzielnie i do dziś wspominają moje pierogi oraz serniki.
Z gotowaniem miałam już w późniejszym okresie trochę zabawnych przygód. Gdy gotuję, nigdy nie trzymam się ściśle przepisu. Czasem trochę modyfikuję recepturę – gdy uznaję, że uzyskam lepszy efekt. Zdarzyło mi się kiedyś przygotowywać mięso do pieczenia. Jednym z elementów przepisu było polanie przygotowanego do pieczenia mięsa alkoholem. Oczywiście wlałam go znacznie więcej, niż było napisane. Efekt był taki, że po 10 min pieczenia w piekarniku doszło do małej eksplozji, ponieważ alkohol się zapalił. Piekarnik buchnął ogniem, wprawiając mnie w osłupienie. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Jedną z moich ulubionych potraw jest grecka zupa fakes. W greckiej kuchni rzadko występują zupy. Jak mówią niektórzy Grecy – zupy jedzą tylko, gdy są chorzy. Jednak fakes warto spróbować.

Składniki:

• 220 g soczewicy • 60 ml oliwy z oliwek • łyżka rozgniecionego czosnku • drobno posiekana cebula • 1 l wody • łyżka oregano • łyżeczka rozmarynu • 2 liście laurowe • 150 ml przecieru pomidorowego lub dwa obrane i zmiksowane pomidory • 1–2 łyżki octu winnego • sól, pieprz do smaku

Przygotowanie:

Soczewicę wkładamy do garnka, zalewamy wodą na 3 cm. Na średnim ogniu doprowadzamy do wrzenia. Gotujemy 15 min, następnie odsączamy soczewicę na sitku. Do rondla wlewamy oliwę z oliwek, stawiamy na średnim ogniu. Dodajemy czosnek, cebulę, marchew i smażymy 5 min. Dodajemy soczewicę, wodę, oregano, rozmaryn i liście laurowe. Doprowadzamy do wrzenia. Zmniejszamy ogień, przykrywamy i gotujemy dalej ok. 20 min. Wlewamy przecier pomidorowy, doprawiamy do smaku solą, pieprzem i octem winnym. Tym, którzy lubią wersję pikantną, polecam odrobinę chilli. Przykrywamy i gotujemy na wolnym ogniu, aż soczewica zmięknie (40 min). Jeśli zupa będzie zbyt gęsta, to dodajemy wodę. Na talerze polecam dodać drobne kawałki sera feta lub łyżkę polskiej bryndzy.

oprac. raw

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Marzena Słupkowska jest prezenterką pogody w TVP.

eprasa.pl d508e00ca9

NASZ TEST: VOLKSWAGEN PASSAT VARIANT GTE

Hybrydowe kombi VW to auto o wiele bardziej elektryzujące, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. To prawda: sylwetka kultowego nad Wisłą Passata jest tak nudna, że auto wydaje się niemalże stworzone dla prywatnych detektywów lub gwiazd marzących o zachowaniu maksymalnej anonimowości. Jednakże strony literki GTE sprawiają, że hybrydowy Passat to nie tylko najbardziej ekologiczny, lecz także najszybszy Passat na rynku. Potrafi dać kierowcy zaskakująco dużo frajdy, co z zewnątrz sygnalizują choćby takie detale jak pomalowane na niebiesko zaciski hamulcowe.

W KABINIE

W obszernym wnętrzu nie znajdziemy na szczęście pseudoekologicznych rozwiązań typowych dla wielu hybryd. Przeciwnie: na ciemnej tapicerce ciekawie wyglądają niebieskie przeszycia. W kilku miejscach wzrok przyciąga zaś znak GTE. Fotele są wygodne, a miejsca jest wystarczająco dużo zarówno z przodu, jak i na tylnej kanapie (nawet dla trzech dorosłych osób).

Konieczność zamontowania akumulatorów odbiła się niestety na wielkości bagażnika. Co prawda 483 l to wciąż całkiem niezły wynik, ale tradycyjna wersja modnego w Polsce kombi z logo VW oferuje już kufer o wielkości 650 l.

JAZDA

Pod maską Passata Varianta GTE pracują dwa silniki. Benzynowy o pojemności 1,4 l i mocy 156 KM, a także elektryczny. W sumie auto ma więc do dyspozycji moc 218 KM, co pozwala osiągnąć nim pierwszą setkę w 7,6 s. Prędkość maksymalna wynosi 225 km/godz.

Silnik elektryczny możemy ładować podczas jazdy lub po podłączeniu auta do zwykłego gniazdka. Czas ładowania to ok. 4,5 godziny, a zasięg na samym prądzie wynosi – w zależności od stylu jazdy i np. włączonej lub wyłączonej klimatyzacji – od ok. 30 do maksymalnie 50 km (czysto teoretycznie, bo podczas testu nie zbliżyłem się nawet do tej wartości).

Kierowca może dowolnie decydować, czy chce jechać tylko w trybie elektrycznym (wówczas w kabinie panuje bardzo przyjemna cisza), w trybie hybrydowym czy ma ochotę na chwilę sportowej zabawy i woli przełączyć się na tryb GTE. Do wyboru są też – podobnie jak w tradycyjnych wersjach Passata – tryby jazdy takie jak ekologiczny, komfortowy i sportowy. Połączenie tego ostatniego z trybem GTE sprawia, że auto dużo żwawiej reaguje na dodanie gazu, zawieszenie staje się twardsze, a układ kierowniczy nieco sztywniejszy, co pozwala na naprawdę przyjemną i dynamiczną jazdę, choć trzeba pamiętać, że nie jest to auto sportowe.

Jeśli chodzi o oszczędności na stacji benzynowej, to Variantem GTE można jeździć nawet za darmo (jeżeli np. przy pracy mamy darmową stację szybkiego ładowania, a dojeżdżając do biura, nie pokonujemy więcej niż 30–35 km dziennie). Przy wariancie hybrydowym auto spalało średnio podczas testu ok. 6 l/100 km w mieście i na trasie, w tym na autostradzie. Podczas jazdy w mieście można osiągnąć wynik zbliżony do 4 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Volkswagen Passat Variant w testach zderzeniowych Euro NCAP zgarnął komplet pięciu

gwiazdek. Bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów zwiększają też elektroniczni asystenci, którzy ułatwiają trzymanie się pasa ruchu oraz ostrzegają przed samochodami w martwym polu lusterek. Komputer alarmuje również m.in., jeśli zbyt szybko zbliżamy się do samochodu poprzedzającego. A w razie, gdy nie uda się uniknąć zderzenia, proaktywny system ochrony PreCrash automatycznie zamyka okna i rozsuwany dach, a także napina pasy bezpieczeństwa. Podczas jazdy przydaje się wyświetlacz HUD, a w czasie parkowania system Area View, który pozwala na oglądanie auta z lotu ptaka.

CENA

Za ekologicznego Passata w wersji kombi trzeba zapłacić co najmniej 179,2 tys. zł.

KONKURENCI

BMW 330e, Ford Mondeo Hybrid, Hyundai Sonata Hybrid, Volvo V60 Plug-In Hybrid ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d508e00ca9

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"
+ KSIĄŻKA H. GEBHARDA „WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, MORDERSTWO. ZBRODNIE REWOLUCJI FRANCUSKIEJ"

REWOLUCYJNĄ CODZIENNOŚCIĄ BYŁY ZBRODNIE I KRWAWE PRZEŚLADOWANIA TYCH, KTÓRYCH UZNAWANO ZA WROGÓW NOWEGO PORZĄDKU. OFIARAMI STAŁO SIĘ 40 TYS. OSÓB: ŚCIĘTYCH, ROZSTRZELANYCH, ZAMĘCZONYCH LUB TEŻ ZLINCZOWANYCH BEZ SĄDU. DO TEGO DOCHODZI 100 TYS. OFIAR KAMPANII ODWETOWEJ W KATOLICKIEJ WANDEI, OD DAWNA OKREŚLANEJ PRZEZ FRANCUSKICH HISTORYKÓW MIANEM LUDOBÓJSTWA. NIEMIECKI HISTORYK HORST GEBHARD ZEBRAŁ NAJNOWSZE WYNIKI BADAŃ, PO RAZ PIERWSZY PREZENTUJĄC JE SZERSZEMU KRĘGOWI CZYTELNIKÓW I UKAZUJĄC MROCZNĄ HISTORIĘ 10-LETNIEGO WŁADANIA TYRANII I PRZEMOCY...

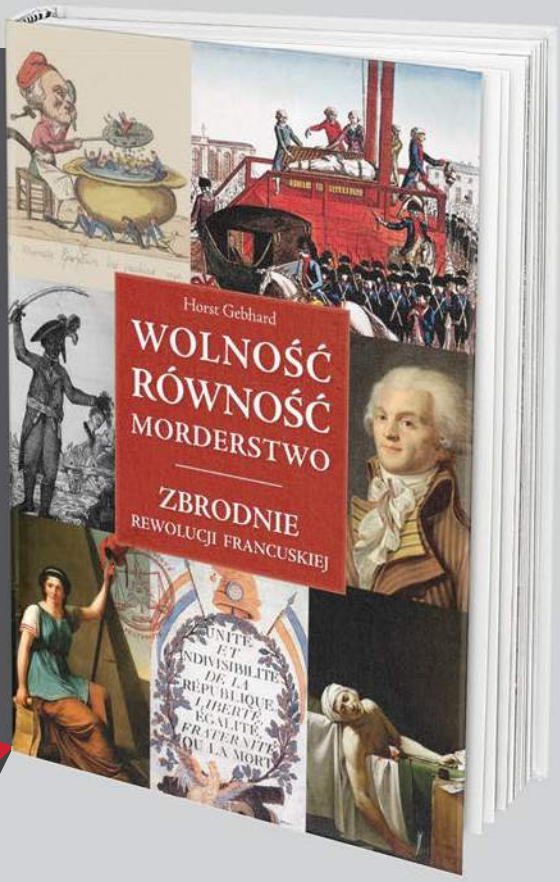

141 zł

oszczędność 88 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:
E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **www.prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d508e00ca9

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Niezbędne zwolnienia

MARCIN MAKOWSKI: Sean Spicer, Reince Priebus, Anthony Scaramucci – kolejni nominaci Donalda Trumpa w Białym Domu – padają jak muchy. Czy to początek efektu domina?

MATTHEW TYRMAND: Przetasowania są dosyć spore, ale uważam, że trzeba je tłumaczyć kluczem politycznym, nie tylko samym chaosem w Waszyngtonie. Zarówno Spicer, jak i Priebus reprezentowali republikański establishment. Reince Priebus został wyznaczony na szefa personelu Białego Domu głównie ze względu na swoją pozycję byłego przewodniczącego Krajowego Komitetu Partii Republikańskiej. Jego obecność miała ułatwiać poparcie Kongresu, ponieważ wszyscy w partii go znali, przychodzili do niego wcześniej po dofinansowanie oraz w celu konsultowania strategii. Mogli mu zatem zaufać również, gdy zaczął pracować dla nowego prezydenta. To był wybór taktyczny, mający na celu złagodzenie niechęci do Trumpa w kręgach republikańskich i obłaskawianie sceptycznego Paula Ryana. Obaj pochodzą z Wisconsin i się znają, dlatego ta kalkulacja miała prawo się udać. W tym sensie mianowanie Seana Spicera na rzecznika prasowego Białego Domu było transakcją wiązaną, ponieważ wcześniej pełnił on podobną funkcję w biurze swojego byłego przełożonego – Priebusa. Spicer – delikatnie mówiąc – nie sprawdził się w swojej roli, a coraz więcej osób z kręgu Białego Domu twierdziło, że to właśnie były przewodniczący republikanów odpowiada za przecieki do mediów, które stały się prawdziwą plagą tej administracji. Wcześniej zwolniono również Katie Walsh, zastępczynię Priebusa. Dlatego uważam, że to, co dzisiaj możemy obserwować, reżyserowano od dawna. Szczególnie że ci, którzy mieli zostać – np. Stephen Bannon – pomimo wielu plotek nadal piastują swoje stanowisko.

A co z Anthonym Scaramuccim, nowym szefem komunikacji Donalda Trumpa? Wpadł do Białego Domu jak petarda, zaczął grozić, że wyrzuci wszystkich odpowiedzialnych za przecieki, i po 10 dniach przepadł.

Znam finansistów takich jak on i ten typ ludzi. W chwili, w której została ogłoszona jego nominacja, od razu wiedziałem, że to się musi tak skończyć, chociaż uczciwie przyznam, iż dawałem mu kilka miesięcy, a nie niecałe dwa tygodnie. Trump lubi bombastyczny nowojorski styl, być może sądził, że Scaramucci zrobi porządek w administracji i weźmie sprawy w swoje ręce. On jednak zwyczajnie przeszarżował. Ponadto funkcjonuje teoria, że ta nominacja miała służyć po prostu jako katalizator zmian. Mianowanie Scaramucciego i „spuszczenie go ze smyczy" otwierało Trumpowi drogę do przemeblowań oraz wyrzucenia Priebusa i Spicera w białych rękawiczkach. Dlaczego? Ponieważ nie potrafili dostarczyć poparcia republikanów, a do tego celu zostali wyznaczeni. Przewlekłość w odrzuceniu Obamacare jest tutaj dobrym przykładem. Wyszło szybciej i brutalniej, niż się spodziewano, ale efekt został osiągnięty. W miejsce szalejącego byłego inwestora Donald Trump mianował gen. Johna Kelly'ego. Mam nadzieję, że wojskowy dryl poprawi dyscyplinę w Waszyngtonie.

Trudno nie znaleźć paraleli pomiędzy politycznym przetasowaniem w USA oraz Polską. W tej chwili minister Zbigniew Ziobro otwarcie krytykuje prezydenta w kwestii reformy wymiaru sprawiedliwości. Kolejna wojna na górze?

Myślę, że tak to trzeba nazwać. To jest wojna podjazdowa, ale wybitnie żenująca. Korzystając z łam prawicowych mediów, Ziobro rzuca rękawicę Dudzie, który ma największy mandat demokratyczny w Polsce. Dodatkowo prezydenta do pionu ustawia trzydziestoparoletni zastępca ministra sprawiedliwości. Ziobro powinien się dwa razy zastanowić, zanim kierując się swoimi osobistymi ambicjami, zacznie mówić, co prezydent ma uchwalić i jaka kara go spotka, jeśli nie będzie działać w duchu zwiększenia jego kompetencji. Nie tak działa demokracja, dlatego uważam, że tak jak Priebus, Spicer i Scaramucci w Waszyngtonie, tak dla dobra rządu w Polsce powinni się podać do dymisji Ziobro i Jaki. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl d508e00ca9

Wakacje

republika

★ Z TELEWIZJĄ REPUBLIKA ★

TERAZ TV REPUBLIKA
NA ŻYWO I ZA DARMO ONLINE

TELEWIZJAREPUBLIKA.PL

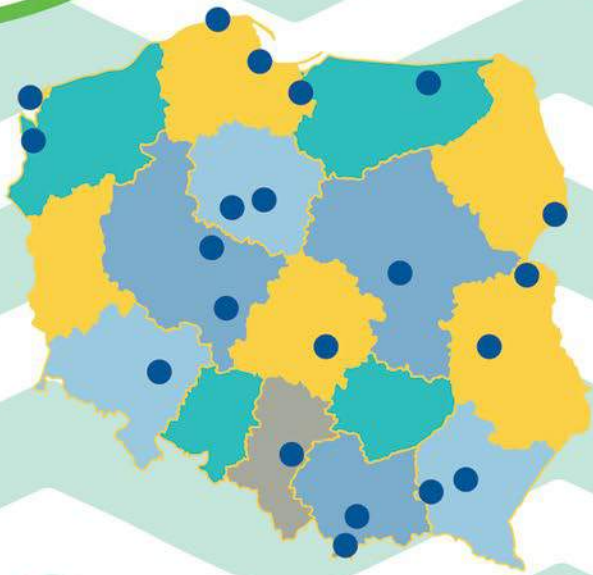

RUSZAMY 1 SIERPNIA

#RepublikaNaWakacje

PATRONAT MEDIALNY

stream 1

SPONSOREM WAKACJI JEST

Grupa Inwest HM Inwest S.A.

Energa

eprasa.pl d508e00ca9

OKIEM BLOGERKI

Daleko od wielkości

KATARYNA

ZBIGNIEW ZIOBRO: Zasadnicze pytanie brzmi jeszcze bardziej dramatycznie: albo prezydent przejdzie do historii jako wielka postać, jako jeden z przywódców dobrej zmiany, jako człowiek, który przyczynił się do budowy silnego, uczciwego polskiego państwa, albo polegniemy. To jest w finale wybór między wielkością a groteską.

Ładnie powiedziane i z taką troską. Szkoda, że minister Ziobro nie stawia takiego wyboru przed samym sobą. Zwłaszcza że w jego przypadku byłby on dużo łatwiejszy, bo o żadnej wielkości nigdy nie mogło być mowy, może co najwyżej wybrać skalę groteski. Na razie idzie mu całkiem nieźle, trzeba geniusza, aby sztandarową reformę przygotować i przepychać tak, żeby podzielić własne polityczne zaplecze i dostać bęcki od samego prezydenta. I to wszystko wydając pół miliona na samą obsługę PR.

Groteskowość to niestety przypadłość nie tylko ministra Ziobry. Minister Szyszko niedawno raczył był zabawić uczestników naukowej konferencji referatem, w którym postawił tezę, że zakaz wycinki drzew i zabijania zwierząt „kreowany jest ostatnio zarówno przez ruchy satanistyczne, jak też ludzi o wielkim sercu". Minister Błaszczak wypuścił projekty nowych polskich paszportów, na których znalazły się miejsca nienależące do Polski, co już spowodowało wezwanie polskiego ambasadora na Litwie „na dywanik", a jeśli będziemy się upierać – a dlaczego mielibyśmy odpuścić? – to grozi nam poważniejszy skandal w relacjach z ważnym partnerem. Minister Macierewicz, w przerwach między wielomiesięcznym ignorowaniem pism słanych do niego przez zwierzchnika sił zbrojnych a nasyłaniem prokuratury wojskowej na dziennikarza stawiającego zbyt trudne pytania, zdążył wybić swojemu pupilowi imienną monetę, jakiej jego poprzednik nie zrobił nawet dla generała Kozieja. Minister Zalewska ani się nie tłumaczy, ani nie pozywa za artykuły oskarżające jej otoczenie o wyprowadzanie pieniędzy na kampanię z PCK.

Rząd, który miał być rządem „dobrej zmiany", i niektórzy – niżej podpisana w pierwszym rzędzie takich frajerów – naprawdę liczyli, że będzie inaczej, niż było. I w pewnym sensie jest, tylko jakby nie o to chodziło. O aspirowaniu do wielkości zapomnieliśmy dawno, jeśli w ogóle kiedyś aspirowaliśmy, a limit groteski powinno się uznać za wyczerpany.

Dwa lata do wyborów naprawdę szybko miną, wkrótce znowu trzeba będzie wyjść poza własny żelazny elektorat i przekonywać mniej skrajnego wyborcę, z tych, których się w międzyczasie jeszcze nie zdążyło obrazić, że zasługuje się na drugą szansę. Tyle że do tego czasu obciachowość może się do ekipy Beaty Szydło trwale przykleić i choć dzisiaj sondaże tego (jeszcze?) nie pokazują, nie zakładałabym, że wyborca przedłuży mandat. Nawet prezydent nie może być pewny swojej pozycji, bo „genialny strateg" może zechcieć postawić na Beatę Szydło. Powodzenia w wyjściu poza żelazny elektorat. Usamodzielniający się prezydent, odbudowujący swój zrujnowany Adrianem wizerunek także w oczach politycznych przeciwników, może być za dwa–trzy lata jedynym bezpiecznikiem przed odbiciem wahadła tak mocno rozbujanego przez PiS. Szanuj prezydenta swego, możesz nie mieć żadnego. ©℗

PODSŁUCHANE

Plaża

Borys, dziwnie tu jakoś...
Ale w jakim sensie, Kinia?

No zobacz: jakieś pięćset metrów dalej pełno ludzi, w jedną i w drugą, a tu koło nas pustawo.
Eee, to pewnie przypadek, tam akurat muszą być zejścia na plażę i dlatego.

Ale tu też jest zejście. Przecież sami nim weszliśmy.
Ja bym się nie przejmował. Dla nas się liczy jakość, a nie ilość, pamiętaj.

No niby tak... Ale jakoś tak głupio. Za pięć minut masz mieć wykład o niszczeniu sądownictwa, a tu jedna pani siedzi.
Kinia, czasami warto mówić nawet do jednej osoby, pamiętaj.

Niby tak... Ale słuchaj, ta pani chyba zasnęła. Halo, proszę pani! Chrapie.
Trudno, takie bzdury nas nie zawrócą z drogi, jedynie słusznej, pamiętaj.

No niby tak... Ale do kogo będziesz mówił?
Do ciebie. Wiesz, jak w „Dniu świra", te jedne oczy w klasie, wpatrzone...

To miłe, ale, po pierwsze, ja to już wszystko znam, przecież razem siedzieliśmy u Rzeplińskiego, jak nam dyktował, co mamy mówić. A po drugie, ja teraz muszę iść na godzinkę.
Jak to? Teraz akurat?

Tak. Umówiłam się na tatuaż z henny, na łydce.
A co tatuujesz?

Jak to co? „Konstytucja"! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Przepraszam Niemców za PiS".

JAN HARTMAN, *filozof i publicysta, na swoim blogu*

eprasa.pl d508e00ca9

fot. Jerzy Gumowski

Kłamstwo

Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości, chce, by i u nas, niczym u Amerykanów, oskarżeni nie mieli prawa bronić się kłamstwem; wyłożył to dla **„Do Rzeczy”** (4/2016) bardzo jasno: *„— W Stanach Zjednoczonych oskarżony nie może kłamać, może tylko zachować prawo do milczenia. U nas kłamstwo oskarżonego rozumiane jest jako prawo do obrony (...) Chcemy to zmienić”*. Nie będzie trudno to zmienić (wystarczy odpowiedni akt prawny), ciężej jednak niż odkłamywanie kryminalistów może nowej władzy pójść odkłamywanie sędziów, tych bowiem bardzo wielu jest *„ze starego rozdania”* (postesbeckiego) i nie da się tego paskudztwa hurtem zastąpić nowymi togami. Ale to i tak pestka przy całym gatunku ludzkim, u którego nawyk kłamania będzie wiecznie niezbywalny wskutek nieopatrznego wyposażenia ludzi przez Stworzyciela w *„wolną wolę”*. Dlatego *„homo sapiens”* tak łatwo mówi sobie: wolę kłamać, niż się skompromitować, zdymisjonować, zdezawuować, zmajoryzować, złamać, itp. Ludziska łżą ze strachu i dla zysku, gwoli ratowania prestiżu albo otrzymania poklasku, w nerwach bądź w euforiach, w nieszczęściu i w miłości, lub jedynie po temu, by nie wyjść z wprawy. Oczywiście wszyscy wiedzą, że mijanie się z prawdą to grzech. Przyzwoitsi starają się kłamać możliwie rzadko, tylko w *„konieczności życiowej”*, co też rodzi niebezpieczeństwa, gdyż przyłapanie na jednym, choćby drobnym kłamstewku może zrodzić osąd, że przyłapany to notoryczny łgarz (wedle łacińskiej reguły *„falsus in uno, falsus in omnibus”* — fałsz w jednej sprawie, fałsz we wszystkim). Nie można jednak negować, iż bywają kłamstwa konieczne, etycznie uzasadnione (np. przekonywanie śmiertelnie chorych, iż wyzdrowieją), plus kłamstwa słodkie (np. erotyczne). XIX–wieczny poeta Kazimierz Laskowski słusznie twierdził:

„A choć może kłamie trocha,
Ma słuchaczki zapłakane,
Bo są kłamstwa, co się kocha,
Jak i prawdy niekochane”.

Werdykt powyższy tyczy wszelkich dziedzin ludzkiej działalności, sztuk pięknych nie wyłączając. Weźmy malarstwo: ci, którzy głoszą, że największe kłamstwa wychodziły spod pędzli Socrealistów — bredzą. Pędzle starożytne, średniowieczne, renesansowe, barokowe itd. kłamały ile wlazło (lub raczej: ile było trzeba), czasami wręcz komicznie, nawet wówczas, kiedy hagiografowały sferę biblijną. Exemplum: dawanie pępka Stwórcy lub Adamowi w Raju (już krytyka XIX–wieczna ciskała się, że jest to nonsens, bo pępek stanowi ślad związku z istotą funkcjonującą uprzednio). Równie duże i nieśmiertelne było zakłamanie literatury, tak *„pięknej”* (exemplum apokryfy typu Osjana), jak i *„literatury faktu”* (reportaże, eseje polityczne i historyczne, etc.). O tej drugiej myślał Napoleon Wielki gdy kpił: *„Ciekawa byłaby książka, w której by nie było kłamstw”*. Literatura rodzima zna sporo książek faktograficznych, w których kłamstwa dominują. Exemplum sławione przez Salon płody dwóch panów K. — Kosińskiego i Kapuścińskiego. Kosiński, chociaż całą swą żydowską martyrologię wyssał z palca (że niby Polacy go katowali, gdy w istocie chronili go troskliwie, co zostało udowodnione przez badaczy) — tak mocno lansował swoje wymysły, iż na nowojorskich przyjęciach unosił koszulę, demonstrując rzekome blizny po antysemickich ranach. Już jego pierwszy biograf, James Park Sloan, wiedział, że Kosiński to patologiczny łgarz, a Joanna Siedlecka roznegliżowała całą nikczemną mitologię Kosińskiego bez reszty rozprawą **„Czarny ptasior”**. Zmyślaczem (twórcą pseudofaktów) był także *„król reportażu”*, Kapuściński. Thomas Urban (**„Süddeutsche Zeitung”**): *„Lewica wykreowała kult Kapuścińskiego jako reportera, a on po prostu zmyślał. Nie tylko fakty i realia, lecz nawet wypowiedzi konkretnych, rzekomo cytowanych osób”* (2010). Gabriele Lesser (**„Die Tageszeitung”**): *„Jakby kpił: «Skoro pragniecie być okłamywani — to proszę bardzo»”* (2010).

Kłamię, więc jestem

Czy ludzie pragną być okłamywani? Ależ tak, wciąż! Choćby nieszczęśliwi kochankowie. Lub konsumenci reklam. Większość reklam to zwyczajna lipa, co *„a priori”* rozumie każdy człek z solidnym IQ, zaś frajerzy dopiero *„post factum”*. Reklamodawcy zresztą nierzadko w walce o klienta przesarżowują, co sprawia, że każdy głupol prędzej lub później zaczyna czuć nieufność, *„kumając”*, iż *„nie wszystko złoto co się świeci”*. Nawet na takich wielbicielkach reklam jak kobiety nie zrobi wrażenia reklamowe zachwalanie szczoteczki do zębów, która *„myje zęby również w trudno dostępnych miejscach”*, bo niewiele kobiet ma zęby w trudno dostępnych miejscach.

Szkodliwość kłamstewek reklamowych to jednak drobiazg przy kłamstwach politycznych, z natury bowiem rzeczy kłamstwo jest wpisane w profesję polityków niby kuglarska mistyfikacja w profesję iluzjonistów — polityka żyje kłamstwem jak flora żyje nawozem z łajna. Oficjalnie każdy uprawiający ten fach podpisze obiema rękami dewizę Jeana Sévilli: *„Lepiej być po stronie prawdy, nawet, a przede wszystkim dlatego, że to trudniejsze, i dlatego, że prawda wyzwala”* (1999). Ale w praktyce… Zwłaszcza że polityczną kłamliwość zazwyczaj wieńczy bezkarność. Jan Piński: *„Politykowi nawet przyłapanie na ordynarnym kłamstwie nie szkodzi, czego najlepszym dowodem są historie prezydenta Billa Clintona, który łgał na temat romansu ze stażystką, czy Aleksandra Kwaśniewskiego, przyłapywanego na szeregu kłamstw, od opowiadania, że ma wyższe wykształcenie, zaczynając”* (2015). Istotnie — wielkie polityczne ryby mają dostatecznie grube łuski, więc skandale łgarskie zazwyczaj po nich spływają. Z mniejszymi bywa różnie (exemplum pupil Tuska, Sławomir Nowak, zwany przez kumpli *„Lolo Pindolo”*, który padł po ujawnieniu, że minął się z prawdą). Takie omijanie prawdy ma już zresztą eufemizmowe alibi w leksykonach dzięki terminowi *„postprawda”*, uznanemu przez Oxford Dictionaries *„słowem roku 2016”*.

Kłamstwo polityczne jest dużym problemem gdy stanowi preferowany *„modus operandi”* dla jakiejś władzy czy jakiegoś systemu. Grzegorz Górny: *„Drugorzędne znaczenie ma to, czy prawda jest gwałcona przez mniejszość (jak w totalitaryzmach), czy przez większość (jak w demokracjach) — rezultat jest ten sam”* (2014). Owo gwałcenie nie udałoby się dziś żadnej władzy bez pośrednictwa mediów. Są one czymś więcej aniżeli prostą tubą — są różdżką hipnotyzera. Przy czym — chociaż wiadomo, że dzięki radiu i telewizji nawet analfabecie można wmówić wszystko, to jednak według badań kłamstwa płynące z odbiornika kształtują głównie inteligentów. A że produkowane są też przez inteligentów — kółko się dopina, mamy zamknięty obieg. Do tego w kraju, gdzie zwalczają się ze wszech sił dwa obozy polityczne śmiertelnie na siebie obrażone — mamy takoż kwestionowanie intelektu adwersarzy epitetową terminologią (*„półinteligenci”*) etc. Szczytową wydzieliną furii bitewnej stały się od ubiegłego roku szerzone wśród cudzoziemców donosy ludzi Salonu (platformersów oraz ich sympatyków) na własny kraj, pełne bezprzykładnych kłamstw, które stanowią guano dla antypolskich retorsji *„kopuły”* brukselsko–strasburskiej i dla rozlicznych kontrPiSowskich artykułów w salonowych mediach zachodniego świata. Bronisław Wildstein: *„Czytam np. wywiad Andy Rottenberg dla niemieckiego czasopisma **«Theater heute»** i tam pełno jest kłamstw, manipulacji, bzdur, które podaje się jako fakty”* (2016).

Co uważam za nr 1 w temacie, któremu poświęciłem niniejszy felieton? Globalną gędźbę propagandowych rabinów, iż na terenie Polski szaleje antysemityzm. Okoliczność, że jest to (faktograficznie biorąc i klinicznie nazywając) *„antysemityzm bezobjawowy”* (© W. Ł.) — zupełnie tym kalumnistom nie przeszkadza. Ten rodzaj umasowionego (albowiem szkalującego cały naród) oszczerstwa niewątpliwie wyczerpywałby znamiona schizofrenii patologicznej, gdyby tylko nie był motywowany zimną kalkulacją finansową. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl d508e00ca9

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %
polski produkt

ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PATRONAT HONOROWY: MINISTERSTWO ROZWOJU, PARP

PARTNERZY: ORLEN, Enea, PHN, ALIOR BANK, asseco, Paged COLLECTION, pesa Bydgoszcz SA, URSUS, CEDROB

PARTNER MERYTORYCZNY: pwc

ORGANIZATOR: PMPG POLSKIE MEDIA SA, DO RZECZY

eprasa.pl d508e00ca9